

Peter Pezzelli

Villa Mirabella

Tłumaczenie
Elżbieta Zychowicz



ROZDZIAŁ

pierwszy

Skądś, jakby z bardzo daleka, nadpłynął czyjś głos. Łagodny, lecz silny, wznosił się w pieśni, słodkiej, kojącej melodii, która pieszczotliwie muskała powietrze, niczym matka utulająca dziecko do snu.

Ten właśnie głos i towarzyszące mu ciche tony fortepianu usłyszał tuż po obudzeniu młody mężczyzna. Otaczała go nieprzenikniona ciemność. W pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na te dźwięki, ponieważ, jak często się zdarzało, osaczyło go przerażające uczucie braku tchu, jakby ktoś z całej siły nastąpił mu na pierś ciężkim buciorem. Tym razem jednak wrażenie to było silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Mimo że był zwinięty w kłębek, otulony kołdrą jak kokonem, wydawało mu się, że leży wyciągnięty na wznak - dusił się, jakby pogrzebano go żywcem. Ogarnięty paniką, zaczął szarpać pościel, usiłując się z niej wyplatać. Wreszcie opadł na łóżko, kompletnie wyczerpany, chwytając z trudem powietrze, a serce waliło mu jak młotem.

Panika powoli ustępowała, oddech się uspokajał, młody mężczyzna wciąż jednak czuł ucisk buciora na piersi. Ostatnio to wrażenie nigdy nie mijało bez reszty, prześladowało go w każdej sekundzie dnia i nocy, utrzymując na skraju całkowitej kapitulacji. Pamiętał dokładnie, kiedy się to wszystko zaczęło, nauczył się jednak unikać rozpamiętywania tamtych wydarzeń, ponieważ wtedy dręczył się jeszcze bardziej i tracił cenną energię.

Wreszcie usiadł na leżącym na podłodze materacu i oparł się o ścianę. Sypialnię spowijał mrok, jedynie przez wąską szparkę nad szczelnie zaciągniętymi zasłonami przesączała się nikła smużka dziennego światła. Był późny ranek, prawie południe, ale można by pomyśleć, że jest środek nocy. Tak już miał. Bez względu na to, jak długo spał, nigdy nie był wypoczęty, a w ciągu dnia nieustannie czuł się wyczerpany. Ze znużeniem zamknął znowu oczy, wsłuchując się przez dłuższą chwilę w przytłumione dźwięki.

Uprzytomnił sobie, że obudził go Pavarotti, śpiewający *Ave Maria* Schuberta. Lokator sąsiedniego mieszkania - nie był pewien którego - najwyraźniej miłośnik opery, ostatnio słuchał godzinami jego nagrań. Choć młody mężczyzna sam nie przepadał za muzyką operową, przywykł do tego, że wciąż towarzyszy mu melodia, niczym muzyczna ścieżka

życia, w której przeplatają się nuty smutku i radosnego uniesienia, zabawy i namiętności, pozostawał jednak na nią obojętny. Teraz uświadomił sobie, że po raz pierwszy nastawia uszu, chłonąc każde słowo, każdą nutę łagodnej melodii.

...Maria, gratia plena...

Tenor śpiewał i śpiewał, jego głos to wznosił się, to opadał z każdym płynącym z serca dźwiękiem.

Pieśń wydawała się znajoma, choć mężczyzna nie mógł sobie przypomnieć, gdzie lub kiedy już ją słyszał. Wzbudziła w nim jakieś odległe wspomnienie, jak gdyby fragment przygnębiającego snu, z którego po obudzeniu zostały jedynie poczucie straty i smutek.

...ora pro nobis peccatoribus...

Chociaż nie rozumiał ani słowa z tej pieśni, jej proste piękno wzruszyło go niemal do łez. Muzyka wywołała w nim głód, znacznie dotkliwszy i bardziej dokuczliwy od tego, który dręczył jego żołądek. W głębi duszy zdawał sobie sprawę, że chociaż od dwóch dni nie miał nic w ustach, łaknie czegoś innego niż jedzenie czy picie, lecz nie potrafił dokładnie określić czego. Słuchał więc głosu śpiewaka w coraz większym skupieniu, w nadziei, że on mu podpowie.

...nunc et in hora mortis. Amen...

Głos i muzyka w końcu umilkły, w pokoju zapanowała cisza, potęgująca jeszcze bardziej jego samotność. Znów chciał zawinąć się w bezpieczny kokon pościeli, ale nie była już ciepła. Nie miało to jednak znaczenia, wiedział bowiem, że tego dnia nie uda mu się więcej uciec w sen. I wbrew samemu sobie zsunął nogi z materaca i ukląkł na podłodze. Trwał w tej pozycji przez jakiś czas, wreszcie wstał, podszedł powoli do okna i rozsunął zasłony.

Styczeniowe niebo nad Los Angeles zasnuwały ciężkie ciemne chmury, ale jego raziło nawet przytłumione światło dzienne. Mrużąc oczy, spojrzał w stronę przystani jachtowej. Zawsze kochał widok roztaczający się za oknami jego mieszkania: starannie ustawione łodzie, ich majestatyczną elegancję, promienie słońca igrające wśród fal. Dzięki temu czuł się kimś w pewnym sensie wyjątkowym, lecz za ten przywilej musiał słono płacić. Kiedyś ten widok go uszczęśliwiał, jednak tamte dni dla niego już się skończyły.

Teraz, patrząc obojętnie przez okno, ledwie dostrzegał piękną panoramę, jego myśli były bowiem gdzie indziej. Usiłował odtworzyć w pamięci dźwięk głosu, który go obudził, zrozumieć, czy przypadkowo zasłyszana pieśń, która zaintrygowała go jak nigdy dotąd, ma mu coś do przekazania, lecz nadaremnie. Zwiesiwszy głowę, odwrócił się od okna i powłókł do łazienki.

Ochlapał twarz wodą i spojrzął w lustro. Niespodziewanie zobaczył w nim znacznie starszego od siebie, znękanego troskami mężczyznę. Przekrwione oczy, zmierzwiłone włosy, wymizerowana, nieogolona twarz. Na widok własnego odbicia przeżył szok i znowu poczuł zbyt dobrze znany ucisk w piersi, a jego oddech stał się szybki, urywany. Odwrócił wzrok i spieszenie wyszedł z powrotem na korytarz, kierując się do salonu. Oparł się jedną ręką o ścianę, drugą przyłożył do czoła.

Rozejrzał się dookoła z przerażeniem.

W mieszkaniu było cicho niczym w grobie. Poza jedną jedyną lampą w rogu pokój był pusty, całe umeblowanie zostało sprzedane lub zajęte, tylko lekkie wgniecenia w wykładzinie leżącej na podłodze świadczyły o tym, że kiedyś coś na niej stało. Gdzie się podziało to wszystko? I gdzie podzieli się wszyscy? Wydawało się, że nie dawniej jak wczoraj salon rozbrzmiewał śmiechem, pełen wesołych, roześmianych twarzy. Tak łatwo było wtedy o uśmiech. Co sprawiło, że pokój opustoszał? Oczywiście znał doskonale odpowiedź na to pytanie, lecz ta wiedza bynajmniej nie była dla niego pociechą, więc czym prędzej odpędził od siebie myśli.

Wszedł do kuchni i przystanął przy bufecie. Marmurowe płytki ziębiły jego bose stopy. Wpatrywał się w zaadresowaną do niego, nie rozpieczętowaną kopertę. Nadeszła wczoraj jako przesyłka polecona. Podniósł ją do oczu.

- Jason Mirabella - przeczytał na głos ze zdziwieniem, jak gdyby adresat był dla niego kompletnie obcym człowiekiem. - Kto to jest?

Tylko częściowo był to żart, miał bowiem wrażenie, że jego nazwisko nie należy już do niego, lecz do kogoś innego, żyjącego w innym miejscu i innym czasie. Czuł się, jakby został wyrzucony z tego świata i uwięziony niczym duch - gdzieś w mrocznej pustce między jednym a drugim życiem.

Jason rzucił kopertę z powrotem na blat bufetu. Jakiż sens ją otwierać, skoro doskonale wiedział, co zawiera. List żądający, by opuścił mieszkanie z powodu niepłacenia czynszu. Od pewnego czasu spodziewał się tej wiadomości. Niespodzianką było jedynie to, że nie otrzymał jej wcześniej.

Zadzwoił telefon, przerywając ciszę. Jason drgnął i przez moment zawahał się, czy odebrać. Ostatnimi czasy prawie nikt do niego nie telefonował, a jeśli już, to najczęściej po to, by się upomnieć o pieniądze. Elektrownia. Gazownia. Właściciel mieszkania. Właściciele barów i restauracji, którzy kiedyś z radością pozwalali mu nabijać rachunki. Jason był winien więcej niż kilka dolarów więcej niż kilku ludziom. Nie miał ani grosza, by spłacić długi, postanowił więc przeczekać, aż włączy się automatyczna sekretarka.

- Jay, to ja, Eddie - usłyszał męski głos. - Odbierz, stary, wiem, że tam jesteś.

Jason wziął głęboki oddech i sięgnął po słuchawkę.

- Słucham?

- Cześć, a nie mówiłem? - rzekł bez skrępowania. - Wiedziałem, że ukrywasz się w domu i nie odbierasz niechcianych telefonów. No to jak się umawiamy? Gdzie dzisiaj imprezujemy?

Był to ze strony Eddie'ego życzliwy gest. Zdawał sobie doskonale sprawę z sytuacji Jasona i starał się traktować ją lekko, za co ten był mu szczerze wdzięczny. Eddie był jedynym spośród dawnych przyjaciół, który nie uciekał i nie ukrywał się za każdym razem, gdy Jason próbował się z nim skontaktować. Jedynym, który wciąż chciał mu w jakikolwiek sposób pomóc.

Jason rzucił okiem na kopertę leżącą na bufecie.

- Nie mam pojęcia gdzie - stwierdził z westchnieniem - ale mogę ci powiedzieć, że z pewnością nie tutaj. - Umilkł na chwilę i przytknął oczy, jak gdyby się modlił. - Masz coś dla mnie? - spytał.

Po drugiej stronie linii telefonicznej zapanowała cisza.

- Nic - odparł w końcu Eddie. - Podałem twoje nazwisko kilku osobom tutaj i w wytwórni, zapewniając, że jesteś marketingowym geniuszem i że byłbyś świetnym pracownikiem, ale na razie nie ma chętnych. Poza tym niewiele jest tutaj do zaoferowania poza machaniem miotłą.

- Tak myślałem - rzekł Jason z rezygnacją. - Ale dzięki, że chciałeś mi pomóc.

- Hej, nie poddawaj się - pocieszył go Eddie.

- Musisz się zdobyć na cierpliwość. Trochę to pewnie potrwa, zanim miną wszystkie kłopoty, w które się wpakowałeś, nie podejmuj więc żadnych działań i czekaj spokojnie. Dobrze wiesz, jak tutaj jest. Los Angeles żyje dniem dzisiejszym. Trzeba tylko dać ludziom trochę czasu, żeby zapomnieli o przeszłości. Rozumiesz?

Jason przytaknął, choć raczej bez przekonania. Owszem, dobrze rozumiał jego słowa, lecz powątpiewał, czy przyjaciel ma rację. Już dawno odkrył, że przeszłość często kładzie się cieniem na teraźniejszości bez względu na to, czy człowiek stara się usilnie ją pogrzebać, czy też ma nadzieję, że ona gdzieś odpłynie i zniknie na zawsze, niczym chmury na horyzoncie.

Jason próbował słuchać Eddie'ego, który w dalszym ciągu usiłował podnieść go na duchu, lecz mimo woli nieuchronnie wracał myślami do tamtego głosu i muzyki. Dźwięki rozbrzmiały jeszcze raz w jego głowie i znów obudziły w nim ten sam głód, to samo osobliwe pragnienie, którego nie potrafił nazwać, lecz które nie dawało mu spokoju.

Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej stawało się dla niego jasne, że być może ta dziwna, wzbierająca w nim tęsknota nie jest mu wcale tak obca, jak początkowo sądził. Uświadomił sobie, że narastała ona stopniowo od wielu dni, nękała go z coraz większą natarczywością, tylko jego dziecinne duma i upór czyniły go ślepym na prawdę. Teraz, słuchając jednym uchem Eddie'ego, zdał sobie sprawę, że nie może dłużej ignorować tego wołania. Jego myśli kłębiły się niczym pociemniały ocean, aż nagle wszystko stało się dla niego jasne, jak gdyby błysk odległej latarni morskiej przedarł się przez mrok, by pokazać mu, dokąd powinien się udać.

Do domu.

- Jay - spytał Eddie - jesteś tam jeszcze?

- Jestem - odrzekł Jason.

- No więc co o tym myślisz? Co zamierzasz zrobić?

Jason zastanawiał się przez chwilę.

- Zamierzam się umyć - odpowiedział w końcu. - A potem wracam.

- Dokąd? Na Wschód?

- Właśnie.

- Daj spokój, chyba żartujesz - fuknął Eddie. - Jak możesz tam wrócić? Dobrze wiesz, że uwielbiasz Los Angeles. Czy nie mówiłeś zawsze, że to twoja kochanka?

- Może i mówiłem - przyznał Jason. - Ale, jak z pewnością zauważyłeś, ta kochanka mnie rzuciła.

Na drugim końcu linii zapadła długa cisza.

- A więc jak długo planujesz tam pozostać?

Jason znowu wziął do ręki kopertę, wpatrując się w swoje nazwisko.

- Nie wiem - odparł. - Tak długo, jak będzie trzeba.

*

Nazajutrz Jason Mirabella stał w terminalu międzynarodowego lotniska w Los Angeles. Po przeszukaniu wszystkich kieszeni ledwie udało mu się uzbierać dość pieniędzy, by zapłacić za taksówkę na lotnisko. Gdy zajął miejsce w kolejce do kasy biletowej, z torbami podróżnymi w ręku, uświadomił sobie, że wyjeżdżając z Los Angeles, ma przy sobie mniej, niż kiedy przyjechał tutaj cztery lata temu. Miał wrażenie, że tamten dzień wraz z jego obietnicami należy do zamierzchłej przeszłości, jakby był tylko snem. Jason pokręcił głową, odpędzając wspomnienia.

- W czym mogę pomóc? - spytała sympatyczna młoda kobieta, gdy nareszcie dotarł do kontuaru.

Kiedyś Jason skwitowałby to niewinne pytanie jakimś żartem, dawno już jednak stracił pewność siebie. W tej chwili potrafił zdobyć się jedynie na uśmiech.

- Chodzi mi o lot do Providence - odpowiedział.

Jason pomyślał ponuro, że mógłby zadzwonić wcześniej, by dokonać rezerwacji, ale operator wyłączył mu wczoraj telefon, zaraz po jego rozmowie z Eddie'em.

- Hm, spójrzmy, co uda mi się dla pana znaleźć - rzekła młoda kobieta, przebiegając wzrokiem ekran monitora.

Jason czekał, rozglądając się dookoła. Pasażerowie wchodzili do terminalu i przemierzali go wzdłuż i wszerz. Biali, czarnoskórzy, Azjaci, Latynosi. Jak gdyby znalazł się w centrum świata, szykując się do podróży na jego odległy kraniec.

- Mam coś dla pana - oznajmiła młoda kobieta po chwili - ale niestety nie jest to połączenie bezpośrednie.

- W porządku - zgodził się Jason. - Nie spieszy mi się zbytnio. Po prostu szukam najlepszego możliwego lotu.

- Myślę, że sobie poradzimy. Czy życzy pan sobie bilet powrotny? - spytała.

Jason zawahał się i jeszcze raz obrzucił terminal nostalgicznym spojrzeniem.

- Nie - westchnął w końcu. - W jedną stronę.

Następnie podał dziewczynie kartę kredytową, modląc się, by była ważna.

ROZDZIAŁ

drugi

- Nie da się go naprawić.

Te słowa padły z ust Sala, mechanika z warsztatu.

Werdykt został wygłoszony z absolutną nieodwołalnością. Temat został definitywnie zamknięty. Ton Sala nie pozostawiał wątpliwości co do jego opinii. Mechanik przeanalizował wszystkie fakty, zbadał sytuację na wszelkie możliwe sposoby i ostatecznie wygłosił werdykt z powagą przewodniczącego sądu najwyższego.

Pieca nie da się naprawić. Koniec, kropka.

Zadowolony z siebie Sal chrząknął z satysfakcją, jakby chciał oznajmić, że podejrzania, które żywił od dawna, w końcu się potwierdziły. Wciąż jeszcze klęcząc na jednym kolanie, spojrzął przez ramię na stojącego za nim mężczyznę, który z dużym zainteresowaniem przyglądał się jego działaniom. Na twarzy mechanika malował się lekki niepokój, lecz nie na tyle duży, by mógł przerodzić się w poważne strapienie.

Obaj znajdowali się w piwnicy o niskim suficie i kamiennych ścianach, w której ledwie dawało się oddychać. Mieściły się tu jedynie ogromny piec, zbiornik z olejem opałowym i dwa spore bojlerki. Najwyraźniej ponad sto lat temu budowniczy tego domu nie wzięli pod uwagę korzyści płynących z posiadania dużej, przestronnej piwnicy.

Sal odwrócił się w stronę pieca, przyjrzał mu się bacznie i jeszcze raz chrząknął z zadowoleniem, aby potwierdzić swoją wcześniejszą diagnozę.

Jednakże Giulio Mirabella, właściciel tak pieca, jak również całego domu, który piec ogrzewał, nie był w pełni przekonany o słuszności tej oceny i ewidentnie miał ochotę ją podważyć. Ze zmarszczonymi brwiami spoglądał ponad ramieniem mechanika, znowu lustrował wzrokiem „wnętrza” pieca, z latarką w jednej dłoni i śrubokrętem w drugiej.

- Jak to nie da się go naprawić? - spytał Giulio, usiłując zrozumieć istotę problemu.

Sal ostentacyjnie westchnął i wzniósł oczy ku niebu, sugerując, jak wielką trudność nastrecza mu wyjaśnienie takich spraw zwykłemu śmiertelnikowi. Poświecił latarką do środka pieca i skinął na Giulia, żeby przyjrzał się mechanizmowi z bliska.

- Widzisz tutaj? - Wskazał śrubokrętem palnik. - Nie nadaje się już do niczego.

Kompletny szmeln.

Giulio popatrzył na urządzenie z pewnym sceptycyzmem. Nie po raz pierwszy dowiedział się od Sala, że piec nadaje się tylko na złom. Prawdę mówiąc, Giulio słyszał tę samą diagnozę, ilekroć dzwonił do niego z prośbą o naprawę pieca. Tym razem zdarzyło się to właśnie teraz, gdy do południowej części Nowej Anglii dotarła fala lodowatego arktycznego powietrza i zima rozgościła się tam na dobre. Wkrótce w pokojach na górze zrobiło się przejmująco zimno i goście zaczęli narzekać. Jednakże mimo sugestii mechanika, by wreszcie pogodził się ze smutną oceną sytuacji i podjął odpowiednie kroki, Giulio nie był gotów, by się poddać.

- Na pewno potrafisz jakoś temu zaradzić - próbował go przekonywać.

Sal odłożył śrubokręt i latarkę, po czym złożył dłonie w błagalnym geście.

- Proszę, Giulio - powiedział. - Posłuchaj uważnie tego, co teraz powiem. Trzeba by cudu, żeby naprawić ten rupieć, a wierz mi, nie jestem świętym.

Giulio nie dał się przekonać. Miał nikłą nadzieję, że pomimo fatalnego stanu palnika sprawa z piecem nie jest całkowicie przegrana.

- Zamiast gadać, wymyśl coś, co pomoże nam przetrwać jeszcze tę jedną zimę - błagał Sala żarliwie. - Wiem, że potrafisz to zrobić. Jeszcze jedna zima, o nic więcej nie proszę.

- Ach, powtarzasz to samo co roku - gderał Sal.

- Tak, i co roku udaje ci się wyciągnąć nas z kłopotów - zauważył Giulio, wyczuwając zmianę w zachowaniu mechanika, który wyraźnie zmiękł i nie był już tak stanowczy.

- Giulio, dlaczego nie chcesz mi uwierzyć? - lamentował. - Potrzebny ci nowy piec. Gdybym nawet zdołał uruchomić tego staruszka, a nie obiecuję, że dam radę, jest on już naprawdę niewydajny. Wyrzucasz pieniądze w błoto. Czas ponownie zainwestować. Czemu nie dajesz przemówić sobie do rozsądku?

- Wiem, wiem - westchnął Giulio, wruszając ramionami. - Pewnie masz rację...

- Mam rację!

- Hm, może - mówił dalej Giulio. - Ale widzisz, przyzwyczailem się do tego starego pieca. Zdaję sobie sprawę, że czasami miewa humory, ale stał się dla mnie niemal członkiem rodziny. Nie mogę tak po prostu go wyrzucić.

- Owszem, możesz - mruknął Sal, choć w tej chwili było jasne dla nich obu, że stracił przewagę w tym starciu, jeśli w ogóle kiedykolwiek ją miał. Podniósł obie ręce do góry i spojrzał na Giulia z konsternacją.

Giulio uśmiechnął się do niego przyjaźnie i poklepał go po ramieniu.

- Jestem absolutnie pewny, że coś wymyślisz, Sal - powiedział.

Mechanik wydał gniewny pomruk, mamrocząc pod nosem niewybredne uwagi o skąpstwie klienta. Udając, że nic nie słyszał, Giulio zakasłał nerwowo i pomaszerował w kierunku schodów.

- Tym razem niczego nie obiecuję! - zawołał za nim Sal. - Nie daję żadnej gwarancji!

- Oczywiście - odkrzyknął Giulio przez ramię.

- Zrób tylko to, co możesz.

Chwycił się poręczy i żwawo ruszył w górę po zakurzonych drewnianych schodach.

W holu na parterze przywitał go szum odkurzacza, dobiegający z któregoś pomieszczenia na pierwszym piętrze, i brzęk talerzy i sztućców zbieranych po śniadaniu w jadalni. W salonie jego syn Raymond pogwizdywał jakąś melodię, zmieniając żarówkę w jednym z kinkietów. W gabinecie córka Natalie rozmawiała przez telefon, rezerwując pokój dla przyszłego gościa. Był późny ranek, prawie południe, typowa krzątania podczas zwyczajnego dnia w Bradley Mansion Inn.

Pensjonat Bradley Mansion, zbudowany pod koniec dziewiętnastego wieku, położony w eleganckiej w owych czasach dzielnicy na obrzeżach Providence, był niegdyś siedzibą zamożnego potentata przemysłowego, producenta materiałów włókienniczych. Gdy w końcu majątek rodzinny stopniał, podobnie zresztą jak majątki sąsiadów, wspaniała rezydencja z pięknymi dużymi oknami, wysokimi sufitami i ręcznie robionymi meblami we wszystkich przestronnych pokojach stopniowo popadała w ruinę. Kilkakrotnie zmieniła właściciela, aż wreszcie została opuszczona. Taka historia powtarzała się w tych stronach wiele razy i elegancka dawniej dzielnica zmieniła się w wymarłe miasto.

W młodości Giulio Mirabella miał się różnych fachów ze skromnym raczej sukcesem, aż w końcu postanowił spróbować sił jako menedżer w miejscowej agencji obrotu nieruchomościami. Właśnie wtedy, prawie czterdzieści lat temu, po raz pierwszy natrafił na tę rezydencję. W owym czasie była już tylko wyblakłym odbiciem swojej wspaniałej przeszłości i można ją było kupić dosłownie za bezcen. Ponieważ Giulio sam chciał zainwestować w jakąś nieruchomość, zorganizował zwiedzanie okazałej budowli, planując wyremontować ją i przekształcić w powierzchnię biurową. Przez lata wiele innych pięknych domów w sąsiedztwie również przemieniono na gabinety lekarskie, kancelarie adwokackie, zakłady pogrzebowe i inne firmy. W ten sposób stare domostwa stawały się źródłem dochodu, a od niedawna zaręczony Giulio postanowił również spróbować swoich sił w tej dziedzinie.

Taki przynajmniej miał plan, dopóki nie zaprosił swojej przyszłej żony, Very, by towarzyszyła mu w zwiedzaniu domu. Niczym duchy wędrowali po niemal pustej rezydencji. Z obszernego holu udali się do jadalni, gdzie wciąż jeszcze wisiał oryginalny żyrandol, a

następnie do kuchni z dużymi blatami i pojemnymi szafkami, skąd szerokimi głównymi schodami z piękną balustradą weszli na pierwsze piętro. Obejrzeni sypialnie i tylnymi schodami zeszli do pomieszczeń dla służby, po czym wrócili do holu, minęli gabinet i w końcu znaleźli się w salonie, w którym królował ogromny kominek z gzymsem. Próbowali wyobrazić sobie, jak to wszystko wyglądało przed laty, w czasach swojej świetności.

Gdy tak stali oboje pośrodku salonu, Vera wzięła go za rękę, wpatrując się intensywnie w pusty kominek.

- Wyobraź sobie, jak cudownie byłoby przytulić się do siebie przed kominkiem, w którym płonąłby ogień - westchnęła z błyszczącymi oczami - a później położyć się spać w jednej z sypialń, by nazajutrz rano zjeść śniadanie w tej słonecznej niszy przy kuchni lub w jadalni, czy nawet tutaj, pod dużym oknem. Coś fantastycznego.

Myśl o tym zachwyciła Giulia i w tym właśnie momencie w jego głowie po raz pierwszy zaświtał pomysł na pensjonat Bradley Mansion Inn.

I tak to się zaczęło. Dalszy ciąg wszyscy znają.

Teraz Giulio, idąc korytarzem, wspominał swoją żonę. Zdarzało mu się to bardzo często podczas codziennego obchodu posesji. Pięć lat temu Vera niespodziewanie zachorowała i umarła, on jednak do dzisiaj słyszał jej głos, żartobliwie besztający go za to, że kroczy po pensjonacie niczym kapitan dokonujący inspekcji na okręcie. Analogia nie była pozbawiona racji, ponieważ Giulio pokochał ten stary dom równie mocno, jak kapitan kocha swój okręt. Dla niego był on czymś znacznie więcej niż tylko przyjemnym zlepkiem drewna, kamienia, gipsu i szkła. Stanowił żywy, oddychający organizm o własnej wyjątkowej osobowości i specyficznych zachowaniach. Chociażby dziwny szum kaloryferów (kiedy piec był w nastroju, by grzać) czy sposób, w jaki czasami wiatr szeptał i jęczał w kominie. Rano w powietrzu wciąż unosił się lekki zapach palonego wczorajszego wieczoru przy kominku drewna, zmieszany z ciepłym aromatem parzonej kawy. Zależnie od pory dnia wpadające przez okno promienie słońca kreśliły coraz to inne wzory na podłodze i ścianach, a atmosfera w każdym pokoju zmieniała się, w miarę jak słońce wędrowało ze wschodu na zachód. Giulio szczególnie lubił porę, gdy po południu słońce oświetlało schody i podest, rzucając długie cienie na korytarz, co nadawało wnętrzu aurę tajemniczości. Kiedy zjawiali się goście, dom brał ich w objęcia i trzymał w nich bezpiecznie i kojąco przez noc lub kilka. Rola gospodarza sprawiała Giuliovi wielką przyjemność, uwielbiał obserwować, jak dom rzuca na gości swój czar.

Mimo to prowadzenie pensjonatu bynajmniej nie było dla kapitana przyjemnym rejsiem wycieczkowym. Podobnie jak okręt, który żeglował zbyt długo po oceanie, stary dom

stale potrzebował jakichś napraw. Dzisiaj akurat był to piec, innego dnia instalacja wodno-kanalizacyjna, kiedy indziej futryny okienne lub przewody elektryczne, dach, któreś z drzwi albo jedna z tysiąca innych rzeczy. Wiele do życzenia pozostawiał stan farby i tapet, o renowację prosiły się meble i stare dywany. Cienka linia dzieliła urok starego stylu od ruiny i Giuliovi z ogromnym trudem udawało się sterować okrętem. Musiał podejmować takie decyzje, by zarówno pasażerowie, jak i załoga, byli zadowoleni. Jego praca nigdy się nie kończyła.

Czasy nie zawsze były łatwe - pensjonat zaczął działać po latach wyrzeczeń i borykania się z problemami - i kiedy odeszła Vera, Giulio w pierwszej chwili rozważał, czy nie sprzedać posiadłości i wycofać się z interesu, nie wyobrażał sobie bowiem kierowania nim bez żony. Jednak dom i satysfakcja, jaką dawały mu bliskość dorosłych dzieci i wspólna praca, uratowały go przed kompletnym załamaniem. Czuł się w obowiązku odwzajemnić ich życzliwość i zrozumienie, dlatego został u steru, ale zawsze towarzyszyło mu wspomnienie pierwszej i jedynej małżonki.

Wchodząc na pierwsze piętro, Giulio spotkał na schodach trzymającą się pod rękę parę młodych Azjatów z Tajwanu. Grubo opatuleni, wybierali się chyba na jakieś zwiedzanie. Oboje dość dobrze mówili po angielsku, lecz byli grzecznie powściągliwi. Z tego, co zrozumiał wczoraj, gdy się meldowali, byli w podróży poślubnej. Dziwił się, że w samym środku zimy wybrali się do Providence, skoro mogli pojechać do jakiegoś cieplejszego regionu Stanów Zjednoczonych, ale cieszył się, że gości ich u siebie. Przywitał ich szerokim uśmiechem.

- Wyruszenie na zwiedzanie miasta? - spytał wesoło.

- Tak - odrzekł młody małżonek, skłoniwszy się uprzejmie.

- Jesteśmy tutaj po raz pierwszy - dodała żona melodyjnym głosem.

- Ach, w takim razie bawcie się dobrze - powiedział Giulio, jak zawsze szczęśliwy, że może pierwszy powitać nowo przybyłych do jego małego miasteczka. - Jeśli potrzebujecie planu miasta albo chcecie dowiedzieć się, gdzie znaleźć dobre restauracje, zrobić zakupy, czy też chodzi wam o jakąkolwiek inną informację, wstąpcie po drodze do gabinetu na dole, a moja córka z przyjemnością wam pomoże.

Młodzi ludzie skinęli z wdzięcznością głowami i pożegnali się, tymczasem Giulio wszedł na pierwsze piętro. Tam pani Martinez, Gwatemalka w średnim wieku, którą ostatnio zatrudnił, odkurzała chodnik, ciągnący się przez całą długość korytarza. Była tak sprawną i kompetentną gospodynią, jaką Giulio mógł sobie tylko wymarzyć, lecz równocześnie było w niej coś odpychającego. Rzadko się odzywała i zwykle bardzo lakonicznie. Więcej od słów

mówiły jej ciemne, pełne wyrazu oczy. Giulio nie był pewien, czy powodem jej małomówności jest niezbyt dobra znajomość angielskiego - sprawa jej obywatelstwa była dość problematyczna - czy też po prostu kobieta go nie lubi. Brał pod uwagę raczej pierwszą ewentualność, lecz nie mógł wykluczyć drugiej. Tak czy owak trudno znaleźć dobrą gospodynię, więc uznał za stosowne traktować ją z szacunkiem.

- Dzień dobry, pani Martinez - powiedział, mijając ją ostrożnie. Nie chciał, by pomyślała, że kontroluje jej pracę, chociaż właśnie to powinien robić. - Jak się pani dzisiaj miewa?

Gospodyni wyłączyła na chwilę odkurzacz i skinęła uprzejmie głową.

- Dzień dobry, panie Giulio - odrzekła lakonicznie, po czym dodała rzeczowym tonem: - Strasznie tu dzisiaj zimno.

Zmierzyła Giulia spojrzeniem, które bez wątpienia można było określić jako oskarżycielskie. Giulio poczuł się winny, że nie posłuchał rady Sala i uparł się, by jeszcze raz naprawiać stary, nic niewart piec. Wymamrotał coś, z czego wynikało, że pracuje właśnie nad tym problemem, po czym pospieszył na dalszy obchód.

Gdy wreszcie zszedł z powrotem na dół, w gabinecie zastał swoją córkę. Natalie, w narzuconym na ramiona swetrze, siedziała przy biurku i marszcząc ze zmartwieniem czoło, wprowadzała do komputera najnowsze dane dotyczące zajętych pokojów. W styczniu interesy jak zwykle szły nie najlepiej i trzy czwarte pensjonatu świeciło pustkami. Oczekiwanie, by zadzwonił telefon lub jakiś gość pojawił się w drzwiach wejściowych, mogło być naprawdę stresujące. Dręcząca obawa, że pokoje nigdy już się nie zapełnią, wisiała w powietrzu, lecz przez lata Giulio nauczył się, jak przetrwać trudny okres.

- Jak nam idzie dzisiaj? - spytał, podchodząc bliżej do biurka. - Nie słyszę, by ktoś się do nas dobijał.

- Rzeczywiście, tato, ale jest jeszcze wcześniej - powiedziała Natalie z uśmiechem, któremu zadawał kłam drżący głos. - Było kilka telefonów z pytaniem o ceny pokojów, ale żadnych rezerwacji.

Giulio uśmiechnął się ciepło do córki, wiedział bowiem, że często za bardzo się wszystkim przejmuje. Natalie wykonywała dla niego większość prac biurowych. Była jego drugim dzieckiem, jedyną córką i matką dwojga maluchów, które sprawiały wiele radości dziadkowi. Giulio miał raczej staroświeckie poglądy i czasami wolałby, żeby córka została z nimi w domu i nie przejmowała się pracą, lecz Natalie świetnie spisywała się jako recepcjonistka, a jeszcze lepiej jako księgowia. Nie poradziłby sobie bez niej, pocieszał się więc myślą, że dzieciaki są bezpieczne pod opieką teściowej Natalie, gdy ich rodzice byli w

pracy.

- Nie martw się - uspokoił ją. - Jestem pewien, że jeszcze przed weekendem sytuacja się poprawi. - Oparł się o brzeg biurka i wyjrzał na korytarz. - Gdzie jest Raymond? - spytał.

- Poszedł do sklepu żelaznego - odrzekła Natalie. - Myślał, że w kinkiecie w salonie wystarczy zmienić żarówkę, ale zdaje się, że trzeba wymienić całość.

Giulio pokiwał w zamyśleniu głową. Takie naprawy były na porządku dziennym. Na szczęście Raymond, starszy brat Natalie, był prawdziwą złotą rączką i świetnie sobie radził z różnymi pracami konserwatorskimi oraz naprawami. Pomagał także nadzorować funkcjonowanie pensjonatu. Chociaż brakowało mu inwencji twórczej, miał smykałkę do interesów i był pracowity. Prowadzenie pensjonatu pasjonowało go niemal tak samo jak ojca. Giulio był mu za to ogromnie wdzięczny. Pochylił się, by rzucić okiem na ekran monitora, gdy Natalie znowu zaczęła stukać w klawiaturę.

- Powiedz mi, czy ostatnio kontaktował się z tobą Jason? Nie miałem od niego wiadomości od czasu rozmowy telefonicznej w zeszłym miesiącu, kiedy to oznajmił, że nie przyjedzie do domu na święta Bożego Narodzenia.

- Nie, kompletna cisza - odparła Natalie. - Nie martw się, prędzej czy później się odezwie. Zawsze dzwoni.

- Możliwe - rzekł Giulio z rezygnacją.

Jason był najmłodszy z trojga dzieci Giulia. Nie miałby racji ten, kto nazwałby go trudnym dzieckiem; zawsze dobrze się uczył - prawdę mówiąc, był najzdolniejszy z całej trójki - i zwykle udawało mu się trzymać z dala od kłopotów. Miał własne zdanie na każdy temat i nigdy nie ulegał owczemu pędowi. Giulio zainwestował spore pieniądze w jego wykształcenie - college, a następnie studia biznesowe - i miał nadzieję, że ta inwestycja w jakimś stopniu mu się zwróci. Ale syna w ogóle nie interesowała rodzinna firma. Wyjechał do Kalifornii w poszukiwaniu szczęścia. Mimo że Giulio bardzo cierpiał z tego powodu, nie próbował go zatrzymać, zdawał sobie bowiem sprawę, że to bezcelowe. Kochał swoje dzieci jednakowo, ale do Jasona miał szczególną słabość, dlatego bez słowa skargi pozwolił mu pójść własną drogą. Wydawało się, że to posunięcie się opłaciło i kariera syna zaczynała się rozkręcać. Chociaż smuciło go, że Jason wyjechał tak daleko, by pracować dla obcych, Giulio nie mógł mieć mu za złe, że syn pragnie realizować swoje marzenia, a nie marzenia ojca.

Ogarnął go nagły smutek na myśl o odległości, jaka dzieli go od syna, lecz zaraz, jakby na pociechę, usłyszał terkot rur w ścianach. Chwilę potem trzasnęły drzwi w piwnicy i rozległy się kroki w korytarzu. W progu gabinetu stanął naburmuszony Sal. Giulio spojrzał na Natalie i trącił ją łokciem.

- Powiedz mi - rzekł szybko, zanim Sal zdążył otworzyć usta - czy ja się mylę, czy temperatura się podnosi?

- Nie zdziw się, jeżeli w przyszłym tygodniu zostanę kanonizowany - burknął mechanik, rzucając rachunek na biurko.

Giulio wybuchnął serdecznym śmiechem i poklepał Sala po plecach, czując się znowu jak kapitan statku Very. Wprawdzie jego łajba zaczęła przeciekać, ale przynajmniej utrzyma się na wodzie i będzie płynęła dalej przez kolejny dzień.

ROZDZIAŁ

trzeci

Jasona wcisnęło w fotel, gdy samolot oderwał się od pasa startowego i w strugach deszczu zaczął wzbijać się ku stalowoszaremu niebu. Maszyna przechyliła się lekko w jedną stronę i oczom młodego mężczyzny ukazało się w dole na mgnienie oka miasto. Z bólem serca patrzył, jak znika mu z pola widzenia, i przez moment poczuł znajomy ucisk w piersi, koszmarny atak paniki. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Przyłożył dłoń do szyby, jakby chciał zatrzymać miasto choć na chwilę, zabrać ze sobą wszystkie marzenia, które tam zostawiał. Poczul lekkie chybotanie, gdy samolot wzlatywał coraz wyżej, od skrzydeł gwałtownie odbijały się krople wody, a potem Los Angeles zniknęło za zasłoną chmur.

Jason ze smutkiem gapił się w okno, aż w końcu oślepiło go jaskrawe światło słoneczne, a na zewnątrz od horyzontu do horyzontu rozpostarła się kopuła czysto błękitnego nieba. Samolot leciał najpierw do Houston - był to pierwszy przystanek w długiej drodze, która miała zaprowadzić Jasona do rodzinnego domu w Rhode Island. Wolałby połączenie bezpośrednie, lecz w obecnej sytuacji tylko na to mógł sobie pozwolić. Czekał go nużący dzień.

Po krótkim czasie zabrzączał głośnik i kapitan poinformował pasażerów, że samolot osiągnął stałą wysokość przelotu, więc można swobodnie poruszać się po pokładzie. Jason odpiął pas i usadowił się wygodnie, próbując pomyśleć o czymś przyjemnym. Ale ostatnio jego myśli niezmiennie wędrowały w przeszłość, czyli do jedynego miejsca, którego pragnął uniknąć. Dlatego zaczął po prostu wpatrywać się w nieskończony bezmiar nieba, starając się ze wszystkich sił nie myśleć w ogóle o niczym.

- Hej, kolego, masz na coś ochotę? - wyrwał go z odrętwienia czyjś głos. Należał do przysadzistego mężczyzny koło czterdziestki, który siedział w sąsiednim fotelu. Od chwili gdy wsiadł do samolotu, przeglądał poranną gazetę. Wpatrywał się w Jasona przyjaznym, pytającym wzrokiem, wskazując na stewardesę, która kilka minut temu przyniosła kartę napojów. Pochłonięty własnymi problemami Jason nie usłyszał, jak pytała go, czy życzy sobie drinka.

- Och, przepraszam - powiedział, siadając prosto. Zlustrował wzrokiem kartę. W tym momencie przydałby mu się mocny drink, ale i tak nie starczyłoby mu pieniędzy, żeby za niego zapłacić. - Poproszę piwo imbirowe.

- Dla mnie Dewar's i woda, jeśli nie masz nic przeciwko temu, kochanie - zawołał jego sąsiad do stewardesy. Pochylił się do Jasona i mrugnął do niego porozumiewawczo. - Wiem, że jest jeszcze na to trochę za wcześnie, ale mimo że latałem tą trasą setki razy, wciąż potrzebna mi jest niewielka dawka środka znieczulającego, żeby przetrwać lot - jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Jason uśmiechnął się do niego półgębkiem, lecz poczuł się zażenowany. Nie był w nastroju do rozmowy, a czuł, że trafił mu się szczególnie gadatliwy towarzysz podróży. Czekaający go długi dzień zapowiadał się na jeszcze dłuższy.

Stewardesa podała im napoje. Mężczyzna upił łyk whisky, po czym wyciągnął do Jasona rękę.

- Mam na imię Burt - oznajmił. - Cieszę się, że z tobą podróżuję. - Zabrzmiało to, jak gdyby spotkali się na konnej przejażdżce i szykowali się do wspólnej jazdy przez prerię.

Jason z ociąganiem przedstawił się i uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Ach, do diabła, kolejne rozczarowanie - powiedział Burt, kręcąc z przygnębieniem głową.

- Słucham? - Jason spojrzał na niego z konsternacją.

- Nie bierz tego do siebie - uspokoił go Burt.

- Po prostu miałem nadzieję, że kiedyś uda mi się siedzieć obok Ernie'ego. Widzisz, moja córeczka ma zaledwie pięć lat i uwielbia tych dwóch szmaccianogłowych półgłupków z *Ulicy Sezamkowej*. Cholernie chciałbym choć raz wrócić do domu i powiedzieć mojemu słodkiemu maleństwu, że dziś Burt i Ernie lecieli jednym samolotem. Oczywiście imię tamtego Burta pisze się przez E, ale to żaden problem.

Jason mimo woli parsknął śmiechem.

- Rozumiem, że mieszkasz w Houston - powiedział.

- Tak. Na przedmieściach. Pracuję w ubezpieczeniach: nieruchomości i następstwa nieszczęśliwych wypadków. Mam kilku poważnych klientów w Los Angeles, więc muszę wpadać tam od czasu do czasu i robić dobre wrażenie. A ty co porabiasz? Lecisz do Houston w interesach?

- Nie, prawdę mówiąc, też wracam do domu - odparł cicho Jason. - W Houston mam międzyładowanie w drodze do Rhode Island.

- Wybrałeś trasę niczym cysterna rozwożąca mleko - zauważył Burt, uważnie

przyglądając się swojemu drinkowi. Upił spory łyk, po czym spytał: - A czym się zajmujesz w starym pocziwym Rhode Island?

- Obecnie niczym - wyznał Jason. - Przez ostatnie cztery lata mieszkałem w Kalifornii.

- Co tam robiłeś? - naciskał Burt z zainteresowaniem, które sprawiało wrażenie szczerego.

I znowu Jason wpadł w zakłopotanie. Pytanie było niewinne, ale sprawiło, że kark zaczął go piec ze wstydu i ogarnęły go wyrzuty sumienia. Poczł się jak wyczerpany pływak, który znalazł się nagle bardzo daleko od brzegu.

- Hm, zajmowałem się marketingiem - przyznał niechętnie.

- Zajmowałeś się?

- Wracam do Rhode Island... przynajmniej na razie - odrzekł z wahaniem Jason.

- Gdzie pracowałeś w Los Angeles? - nie przestawał dopytywać go Burt.

Jason nie odpowiedział od razu. Gdyby chciał, mógłby po prostu zignorować to pytanie lub wymyślić fikcyjną nazwę firmy. Burt był dla niego zupełnie obcym człowiekiem, cłż go to więc obchodziło? Z jakiegoś powodu jednak czuł wewnętrzny przymus, by wyznać prawdę. Mimo to najpierw szybko zerknął na innych pasażerów w sąsiedztwie. Wszyscy czytali, słuchali muzyki lub rozmawiali. Raczej nikt nie przysłuchiwał się ich pogawędce.

- Firma Med-Device Technologies, sprzęt medyczny - odrzekł w końcu, zniżając głos, chociaż nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

- Med-Device, Med-Device - powtórzył w zamyśleniu Burt. - Brzmi jakoś znajomo.

Jason milczał.

- Ach, chyba sobie przypominam - rzekł wreszcie Burt. - Czytałem o was w gazecie jakiś czas temu, kiedy byłem w L. A. Czy to przypadkiem nie wy próbowaliście sprzedawać implant serca czy urządzenie do przetaczania krwi, albo cłż w tym rodzaju?

- Jason tylko potaknął głową, czekając z obawą, ile z całej historii przypomni sobie jego sąsiad.

- Hmm - mruknął Burt, mierząc go poważnym spojrzeniem. - Jeśli dobrze pamiętam, wpakowaliście się, chłopcy, w niezłe kłopoty. Naprawdę spieprzyliście sprawę. To miało cłż wspólnego z badaniami klinicznymi, których nie przeprowadziliście, prawda?

Jason w dalszym ciągu się nie odzywał, zdając sobie sprawę, że jego mina jest wystarczającą odpowiedzią. Czekał na słowa reprimendy, lub przynajmniej pogardliwy grymas. Przyzwyczał się już do takich reakcji. Jednak ku jego zdziwieniu nic takiego nie nastąpiło. Burt dokończył po prostu swoją whisky i zanim odstawił pustą szklaneczkę, przyglądał się jej przez chwilę.

- Cóż, przypuszczam, że ja też nie miałbym ochoty o tym gadać - stwierdził. - Nie dziwię się też, że wyjeżdżasz z miasta. Prawdopodobnie postąpiłbym tak samo. - Burt wyjął gazetę i otworzył ją na sekcji sportowej. - Powiedz mi tylko jedno - dodał, nim zabrał się do czytania - to znaczy, jeśli możesz. Jak, u diabła, mogliście w ogóle sądzić, że ujdzie wam to na sucho?

Jason westchnął głęboko.

- Musiałbyś tam być - odrzekł w końcu.

Potem odwrócił się do okna i znowu zapatrzył się w bezkresne niebo.

ROZDZIAŁ

czwarty

Jadąc ulicami Providence, z powrotem do Bradley Mansion Inn, z torbą na sąsiednim siedzeniu pełną części zapasowych do oświetlenia w salonie, Raymond Mirabella popatrzył smętnie na linię dachów na tle nieba. Wiedział, że Providence jest daleko do Manhattanu, lecz w porównaniu z miastem jego dzieciństwa postęp był ogromny. Wtedy centrum miasta stanowiło kilka budynków, które można było nazwać wysokimi, a poza tym nie bardzo było się czym chwalić. Ale czasy się zmieniły i miasto przeżywało coś na kształt prawdziwego renesansu. Providence, niegdyś obiekt żartów, nagle rozkwitło, stało się chętnie odwiedzanym miejscem, tętniło życiem. Zburzono stare, zniszczone budynki, zagospodarowano nadbrzeże, co sprawiło, że miasto zaczęło przyciągać turystów jak magnes. Różne firmy przenosiły tu swoje siedziby i nie było chyba dnia, by nie ogłoszono nowych planów lub nie rozpoczęto budowy kolejnego błyszczącego wieżowca.

Oczywiście ta działalność wychodziła na dobre małemu miasteczku i jego otoczeniu. Ale gdy Raymond spoglądał na zmieniający się pejzaż miejski, martwiło go, że tak wiele z tych nowych budynków to hotele. Wielkie, piękne, nowoczesne hotele z restauracjami, sklepami, salami konferencyjnymi, nocnymi klubami i wszelkimi udogodnieniami, jakie tylko można sobie wymarzyć. To one miały świetne perspektywy, ale nie tego rodzaju konkurencji pragnie człowiek, który utrzymuje się z prowadzenia pensjonatu mieszczącego się w zabytkowej rezydencji.

Na ich widok Raymond czuł ucisk w żołądku.

Uwielbiał pomagać ojcu w prowadzeniu pensjonatu, dorastał tutaj i znał miasto od podszewki, świetnie sobie radził, lecz w obliczu rosnącej z dnia na dzień konkurencji zastanawiał się, kiedy ich pensjonat zostanie skierowany do rozbiórki. Jeśli mają nie tylko przetrwać, ale dalej istnieć i rozwijać się, ich mała firma wymaga zmian i wielu przeobrażeń, ale w tym momencie nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Jechał więc dalej, bębniąc palcami w kierownicę, z nadzieją, że pewnego dnia w niedalekiej przyszłości przyjdzie mu do głowy właściwe rozwiązanie.

Gdy Raymond wszedł do Bradley Mansion, Natalie wciąż siedziała przy biurku w

gabinecie, czytając poranną pocztę.

- Wciąż tak zimno na dworze? - spytała, gdy rzucił kurtkę i czapkę na wieszak.

- Lodowa - burknął, wzdrygając się. - Dzięki Bogu zdaje się, że ogrzewanie znowu działa.

- Raczej dzięki Salowi - zażartowała Natalie. - Właśnie przed chwilą wyszedł.

Raymond jęknął.

- Ile nas to będzie kosztowało tym razem? - spytał.

- Nie jest źle - uspokoiła go Natalie, wzdychając lekko. - Przypuszczam, że mniej niż nowy piec.

- Tak, na pewno - wymamrotał pod nosem Raymond - ale najwyższy czas, bym sam nauczył się tym zajmować. Wydatki rosną jak szalone. - Przysiadł na brzegu biurka, obserwując siostrę. - Nikt do mnie nie dzwonił?

Natalie podniosła na niego zatroskany wzrok i pokręciła przecząco głową.

- To bardzo spokojny miesiąc - zauważyła. - Jak myślisz dlaczego?

- Nie wiem - odparł. - Ale powiem ci tylko, że za każdym razem, kiedy przejeżdżam obok którejś z tych nowych inwestycji, zaczynam się mocno denerwować.

- Wiem, co masz na myśli. Uważasz, że dlatego tracimy klientów?

Raymond wzruszył ramionami.

- Trudno wyczuć - odrzekł. - Tata wciąż mi powtarza, że nie powinniśmy się martwić, że mamy swoje własne kameralne miejsce i ludzie, którzy przyjeżdżają do nas, nie zechcą zatrzymać się w wielkim hotelu, bez względu na to, jak bardzo jest luksusowy. Kto wie, może ma rację. Zeszłej zimy też było słabo na początku, a w sumie rok okazał się całkiem udany. No ale poczułbym się o wiele lepiej, gdyby do wieczora zapełniło się kilka pokoi.

- To co robimy? - spytała Natalie.

- Na razie musimy chyba spokojnie siedzieć i czekać, aż zadzwoni telefon.

- My? - zbesztła brata Natalie. - Może w końcu ty posiedziałbyś trochę przy telefonie? Ja waruję przy nim praktycznie przez cały dzień.

Raymond uśmiechnął się i podniósł do góry torbę z częściami zapasowymi.

- Chętnie bym dla odmiany posiedział - zapewnił siostrę - ale czeka mnie jeszcze kupa roboty.

- Więc bierz się do pracy, panie Złota Rączka - rzekła Natalie, pokazując mu drzwi.

Raymond parsknął śmiechem i wyszedł, by zająć się naprawą oświetlenia w salonie.

ROZDZIAŁ

piąty

Wyciągnął nogi, skrzyżował ramiona i ziewnął, trochę ze znużenia, ale bardziej z nerwowego napięcia. Siedział wraz z innymi pasażerami przy jednym z wyjść na międzynarodowym lotnisku O'Hare, czekając, by wezwano ich na pokład samolotu lecącego do Providence. Lot miał spore opóźnienie i w powietrzu wyraźnie dawało się odczuć rosnący niepokój.

Popatrzył przez szybę na stojące w szeregu samoloty. Lekki śnieg prószył z zachmurzonego nieba nad Chicago, co tylko pogłębiało obawy oczekujących, że lot jeszcze bardziej się opóźni. Jason nie widział śniegu od czasu przeprowadzki do Kalifornii i widok wirujących płatków uświadomił mu, jak cienka jest kurtka, którą ma na sobie. Tam dokąd się wybierał, było zimno, a on zupełnie się na to nie przygotował.

Przycisnął brodę do piersi i objął się ciasniej ramionami. To nie chłód ani opóźnienie lotu były przyczyną jego zaniepokojenia, lecz coś innego, nieokreślony lęk, który stawał się coraz silniejszy, odkąd Jason wyleciał z Houston, gdzie rozstał się z Burtem, gadatliwym sąsiadem pracującym w ubezpieczeniach. Podczas lotu do Chicago fotel obok niego był pusty, spróbował się więc wyciągnąć i trochę zdrzemnąć, jednak przez cały czas dręczyły go wątpliwości. Wątpliwości dotyczące tego, co się stało z jego życiem, i co zamierza dalej z nim zrobić. Wątpliwości, czy wracać do domu i stanąć twarzą w twarz z ojcem. Wątpliwości, co powinien mu powiedzieć, jak się wytłumaczyć. Co ojciec sobie o mnie pomyśli? - zastanawiał się. Co oni wszyscy sobie pomyślą?

Takie myśli dręczyły Jasona, gdy czekał na komunikat linii lotniczych. W głębi duszy miał nadzieję, że jak najdłużej nie będzie go słyszał, ponieważ zwłoka przynosiła mu lekką ulgę, stanowiła coś w rodzaju tymczasowego odroczenia wyroku, który sam na siebie wydał. Wciąż jeszcze mógł zmienić zdanie, pójść za wewnętrznym głosem, podsuwającym mu owe wątpliwości, wpaść na inny pomysł, zrealizować inny plan, pojechać dokądkolwiek indziej - pod warunkiem że podejmie szybką decyzję.

To była jego ostatnia szansa.

Jason podniósł głowę i obrzucił spojrzeniem pasażerów siedzących w pobliżu. Jedni

gawędzili ze sobą spokojnie - lub, w wielu przypadkach, narzekali - inni przemierzali salę w tę i z powrotem z telefonami komórkowymi przy uchu. Po drugiej stronie przejścia zobaczył siedzących w fotelach obok siebie mężczyznę i kobietę, w jego wieku. W przeciwieństwie do reszty zebranych najwyraźniej nie przejmowali się opóźnieniem. Prawdę mówiąc, wydawali się absolutnie spokojni. Ujawszy mężczyznę pod rękę, młoda kobieta leniwie oparła mu głowę na ramieniu, pieszcząc jednocześnie jego dłoń. Z kolei mężczyzna pochylił się teraz ku niej bliżej i czule pocałował ją w głowę. Kochankowie w ogóle nie zauważali upływu czasu. Podczas gdy wszyscy inni zachowywali się jak zwierzęta zamknięte w klatce, oni jedni przebywali w swoim własnym świecie.

Jason zazdrościł im tego zwykłego szczęścia, jakie bez wątpienia przepelniało ich serca. Kiedyś, całkiem niedawno temu, znał to uczucie - a przynajmniej tak wtedy myślał - gdy człowiek wie, że jest we właściwym miejscu we właściwym czasie z osobą, która została mu przeznaczona. Im dłużej obserwował tych dwoje, tym dotkliwiej cierpiał z powodu utraty tego, co niegdyś miał, więc odwrócił wzrok. Gapił się przez okno na prószący śnieg, obserwując wirujące, tańczące w powietrzu płatki i próbując zapomnieć o wszystkim. Niestety, jego myśli nieubłaganie powędrowały ku tamtym pierwszym dniom w Kalifornii, kiedy wydawało się, że za nic w świecie nie potrafiłby zrobić nic złego.

*

- Trzymaj z nami, stary, a daleko zajdziesz.

Takie zapewnienie Jason usłyszał od Phila Langwaya, starszego wiceprezesa od spraw marketingu, gdy przed czterema laty zaproponowano mu pracę w Med-Device Technologies. Med-Device było młodą, dobrze zapowiadającą się firmą, która zajmowała się projektowaniem i produkcją sprzętu medycznego. Ich sprzedaż i udział w rynku były stosunkowo niewielkie, lecz wyższe kierownictwo pokładało duże nadzieje w nowym, właśnie opracowywanym produkcie. Nazwali go ProCardial - był to najnowocześniejszy implant chirurgiczny, który miał zrewolucjonizować leczenie arteriosklerozy oraz innych chorób układu naczyniowego. Był pierwszym z produktów tego typu, które znajdowały się w fazie projektowania w Med-Device, i jednocześnie tym, który budził największe emocje. Według Phila Langwaya potrzebowali jedynie młodego, energicznego zespołu, który pomógłby firmie w zbieraniu funduszy od zewnętrznych inwestorów. Pieniądze były konieczne, aby sfinansować badania kliniczne, wymagane dla otrzymania akceptacji FDA - urzędu kontroli leków i żywności, a następnie, by wprowadzić produkt na rynek, gdzie bez wątpienia odniesie sukces.

Langway uprzedził Jasona, że jego wynagrodzenie początkowo będzie skromne. Dużą

część zarobków miał dostać w postaci akcji firmy. Szef dodał z wyraźnym błyskiem w oku, że jeśli sprawy z ProCardia potoczą się zgodnie z planem i pewnego dnia firma wystawi akcje na sprzedaż, wszyscy przejdą na emeryturę jako bardzo bogaci ludzie.

Jason nie zastanawiał się długo nad tą propozycją.

O takiej okazji marzył od pierwszego dnia studiów biznesowych. Należał do tego typu pracowitych ludzi, którzy dążą z determinacją do celu i mają wielkie plany. Nigdy nie brał pod uwagę możliwości, by wrócić do Rhode Island i pracować w rodzinnym biznesie. Od samego początku wiedział, że musi się usamodzielnic, wyjechać dokądś, gdzie będzie mógł rozwinąć skrzydła i pójść własną drogą. Ukończył studia jako jeden z najlepszych i otrzymał propozycje z kilku firm o ustalonej reputacji. Wszystkie oferowały mu wyższą pensję, ale żadna z nich nie wzbudziła w nim takiego zainteresowania jak Med-Device. Tu widział możliwość zaangażowania się od samego początku w jakieś duże przedsięwzięcie. Bez namysłu skorzystał z tej szansy i przeniósł się do Los Angeles.

Od tej chwili świat stanął przed Jasonem otworem, wszystko szło jak z płatka. Kochał swoją pracę - była pasjonująca, wszystko działo się tak szybko - i kochał Los Angeles. Uwielbiał tamtejszą pogodę i plaże. Przepadał za restauracjami i nocnymi klubami. Wszystko w tym mieście mu się podobało, a najbardziej kobiety - zresztą z wzajemnością.

Jakże mogłoby być inaczej? Oczarowane jego chłopięcą urodą, lgnęły do niego jak muchy do miodu. Nie dość, że był przystojny i uroczy, to w dodatku lubił szastać pieniędzmi. Bawił się równie intensywnie, jak pracował. W miarę umacniania się jego pozycji w Med-Device rosło też jego wynagrodzenie, nie miał więc skrupułów i wydawał tyle, ile chciał, by zrobić wrażenie na jednej z zachwycających młodych dam, która akurat była uwieszona na jego ramieniu. Posyłał im kwiaty i kosztowne prezenty. Wynajął piękne, absurdalnie drogie mieszkanie, rozbijał się po mieście kabrioletem coupe marki Lexus, nosił najlepsze ubrania i mówił per ty kierownikom sal we wszystkich restauracjach w Los Angeles. Był duszą towarzystwa, gdziekolwiek się pojawiał, płacił rachunki i stawiał wszystkim drinki. W tamtych czasach łatwo było zakochać się w Jasonie Mirabelli.

Rzadko spotykał się z jedną kobietą dłużej niż kilka tygodni, lubił używać życia. Przypominało ono bufet obficie zastawiony smakołykami. Po co zatrzymywać się dłużej w jednym miejscu, skoro można spróbować czegoś lepszego, co czeka w kolejce? Poza tym żadna z kobiet, które przyciągnęły jego wzrok, nie zdołała podbić jego serca. Wszystko to miało się jednak zmienić w jednej chwili pewnego późnego piątkowego popołudnia, gdy dzień pracy w Med-Device Technologies dobiegał końca i Jason szykował się do wyjścia.

Miniony tydzień był szczególnie męczący. Jason spędził wiele nużących godzin nad

projektem ProCardia i odczuwał przemożną potrzebę wypuszczenia się w miasto, by trochę rozładować napięcie. Zamierzał właśnie włożyć marynarkę i pożegnać pracę na weekend, gdy nagle zobaczył zjawiskową dziewczynę, która właśnie mijała jego gabinet. Była piękna, miała blond włosy, długie zgrabne nogi i błyszczące brązowe oczy. Jason podszedł szybko do drzwi, żeby przyjrzeć się jej jeszcze raz i upewnić, czy nie jest jedynie wytworem jego wyobraźni. Wyjrzał na korytarz i patrzył, jak odchodzi, kołysząc biodrami. Jej długie włosy opadały falą na ramiona, tańcząc w rytm jej kroków. Była najatrakcyjniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

- Fiu, fiu, widziałeś ją? - usłyszał czyjś głos. Był to Sam, jeden z jego współpracowników. Całkowicie zauroczonego Jason nie zauważył, że kolega również podziwia ten sam widok z własnego gabinetu po drugiej stronie korytarza. - Co za laska! Widziałeś te nogi?

- Kto to jest? - spytał bez tchu Jason.

- Amanda Forsythe, ty idioto - roześmiał się Sam. - Nigdy jej nie spotkałeś? To córka Billa Forsythem.

Bill Forsythe był prezesem firmy. Jason współpracował bezpośrednio z Philem Langwayem, lecz od czasu do czasu brał udział w zebraniach z prezesem, na których przekazywał mu najświeższe nowiny dotyczące postępów z implantem ProCardia. Forsythe był pełnym rezerwy mężczyzną o surowym wyrazie twarzy, który nie szafował komplementami. Ale chociaż nie mówił wiele, zawsze sprawiał wrażenie, że jest bardzo zadowolony z pracy Jasona.

- Nie wiedziałem, że ma córkę - rzekł Jason na moment przed tym, jak Amanda znów wyłoniła się na drugim końcu korytarza. Szła w ich kierunku. Obaj mężczyźni zamilkli, gdy przechodziła obok nich. Amanda uśmiechnęła się do nich przelotnie, rzuciła krótkie cześć i nie zatrzymując się, poszła dalej. Pomimo swego doświadczenia z kobietami Jason kompletnie zaniemówił, udało mu się jedynie skinąć głową.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział Sam, widząc minę kolegi. - Masz u niej mniej więcej takie same szanse jak u królowej angielskiej.

- Na twoim miejscu bym się o to nie zakładał - mruknął pod nosem Jason i zaczął gorączkowo rozmyślać nad znalezieniem sposobu, by drogi jego i dziewczyny znowu się skrzyżowały.

Los sprawił, że Jason nie musiał długo czekać. Wychodząc z pracy, ku swemu zdziwieniu natknął się na parkingu na poirytowaną Amandę Forsythe, która stała obok samochodu z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha. Mimo woli Jason podsłuchał

rozmowę. Wyjaśniała komuś, że silnik nie chce zapalić i najwyraźniej trzeba będzie odholować samochód.

Nie tracąc czasu, Jason przedstawił się i zaproponował pomoc, mimo że o samochodach wiedział właściwie tylko, gdzie można je kupić i jak prowadzić. Prawdę mówiąc, nie pozostawało mu nic innego, jak dotrzymać kobiecie towarzystwa, do czasu gdy przyjedzie pomoc drogowa. Wymienili uprzejmości i z chwili na chwilę Jason był coraz bardziej oczarowany Amandą. Podobało mu się w niej wszystko - brzmienie głosu, złocisty kolor opalonej skóry, sposób, w jaki promienie słońca igrały w jej gęstych blond włosach. Gdy śmiejąc się, delikatnie dotykała jego ręki, serce Jasona topniało jak wosk. Ośmielił się na tyle, że zaproponował, iż odwiezie ją do domu - na co przystała - a to z kolei pociągnęło za sobą zaproszenie na kolację - które przyjęła - i w taki sposób rozpoczął się ich szalony romans.

Zakochał się w Amandzie na zabój, a ona w nim - tak mu się przynajmniej wydawało. Podczas namiętnych dni i nocy, które spędzali razem, Jason znajdował w jej objęciach poczucie spełnienia i spokój, jakich nie zaznał nigdy przedtem. Zupełnie jakby stał się elementem jakiejś wielkiej harmonijnej konwergencji. Wszystko działało się w jednym czasie - sukces w pracy, sukces w życiu miłosnym. Był to chyba najszczęśliwszy okres w jego życiu i wyglądało na to, że nigdy się nie skończy.

Wtedy jednak nadszedł dzień, kiedy Phil Langway poprosił, by Jason stawiał się natychmiast w jego gabinecie. Byli już tam dwaj inni kierownicy wyższego szczebla, zajmujący się projektem ProCardia. Gdy Jason wszedł do pomieszczenia, nerwowo przechadzali się w tę i z powrotem, wyraźnie zdenerwowani. Ledwie go zauważyli. Langway, wymizerowany i niespokojny, bez słowa wskazał mu krzesło.

- Co się dzieje, chłopcy? - spytał ostrożnie Jason.

- Zamknij drzwi i siadaj - krótko odparł Langway. - Mamy duży problem.

Jason usiadł, nie podejrzewając, że wszystko, co z takim trudem osiągnął, legnie w gruzach.

*

Ogłoszono komunikat, że pasażerowie oczekujący na lot do Providence mogą szykować się do wejścia na pokład samolotu. Wyrwało to Jasona z zamyślenia. Ale chwila obecna również niosła ze sobą udrekę i jeszcze raz ogarnęły go wątpliwości, czy podjął słuszną decyzję. Rozejrzał się po innych pasażerach, którzy gorączkowo zbierali bagaże i w pośpiechu kierowali się do wyjścia. Wstał z ociąganiem i ruszył na koniec kolejki.

Gdy wreszcie usiadł na swoim miejscu w samolocie i starannie zapiął pas, pot perlił

się na jego czole. Siedział przez chwilę, starając się uspokoić oddech, błędząc spojrzeniem po innych pasażerach i wsłuchując się z rosnącą obawą w ciche wycie pracujących na wolnych obrotach silników. Po drugiej stronie przejścia, naprzeciwko niego, siedziała starsza kobieta, która wydawała się równie zdenerwowana jak on. Miała zaciśnięte powieki, modliła się bezgłośnie, przesuając drżącymi palcami paciorki różańca spoczywającego na kolanach. Traf chciał, że otworzyła oczy akurat wtedy, gdy Jason na nią spojrział.

- Denerwuje się pani? - spytał.

- Aż tak to widać? - odpowiedziała pytaniem.

- Trochę - rzekł Jason, zdobywając się na uśmiech. Możliwość dodania komuś otuchy sprawiła, że poczuł się odrobinę lepiej. - Będziemy na miejscu, zanim się pani obejrzy.

- Wszyscy mi to zawsze powtarzają - naburmuszyła się starsza pani - ale w moim wieku świadomość, że znajdę się na wysokości dziesięciu tysięcy metrów w tej blaszanej puszcze, nie dodaje mi zbytnej pewności siebie.

Jason roześmiał się cicho i wskazał głową jej różaniec.

- To pomaga?

- W każdym razie nie szkodzi. Powinien pan spróbować. Bez urazy, ale pan też sprawia wrażenie zdenerwowanego.

- Nie boję się latania - zapewnił ją Jason. - Dręczy mnie zupełnie coś innego.

Kobieta pochyliła się ku niemu i na moment utkwiała w jego twarzy przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu. Miała miłą, łagodną twarz, która świadczyła również o pewnej surowości i, jak przypuszczał, silnym charakterze. Zapewne była czyjąś babcią.

- Nie wygląda pan za dobrze - zauważyła po chwili namysłu. - Zupełnie jakby przymierał pan głodem.

- Nie jadłem nic przez cały dzień - przyznał Jason.

- Ech, nie dziwię się panu, że nie ma pan ochoty - powiedziała starsza pani, wzruszając ramionami. - Jedzenie tutaj to świństwo. - Sięgnęła do torby stojącej u jej stóp i wyjęła małą paczuszkę zawiniętą w folię aluminiową. - Może skosztuje pan kanapki z jajecznicą na papryce? - spytała. - Córka przygotowała ją dla mnie rano tuż przed wyjazdem z Oregonu, ale prawdopodobnie nie dam rady niczego przełknąć, dopóki nie znajdę się w domu.

- Nie, dziękuję - odparł Jason. - Naprawdę nie sędzę, bym zdołał teraz cokolwiek zjeść.

- Co się dzieje? Słabo panu? - W oczach kobiety widać było autentyczną troskę.

- Nie - odparł Jason, odwracając wzrok. - Po prostu bardzo dawno nie byłem w domu.

- Ojej! - wykrzyknęła jego rozmówczyni, machając ręką. - Niech pan się o to nie martwi. Powrót do domu to zdecydowanie najwspanialsza rzecz na świecie.

Zanim zdążyła rozwinąć temat, samolot wycofał się spod terminalu i wjechał na pas startowy. Na twarzy starszej pani odmalowała się panika.

- Proszę mi powiedzieć, kiedy pan zgłodnieje i zmieni zdanie - poprosiła, w pośpiechu wpychając kanapkę z powrotem do torby. Następnie podniosła z kolan różaniec i zamknęła oczy.

Gdy rozległ się ryk silników i samolot przyspieszył, Jason uśmiechnął się do niej i westchnął. Nie był pewien, czy kobieta ma rację, twierdząc, że powrót do domu jest najwspanialszą rzeczą na świecie, lecz niech się dzieje co chce, nie było już odwrotu.

ROZDZIAŁ

szósty

Giulio owinął szyję szalikiem i włożył płaszcz. Zegar w salonie kilka minut temu wybił czwartą i starszy pan szykował się do wyjścia. Lubił zostawać nieco dłużej, lecz dziś przyjechał tu bardzo wcześnie rano i czuł, że osiągnął granice swoich możliwości. Giulio znosił bez słowa chłody ponurych zim Nowej Anglii, ale krótkie dni i niedobór światła z każdym rokiem coraz bardziej mu dokuczały. Nie należał do ludzi, którzy wpadają z tego powodu w przygnębienie czy depresję, lecz każdego popołudnia odnotowywał znaczny spadek energii, w miarę jak słońce zniżało się ku horyzontowi. Gdy robiło się ciemno, oczy same mu się zamykały, pragnął jedynie zwinąć się w kłębek i zasnąć. Zdawał sobie sprawę, że to instynktowne pragnienie jest normalnym zewem natury. Dlatego zwierzęta zapadają w zimowy sen na czas lodowatych zimowych miesięcy.

- Jedziesz prosto do domu, tato? - spytała Natalie, wchodząc do holu. Zauważył, że córka jest zdecydowanie w lepszym humorze niż rano. Po południu ktoś zarezerwował pokój na wieczór, a wkrótce potem zadzwoniły jeszcze dwie osoby, prosząc o rezerwację na najbliższy weekend. Początek dnia był nie najlepszy, ale schyłek całkiem obiecujący.

- Muszę zatrzymać się w kilku miejscach - odpowiedział Giulio, szukając rękawiczek w kieszeniach płaszcza. - Muszę kupić to i owo na targu, no i skończyła się karma dla psa.

- A może dziś wieczorem przyszedłbyś na kolację do mnie? - zaproponowała Natalie.
- Nie cierpię myśli, że jesz sam.

- Nie martw się, jestem już dużym chłopcem - uspokoił ją.

- Wobec tego jutro, dobrze? - nie ustępowała.

- Dobrze - zgodził się z uśmiechem.

- No to jesteśmy umówieni. A teraz sprawdź, czy dobrze zapiąłeś płaszcz, na dworze jest strasznie zimno.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła para młodych Azjatów, ściganych przez silny podmuch wiatru. Wicher wdarł się za nimi do holu, szarpiąc poły ich płaszczy, torby z zakupami, które trzymali w rękach, i wszystko, co tylko znalazło się na drodze, aż wreszcie mężczyźni udało się z niemalym

wysiłkiem zatrzaskać drzwi. Śmiejąc się ze swej przygody, z policzkami zarumienionymi od przejmującego chłodu, na chwilę postawili torby na podłodze. Oboje uśmiechali się od ucha do ucha, zwłaszcza ona miała wyraźnie zadowoloną minę, spotykaną u kobiet, które odbyły właśnie satysfakcjonujący rajd po miejscowych sklepach i butikach. Giulio z trudem stłumił śmiech, ponieważ kobieta przypominała mu myśliwego, który z wypiekami na twarzy wrócił do obozowiska po upolowaniu swojego pierwszego lwa.

- Udany dzień? - spytał ich.

- Bardzo udany - odrzekł mąż, a żona energicznie potaknęła głową. - Świetna zabawa.

- To wspaniale - ucieszył się Giulio. - A teraz wchodźcie do środka i ogrzejcie się. Napaliliśmy w kominku w salonie, czeka tam również na was gorąca kawa i herbata. - Mówiąc to, spojrzął pytająco na córkę.

- Raymond właśnie wszystko przygotowuje - uspokajająco potwierdziła Natalie.

- Doskonale - powiedział Giulio, po czym dodał, odwracając się do młodego małżeństwa: - Zapraszam, kiedy tylko będziecie mieli państwo ochotę.

Młodzi ludzie podziękowali Giuliovi, potem Natalie i jeszcze raz Giuliovi, a następnie skierowali się na górę, do swojego pokoju.

- Zostawiam ciebie i twojego brata na gospodarstwie - rzekł Giulio, gdy goście zniknęli z pola widzenia. - Zobaczymy się jutro bladym świtem.

- Jedź ostrożnie, tatusiu - poprosiła Natalie. Giulio uśmiechnął się i przesłał córce buziaka, po czym otworzył drzwi i wyszedł na hulający na zewnątrz wiatr.

Gdy wreszcie dotarł do domu, zdążył już zapaść zmierzch. Po słońcu została tylko ledwie widoczna smuga nisko nad horyzontem, rozbłysły wszystkie latarnie i okna pobliskich domów. Z dwiema torbami zakupów pod pachami brnął przez chrupki śnieg i łaty lodu na zmarzniętym trawniku. Tak jak się spodziewał, zobaczył za szybą w oknie salonu sylwetkę psa. Mimo wycia wiatru zwierzę usłyszało warkot silnika samochodu. Teraz, oparty łapami o parapet i merdając radośnie ogonem, pies niecierpliwie czekał na powrót pana do domu. Gdy Giulio zaczął wchodzić po stopniach werandy, zwierzę rzuciło się do drzwi, by go powitać na progu.

- Na miłość boską, Sundance, pozwól mi wejść! - złajał psa Giulio, stawiając jedną torbę na podłodze, by wolną ręką podrapać go pieszczotliwie za uchem. - Co robiłeś, staruszk, przez cały dzień, hę? Porysowałeś mi wszystkie parapety tymi swoimi pazurami?

Sundance, pełen werwy labrador retriever z domieszką krwi innej rasy, o białej sierści i pomarańczowożółtych uszach, z podniecenia podskakiwał jak szalony. Wetknął pysk do torby z zakupami, obwąchał ją, po czym stanął na tylnych łapach, by zajrzeć do drugiej torby,

którą Giulio wciąż trzymał pod pachą. - Siad! Natychmiast się uspokój! - roześmiał się Giulio, odganiając psa. Wszedł do kuchni i postawił zakupy na bufecie.

Sundance, nadal machając zamasyście ogonem, niespokojnie czekał pod kuchennymi drzwiami. Gdy Giulio nie zwrócił na niego od razu uwagi, zaszczekał z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- O co chodzi, chcesz wyjść na spacer? - spytał Giulio. - Wierz mi - ostrzegł psa, podchodząc do drzwi - nie zechcesz zostać tam długo, ale biegnij.

Zapalił światło i uchylił drzwi. Pies wystrzelił jak z procy do ogródka za domem. Giulio zamknął drzwi i odchylił zasłonę przy kuchennym oknie, by popatrzeć na błady księżyc w pełni, wschodzący nad nagimi drzewami, którymi kołysał porywisty wiatr. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Na zewnątrz robiło się przeraźliwie zimno, był więc szczęśliwy, że jest już w domu. Odwrócił się od okna i podszedł do bufetu, by rozpakować zakupy. Nie zdziwił się, gdy zaledwie po paru minutach rozległo się skrobanie i wymowne szczekanie: „Wpuść mnie”. Gderając dobrodusznie, otworzył drzwi dygocącemu psu, poklepał go po łbie i zabrał się do przygotowywania kolacji dla nich obu.

Zaczynało ogarniać go znużenie i przez moment zastanawiał się, czy nie powinien po prostu się położyć i dać sobie spokój z kolacją. Rzecz jasna zdawał sobie sprawę, że Sundance będzie przeciwnego zdania, i słusznie, obaj muszą coś zjeść. Znowu ziewając, napełnił psią miskę i postawił ją na posadzce.

- *Aspetta!* - powiedział, grożąc wygłodniałemu psu palcem. - Co robisz najpierw?

Sundance posłusznie usiadł.

- To całkiem co innego - pochwalił go Giulio. Wskazał gestem dłoni miskę. - Teraz możesz jeść.

Sundance zaczął łapczywie pożerać przygotowany przez swego pana posiłek, a Giulio podszedł do lodówki, żeby zobaczyć, co mógłby sobie podgrzać na kolację. Nie trzymał przesadnie dużych ilości jedzenia, lecz miał jedną lub dwie rzeczy, które mogły zaspokoić jego apetyt dziś wieczorem. Po chwili jego wzrok padł na plastikowy pojemnik. Wyjął go i postawił na blacie obok kuchenki. Wyciągnął patelnię, wlał do niej sporą porcję oliwy i postawił ją na palniku na małym ogniu. W pojemniku znajdowało się sześć pięknych, dużych strąków papryki, upieczonych i wypełnionych pikantnym farszem z chleba i mięsa - doskonała kolacja na taki mroźny zimowy wieczór. Dużą łyżką bardzo ostrożnie przeniósł dwie papryki na patelnię. Wkrótce dusiły się na wolnym ogniu, napełniając kuchnię ciepłym, smakowitym aromatem.

Kiedy warzywa były już gorące, Giulio wyłożył je na talerz razem z kawałkiem

świeżego chleba i nalał sobie nieduży kieliszek wina, po czym usiadł do stołu. Tymczasem najedzony do syta Sundance odszedł od pustej miski, ziewnął i ułożył się na posadzce u stóp Giulia. Giulio zerknął pod stół, uśmiechając się do psa.

- Ty też, co? - zachichotał. - Chyba dla nas obu noc zapadnie dziś bardzo wcześnie.

Wyprostował się i upił łyk wina, po czym zaczął jeść ze smakiem faszerowaną paprykę. Delektując się posiłkiem, rozmyślał nad tym, co robił dzisiejszego dnia, słuchając niesłabnącego wycia wiatru, szurania gałęzi o okna i stukania w rurach centralnego ogrzewania, mimo że ustawił termostat na niezbyt wysoką temperaturę.

Właśnie wtedy, gdy wiatr uderzył w ściany domu ze szczególną gwałtownością, Giuliovi wydało się, że przez hałas panujący na zewnątrz przebił się dźwięk przypominający trzaśnięcie drzwi samochodu. Sundance też najwyraźniej go usłyszał, ponieważ zerwał się natychmiast z groźnym warknięciem i podbiegł do okna. Po chwili zaczął szaleńczo szczekać, jak to miał w zwyczaju, ilekroć zauważył kogoś lub coś przed domem. Giulio zwykle ignorował takie zachowanie psa, ponieważ w większości przypadków przedmiotem jego zainteresowania okazywała się wiewiórka, sąsiad lub inny pies. Tym razem jednak, być może dlatego, że pogoda była wyjątkowo nieprzyjemna, zaciekawiło go, kto też może kręcić się koło jego domu, wstał od stołu i ruszył w stronę okna. Przytknąwszy nos do szyby, wyjrzał na zewnątrz. W świetle latarni ulicznej dostrzegł żółtą taksówkę zaparkowaną przed domem. Z tyłu samochodu samotna postać szarpała się z walizkami wyciąganymi z bagażnika. Jedna z nich upadła na ziemię i kimkolwiek był ów mężczyzna, schylił się, by pozbierać jej zawartość. Zaciekawiony Giulio zapalił lampę przy drzwiach od frontu i wrócił do okna. Odsunął na bok psa i jeszcze raz bacznie przyjrzał się przybyszowi.

Poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Znużenie, które jeszcze niedawno tak bardzo go przytłaczało, ulotniło się w jednej sekundzie jak obłoczek pary i nagle sam poczuł nieprzewartą chęć, by skakać z radości.

- Jason! - wykrzyknął.

Po czym porwał z wieszaka płaszcz i wybiegł przed dom.

*

Jason klęczał obok taksówki, gorączkowo starając się wepchnąć ubrania z powrotem do walizki. Źle oszacował koszt przejazdu z lotniska do domu rodzinnego i w panice otworzył jedną z walizek, mając nadzieję, że znajdzie tam jakieś pieniądze. Oczywiście walizka upadła na ziemię. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to pozbierać wszystkie rzeczy, zanim porwie je wiatr. Zdawał sobie doskonale sprawę, że robi z siebie widowisko i taksówkarz niecierpliwi się coraz bardziej, czekając na należność. Było to, myślał Jason nie bez pewnej ironii, stosowne

zakończeniu jego podróży. Jak gdyby już przedtem nie był kłębkim nerwów i nie czuł non stop ściskania w żołądku. Lot z Chicago był od początku do końca przyprawiającym o mdłości koszmarem. Chwilami było tak źle, że wydawało mu się, iż nieszczęsna starsza pani, siedząca po drugiej stronie przejścia, zemdleje z przerażenia. Gdy samolot w końcu wylądował i bezpiecznie podkołował do terminalu, wymamrotała pod nosem wiązanek włoskich przekleństw, które nie wymagały tłumaczenia. Wiedział, że wyraziła opinię wszystkich pasażerów na pokładzie samolotu.

Teraz, wyczerpany po długiej podróży, wstrząsany dreszczami z powodu otępiającego zimna, na próżno grzebał w ubraniach w poszukiwaniu kilku brakujących dolarów, aż nagle - zupełnie nieoczekiwanie - poczuł, jak ramiona otula mu gruby zimowy płaszcz. Podniósł głowę i zobaczył ojca, który lekko ubrany szybko podszedł do okna po stronie kierowcy. Poczł szarpnięcie w sercu, widząc, że ojciec zamierza za niego zapłacić. Odarty z resztek dumy, patrzył w milczeniu, jak kierowca bierze od Giulia pieniądze i szybko odjeżdża.

Ze ściśniętymi gardłem i załzawionymi od wiatru oczami Jason stał, drżąc z zimna i zdenerwowania, gdy ojciec odwrócił się do niego. Wyobrażał sobie wielokrotnie tę chwilę, lecz teraz, gdy nadeszła, nie wiedział, co powiedzieć. Pochylił głowę i przełknął z trudem ślinę.

- Tato - wykrztusił wreszcie łamiącym się głosem. - Czy myślisz, że mógłbym wrócić do domu i zatrzymać się tutaj na jakiś czas? Ja po prostu...

Zanim Jasonowi udało się powiedzieć coś więcej, ojciec chwycił go w objęcia i uściskał z całej siły.

- Cóż to za pytanie? - zawołał Giulio. Następnie wziął jedną z walizek i wpuścił przemarzniętego syna do domu.

ROZDZIAŁ

siódmy

Kiedyś, dawno temu, gdy był jeszcze małym chłopcem, Jason uciekł z domu.

Było piątkowe popołudnie, ciepły dzień w drugiej połowie kwietnia. Jason bawił się na podwórku z kolegami w wojnę. Chociaż setki razy ostrzegano go, by nie robił takich rzeczy, wpadł na wspaniały pomysł, żeby wgramolić się na dach samochodu matki i udawać, że prowadzi czołg. To dogodne stanowisko umożliwiało mu lepszą obserwację pozycji wroga i swobodny ostrzał. Najpierw musiał jednak rozważyć pewne problemy taktyczne - przede wszystkim zrobił w myśli przegląd miejsc pobytu członków rodziny. Wiedział, że matka robi pranie w piwnicy, ojciec jest w pracy, a brat i siostra poszli gdzieś z kolegami. Szybko doszedł do wniosku, że nikt nigdy nie dowie się o jego zamiarach.

Tak więc, łamiąc wszystkie zakazy rodzicielskiego naczelnego dowództwa, wdrapał się na dach samochodu. Bawił się świetnie, kierując działaniami wojennymi niczym George Patton, dopóki nie uznał, że będzie się bawił jeszcze lepiej, gdy opuści stanowisko dowodzenia, zejdzie z samochodu i weźmie udział w starciu wręcz, które rozgorzało na trawniku przed domem. Zjechał po przedniej szybie na maskę samochodu i opuszczając nogi na jedną stronę, bezmyślnie przytrzymał się anteny. Gdy stanął na ziemi, zorientował się, że wykonując ten manewr, wygiął antenę. Ku jego przerażeniu nie powróciła ona z powrotem do swego pierwotnego położenia, ale pozostała wygięta, stercząc z boku samochodu.

Przestraszony tym, co zrobił, natychmiast spróbował naprawić antenę, lecz osiągnął tylko tyle, że złamał ją u podstawy. Jason stał osłupiały, a serce waliło mu jak młotem, zdawał sobie bowiem sprawę, że dopuścił się bardzo poważnego przestępstwa. Mógł sobie wyobrazić, jaka kara spotka go za ten występki. W absolutnym popłochu podjął jedyne w jego mniemaniu rozsądne działanie.

Rzucił antenę na ziemię i uciekł.

Obawiając się srożej kary, Jason przebiegł pędem dwie ulice i ukrył się za szopą na podwórku kolegi. Pozostał tam bardzo długo, dopóki nie zaczął zapadać zmierzch. Zupełnie sam, przerażony, zwinął się w kłębek. Umierał ze strachu na myśl o zapadającej coraz szybciej ciemności, lecz równie mocno bał się powrotu do domu.

W tym czasie, jak łatwo się domyślić, w rezydencji Mirabellów rozbrzmiał alarm wzywający wszystkich do natychmiastowego działania. Giulio z Raymondem i Natalie wyruszyli na poszukiwanie chłopca. Vera pozostała w domu, czekając na stopniach werandy, na wypadek gdyby podczas ich nieobecności syn powrócił.

Gdy noc zapadła na dobre, skulony za szopą Jason bał się coraz bardziej. Wyobraźnia płatała mu figle, kiedy rozglądał się niespokojnie dookoła, wyobrażając sobie wszelkie rodzaje zjaw i upiornych stworzeń, które mogły kręcić się w pobliżu. Ogarnęła go panika i najbardziej na świecie pragnął znaleźć się z powrotem w domu i wtulić się w miękką pościel we własnym bezpiecznym łóżku. Wpadł w rozpacz, zwątpiwszy w to, że kiedykolwiek się tam jeszcze znajdzie, lecz właśnie wtedy usłyszał głos ojca wołający go w ciemności.

Każda kara, jaka mogła go spotkać za złamanie anteny, była z pewnością lepsza od perspektywy bycia pożartym przez potwory czające się w mroku nocy, więc Jason bez chwili wahania wyskoczył zza szopy i pomknął w kierunku ulicy. Po drugiej stronie, w świetle latarni, stał ojciec z zatroskaną miną i rozglądał się dookoła. Jason był zaskoczony wyrazem jego twarzy. Malował się na niej lęk, a nie gniew, którego się spodziewał. Jason uświadomił sobie w jednej chwili, że jego ucieczka była czymś znacznie gorszym od złamania anteny, i poczuł jeszcze większe wyrzuty sumienia. Była to kara dotkliwsza, niż mógł sobie wyobrazić. Ojciec podbiegł do niego i chwycił go w objęcia, po czym wziął go mocno za rękę i zaprowadził do domu.

Matka przyjęła go mniej powściągliwie, jednak proporcje obawy i gniewu wyraźnie się zmieniły w momencie, gdy przekonała się, że jej najmłodsze dziecko jest całe i zdrowe. Najpierw chwyciła Jasona za ramiona i złażała za to, że śmiertelnie ich przestraszył. Potem wyściskała go ze wszystkich sił, powtarzając ze łzami: „Dzięki Bogu! Dzięki Bogu!”. Gdy się wreszcie opanowała, kazała mu umyć ręce i usiąść przy stole w jadalni.

- Kompletny idiota - podsumował jego starszy brat, Raymond, gdy Jason potulnie wsunął się na krzesło.

- To prawda - zawtórowała mu Natalie - należy ci się nagroda za szczyt głupoty.

Jason nigdy w swym krótkim życiu nie czuł się tak upokorzony jak wtedy, gdy siedział przy stole, znosząc pogardę rodzeństwa i czekając, aż ojciec usiądzie z nimi, a matka poda kolację. Zdawał sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec. Mimo to był szczęśliwy, że jest w domu.

Później, w nocy - posłano go do łóżka natychmiast po kolacji - przez długi czas nie mógł zasnąć, leżał przy zapalanej lampce. Słyszając kroki ojca na schodach, odwrócił się tyłem do drzwi i zacisnął powieki, udając, że śpi. Giulio wszedł do pokoju, pocałował syna w czoło

i zgasił lampkę. Nie zszedł od razu z powrotem na dół, lecz zatrzymał się na dłużej przy drzwiach na korytarz. Jason, choć był owinięty w pościel, czuł na sobie jego spojrzenie i wiedział, że nie ma co dalej udawać. Przewrócił się na drugi bok, otworzył oczy i spojrzał na majaczącą w ciemności sylwetkę ojca.

- Strasznie mi przykro z powodu tego, co zrobiłem, tato - powiedział.

- Wiem - odrzekł łagodnie Giulio. - Porozmawiamy o tym jutro. A teraz śpij.

Jason posłusznie zamknął oczy i wkrótce zapadł w spokojny sen, czując niewysłowioną ulgę, że jest w domu, bezpieczny we własnym łóżku. Jego świat mimo wszystko się nie skończył.

Teraz, po upływie tak wielu lat, tamten incydent na nowo odżył w pamięci Jasona, gdy rzucił swoje bagaże w holu i wszedł za ojcem do domu. Podobnie jak tego przerażonego małego chłopca, skulonego za czyjąś szopą, trapiły go złe przecucia na myśl o powrocie do domu. Gdy jednak w końcu przekroczył jego próg, owe obawy powoli zaczęły ustępować.

- Siadaj, przygotuję ci coś do zjedzenia.

Mimo że te słowa padły z ust wyraźnie uszczęśliwionego ojca, gdy obaj weszli do kuchni, z jakiegoś powodu w głowie Jasona rozbrzmiewał głos matki. Usadowiwszy się przy stole, przyglądał się, jak Giulio kręci się przy kuchence, i nie mógł nic poradzić na to, że obserwując ruchy ojca, ma przed oczami postać matki. Ileż to razy słyszał, jak matka mówiła do niego dokładnie to samo? Ileż to razy w dzieciństwie wracał do domu zmarznięty, zmęczony, zestresowany po ciężkim dniu w szkole i natychmiast, gdy tylko przekroczył próg, nastrój poprawiał mu smakowity zapach czegoś, co pichciło się w kuchni? Ile razy wystarczyło zaledwie kilka słów matki - one wszystkie wiedzą dokładnie, co powiedzieć swoim dzieciom - by znów zobaczył świat we właściwych barwach?

W tym momencie uprzytomnił sobie ze wstydem, że od bardzo dawna nie myślał o matce. Właściwie nie miał pojęcia dlaczego. Nadal ogromnie za nią tęsknił, ale było to uczucie, do którego nie chciał się przyznać nawet przed sobą samym.

Opuścił rękę i podrapał Sundance'a po łbie. Pies nie odstępował go od chwili, gdy wszedł do domu. Głośno parskając i przelykając ślinę, wodził nosem po jego spodniach w górę i w dół, w górę i w dół, badał nieznane osobliwe zapachy, które tam odkrywał. Zakończywszy skrupulatną analizę jednej nogawki, Sundance radośnie rozpoczął badanie drugiej.

Giulio zerknął na nich przez ramię.

- Dostyc, ty utrapieńcu - krzyknął na psa. - Idź się położyć i daj mu spokój. On już wie, że się cieszysz z jego przyjazdu.

- Dobrze, dobrze - powiedział Jason. - Nie przeszkadza mi.

Mówił prawdę, cała ta sytuacja bowiem w pewien sposób dodawała mu otuchy. Dzięki temu czuł się mile widziany, a to przyjemne uczucie.

Giulio dodał dwie faszerowane papryki do tych, które znajdowały się już na patelni, i ponownie zapalił gaz. Następnie, gdy były już wystarczająco podgrzane, wyłożył je na talerze, ukroił pajdę chleba i zaniósł wszystko do stołu.

- Napijesz się może wina? - spytał, stawiając przed synem talerz.

- Jasne - odrzekł z roztargnieniem Jason, sięgając po widelec. Dopiero gdy od strony kuchenki doleciał nęcący zapach jedzenia, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny, a widok jedzenia na talerzu sprawił, że ślinka napłynęła mu do ust. Nie zwlekając ani chwili dłużej, zaczął wcinać paprykę.

- Może powinienem podgrzać resztę - zauważył Giulio, śmiejąc się cicho.

Jason odgryzł spory kęs chleba, zjadł jeszcze trochę papryki, po czym wyprostował się i usiadł wygodnie. Ten prosty posiłek wystarczył, by wróciły mu siły. Westchnął cicho i podniósł do ust kieliszek z winem.

- Pycha, tato - powiedział. - Sam je przyrządziłeś?

Giulio i tym razem skwitował jego słowa cichym śmiechem.

- Nie - odparł, kręcąc głową. - Podrzuciła mi je wczoraj jedna z pań od lasagne.

Jason również parsknął śmiechem.

- Wciąż do ciebie wpadają? - spytał.

- Hm - mruknął Giulio, wzruszając ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć, że nic nie może na to poradzić. „Panie od lasagne”, jak nazywał je ojciec Jasona, była to gromadka wdów i starych pań mieszkających w sąsiedztwie, które postawiły sobie za punkt honoru, by od czasu do czasu przynosić mu domowe jedzenie. Brak starszych kawalerów do wzięcia, jak również fakt, że Giulio mieszkał sam od wielu lat, sprawiały, iż był uważany za naprawdę świetną partię. Dlatego „panie od lasagne” na zmianę stosowały znaną strategię „przez żołądek do serca”, w nadziei, że być może pewnego dnia przynajmniej jednej z nich uda się oczarować w ten sposób Giulia. W każdej chwili któraś z nich mogła bez zapowiedzi zastukać do jego drzwi, odświętnie wystrojona, z darmową blaszką lasagne, z tacą polenty i kielbasek lub, tak jak ostatnio, z pysznymi faszerowanymi paprykami. Rywalizacja o jego względy stała się na przestrzeni lat zacięta, lecz do tej pory, mimo usilnych kulinarnych starań, żadna z gromadki chętnych pań nie zbliżyła się o krok do upragnionego celu.

Nie żeby Giulio był niewdzięczny i nie doceniał zyczliwej troski kobiet lub był nieczuły na ich ciężki los. Rozumiał, równie dobrze jak każda z nich, że trudno jest żyć

samemu dzień po dniu, nie mając przy sobie kogoś, z kim można dzielić dobre i gorsze chwile w życiu. Nie miał nic przeciwko temu, by raz na jakiś czas zrewanżować się za tę życzliwość, zapraszając jedną z nich na kolację do miejscowej restauracji lub towarzysząc innej w jakiejś oficjalnej imprezie. Zawsze był dżentelmenem w każdym calu i mimo że często widział pragnienie w ich oczach, jego relacje z nimi zawsze pozostawały platoniczne. Pamięć o Verze, jego zmarłej żonie, wciąż była żywa.

Jason zawsze rozumiał podejście ojca, choć w ciągu minionych lat wszyscy troje wielokrotnie podpowiadali mu, że może już czas, by znalazł sobie towarzyszkę życia, zanim będzie za późno i resztę życia spędzi w samotności, lecz on puszczał ich rady mimo uszu. Giulio miał własny pomysł na życie i chciał robić wszystko po swojemu, bez względu na rady innych. Przyglądając się siedzącemu naprzeciwko ojcu, Jason pomyślał, że ów duch niezależności jest ich wspólną cechą. To dziwne, ale chyba po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest to cecha charakteru, która nie wzięła się znikąd.

Przez pewien czas obaj mężczyźni jedli w milczeniu, nie licząc sporadycznych uwag na temat wiatru czy bezlitośnie niskich temperatur, które zaatakowały cały region. Momentami Giulio podnosił wzrok i wpatrywał się w syna w zamyśleniu, trzymając go w niepewności, Jason spodziewał się bowiem lawiny pytań o powód jego niespodziewanego przyjazdu. Miał wrażenie, że ojciec domyśla się, iż coś jest nie w porządku, lecz woli, by syn sam zdecydował się wyjawić mu prawdę.

Gdy skończyli jeść, Giulio odsunął krzesło od stołu i zaczął zbierać brudne talerze i sztućce.

- Poczekaj, tato, ja pozmywam - powiedział Jason, zrywając się.

- Nie - odparł ojciec, odprawiając go machnięciem ręki. - ja się tym zajmę. Idź teraz do salonu i trochę odpocznij.

- Na pewno? - spytał Jason, zastanawiając się, czy to znaczy, że egzekucja została odroczone i nie będzie musiał tłumaczyć się dzisiejszego wieczoru.

- Na pewno - potwierdził Giulio. - Idź i weź ze sobą psa. Zaparzę nam kawy. A potem mi opowiesz, dlaczego od wielu tygodni nie dawałeś znaku życia i co się stało, że pojawiłeś się dzisiaj w domu niczym grom z jasnego nieba.

Umilkł, mierząc przez chwilę syna przenikliwym spojrzeniem, po czym odwrócił się i włożył naczynia do zlewu. Jasona przytłoczył znowu ten sam trudny do zniesienia niepokój, który dręczył go od tak dawna. Jednak mimo że ścisnęło go w dołku ze zdenerwowania, posłusznie spełnił prośbę ojca, ponieważ, o dziwo, poczuł ulgę, że wreszcie nadchodzi moment prawdy.

W salonie włączył telewizor i opadł ciężko na kanapę. Sundance położył się na podłodze w zasięgu jego ręki. Gdy głaskał psa po głowie, gapiąc się bezmyślnie w ekran, zmęczenie wreszcie wzięło górę i zaczął morzyć go sen.

Gdy Giulio w końcu wynurzył się z kuchni, niosąc w obu rękach parujące kubki z kawą, Jason spał już kamiennym snem. Ojciec chrząknął cicho, bynajmniej niezaskoczony tym widokiem. Z westchnieniem odniósł kubki do kuchni i wylał kawę do zlewu. Opłukał je i wrócił do salonu. Wyjął z szafy pled i delikatnie okrył nim syna, tak aby go nie obudzić.

Przez jakiś czas stał, przyglądając się śpiącemu z uradowaną, lecz i nieco zatroskaną miną. Następnie pocałował go w czoło, wyłączył telewizor i udał się na górę, by się położyć.

ROZDZIAŁ

ósmy

Gabinet na parterze Bradley Mansion, który wiele lat temu został przekształcony w biuro, był jedynym miejscem w całym domu, gdzie członkowie rodziny Mirabellów mogli porozmawiać na osobności. Cała reszta budynku, jak Giulio stale przypominał dzieciom przez te wszystkie lata, należała do gości, którzy godziwie płacili za spokojny, leniwy pobyt i nie mieli ochoty słuchać o cudzych sprawach rodzinnych. Pomijając szacunek dla gości, Giulio był bardzo skrytym człowiekiem i nie uznawał za stosowne, by obcy wiedzieli cokolwiek o tym, co się dzieje w jego rodzinie. A więc ilekroć zapowiadała się jakaś kłótnia, wzajemne żale wisiały w powietrzu lub trzeba było zakomunikować coś ważnego, każdy z zainteresowanych wiedział, że należy „zabrać wszystkie sprawy do gabinetu - i zamknąć drzwi”. Ta niepisana instrukcja obowiązywała od zawsze. Gdy nazajutrz rano goście jedli śniadanie, Natalie i Raymond natychmiast wyczuli, że ojciec ma coś wyjątkowo ważnego do przekazania, skoro wezwał ich do gabinetu i zamknął za nimi drzwi.

- Co się dzieje? - spytał z marszu Raymond.

- Wszystko w porządku? - dodała jego siostra zatroskanym tonem.

- Tak, wszystko jest w porządku - zapewnił ich z uśmiechem Giulio. - Chciałem was oboje poinformować, że przyjechał wasz brat Jason.

Czekał na reakcję swoich dzieci. Raymond i Natalie wymienili tylko spojrzenia.

- Doprawdy? - odezwała się w końcu Natalie.

- Kiedy wrócił?

- Wczoraj wieczorem - odrzekł Giulio.

- Wiedziałeś, że przyjedzie? - zainteresował się Raymond.

- Nie.

Giulio przyglądał się bacznie synowi i córce. Nie wiedział dlaczego, ale żadne z nich nie wydawało się szczególnie zaskoczone wiadomością o powrocie Jasona. Ich dość powściągliwe zachowanie, którym skwitowali radosną nowinę, sprawiło, że nabrał podejrzeń, iż od dawna to przewidywali. Skąd im to przyszło do głowy, nie miał pojęcia, zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma sensu pytać wprost. Dobrze rozumiał, że czasami - i wyczuwał, że

jest to właśnie taka sytuacja - on i jego dzieci stoją po przeciwnych stronach pokoleniowej barykady. Gdy okoliczności zmuszały tę drugą stronę do zwarcia szeregów, niewiele mógł zrobić. Czekał więc na właściwy moment, gdy rozwiążą się im języki.

- Gdzie jest teraz? - spytała Natalie.

- W domu, śpi - odrzekł Giulio, pocierając w zamyśleniu brodę. - Był zmęczony, pozwoliłem mu więc odpocząć.

- Ale dlaczego nie zawiadomił nikogo, że ma zamiar wrócić do domu? - dopytywał Raymond.

- Nic ci na ten temat nie mówił?

- Nie, właściwie nie - przyznał Giulio, po czym dodał, wzruszając ramionami: - Prawdę powiedziawszy, było już późno i naprawdę nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać.

Giulio nigdy by się do tego nie przyznał, ale poza niewątpliwą radością, że ma znowu Jasona w domu, zżerała go ciekawość, jaka jest właściwa przyczyna jego tajemniczego powrotu. Wystarczyło jedno spojrzenie na syna, by domyślić się, że zdarzyło się coś bardzo złego. Ubiegłego wieczoru, gdy odjechała taksówka i po raz pierwszy wziął go w objęcia, zobaczył to w oczach Jasona, poznał po udręczonej, wymizerowanej twarzy. Młody człowiek wyglądał, jakby został ranny w jakiejś toczącej się daleko stąd bitwie i ślaniając się przez całą drogę, ledwie dowlókl się do domu ze straszną raną, która omal nie przywiodła go do bram śmierci. Najwyraźniej syn był załamany z jakiegoś powodu i Giulio zdawał sobie sprawę, że trzeba będzie podnieść go na duchu, ale pojął też, że najpierw musi przywrócić go do życia. To, jak Jason łąpczywie pochłoniął kolację, a następnie wyczerpany usnął na kanapie, tylko potwierdziło jego diagnozę. Może gdy syn poczuje się lepiej, kiedy jego ciało i duch odzyskają harmonię, Giulio pozna prawdę. Na razie może jedynie chronić go i uzbroić się w cierpliwość.

- Mówił, jak długo zamierza tu zostać? - spytała Natalie. - Gdy był ostatnim razem w domu, prawie go nie widzieliśmy.

- Nie, nic nie mówił - odparł Giulio - ale przypuszczam, że zabawi tu jakiś czas. - Znowu zmierzył syna i córkę badawczym spojrzeniem. - Wprawdzie Jason nic takiego nie powiedział, ale chyba coś poszło nie tak w Kalifornii. Jak mniemam, żadne z was nie wie o czymś, o czym ja nie wiem?

- A skąd niby mielibyśmy wiedzieć, tato? - odrzekł Raymond. - Znasz przecież Jasona. Nie utrzymuje z nami kontaktu, zresztą tak samo jak z tobą. Masz pojęcie, ile razy próbowałem się do niego dodzwonić? Za każdym razem zostawiałem mu wiadomość, ale nigdy nie oddzwonił. Żyje tam we własnym świecie.

Giulio pomyślał, że odpowiedź syna jest raczej wymijająca, ale niczego innego się nie spodziewał. Potwierdziło to tylko jego podejrzenia, że dzieci wiedzą więcej, lecz nie chcą puścić pary z ust. Widocznie mają ważny powód, by zachowywać się powściągliwie, tłumaczył sobie. Zdecydował więcej nie naciskać.

- No cóż, tak czy owak jest w domu - powiedział Giulio. - Nie wiadomo, jak długo u nas zostanie, chciałbym więc, żebyśmy wszyscy jak najprędzej się spotkali.

- Może dziś wieczorem? - zaproponowała Natalie.

- Dzisiaj?

- Dlaczego nie? Jeśli pamiętasz, wczoraj zaprosiłam cię na kolację i obiecałeś, że przyjdiesz.

- Pamiętam - przyznał Giulio.

- No to przyjdźcie obaj z Jasonem. To znaczy jeśli nie ma on już jakichś innych planów, jak to zwykle bywało.

- Nie sądzę, żeby tym razem tak było - zauważył Giulio.

Natalie odwróciła się do brata.

- Wpadniecie z Donna? - spytała.

- Jasne, czemu nie? - Raymond wzruszył obojętnie ramionami. - Raczej nie zaplanowaliśmy niczego szczególnego na dziś wieczór.

- Świetnie, w takim razie jesteśmy umówieni. - Natalie najwyraźniej była zadowolona z siebie.

- Chyba tak - odparł Giulio. Twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu, chociaż czuł, że na razie trudno uważać sytuację za unormowaną. Czas pokaże, pomyślał, i skinąwszy dzieciom głową, wyruszył na swój codzienny poranny obchód.

ROZDZIAŁ

dziewiąty

Jasona obudził dotyk czegoś mokrego i zimnego na twarzy. Wzdrygnąwszy się, otworzył oczy. Śniło mu się, że leżał w boleśnie powykrcanej pozycji, twarzą do podłogi, w jakimś nieznanym mu miejscu. Jednocześnie tuż przy jego uchu ktoś, kogo nie udawało mu się rozpoznać, zamiatał absurdalnie szybko podłogę. Najlepiej zapamiętał szuranie włosia szczotki o drewniane klepki. Gdy otworzył oczy, natychmiast uświadomił sobie, że dźwięk, który jego półprzytomny mózg zinterpretował jako szuranie szczotki, oraz odczucie wilgoci na twarzy pochodziły z tego samego źródła.

- Odejdź, Sundance - jęknął, zaciskając z powrotem powieki, gdy tuż przed swoją twarzą zobaczył psi pysk.

Ale Sundance nie zamierzał pozwolić mu znów zasnąć. Pomimo słabych wysiłków czynionych przez Jasona nie dał się przegonić, obwąchiwał mu uszy i trącał nosem w twarz z coraz większym zapamiętaniem.

- Dobrze, już dobrze - burknął z irytacją Jason, gdy stało się dla niego jasne, że pies ani myśli zostawić go w spokoju.

Z wielkim trudem, ponieważ leżał z jedną ręką wykręconą i przygniecioną ciężarem ciała, Jason powoli zsunął z siebie koc i usiadł sztywno na kanapie. Chociaż spał jak zabity, nie czuł się szczególnie wypoczęty. Prawdę mówiąc, czuł się nawet gorzej niż wczoraj. Po wielu godzinach kamiennego snu obudził się znowu w stanie kompletnego wyczerpania. Miał nieprzepartą ochotę, by z powrotem położyć się i zasnąć, lecz nie miało to większego sensu w sytuacji, gdy pies w dalszym ciągu nie dawał mu spokoju. Przetarł więc oczy, by odpędzić senność, i odrzuciwszy na bok pled, wstał.

Sundance pomerdał z aprobatą ogonem.

Jason przeszedł do łazienki i ochlapał twarz wodą. Niechętnie spojrział na swoje odbicie w lustrze. Włosy miał okropnie potargane, poduszki kanapy zostawiły mu na policzku głębokie odgniecenie, które przypominało szramę. Przedstawiał sobą żaloszny widok, lecz jego zdaniem pod pewnym względem wyglądał lepiej niż dwadzieścia cztery godziny temu.

Gdy po kilku minutach wrócił do salonu, w jego nozdrza uderzył unoszący się w

powietrzu aromat kawy. Z Sundance'em nie odstępującym go na krok poszedł za tym miłym zapachem do kuchni, gdzie znalazł dzbanek z kawą, którą zaparzył dla niego Giulio. Obok dzbanka stały pusty kubek, śmietanka i cukier. W swoim bliskim śpiączki stanie Jason nie słyszał porannej krzątania ojca. Przyglądając się dzbankowi, żałował, że wczorajszego wieczoru zasnął tak wcześnie. Był już gotowy, by ojcu wszystko opowiedzieć, lecz nie udało mu się przezwyciężyć pragnienia, by zamknąć oczy i dać odpocząć zmęczonemu ciału i duszy, gdy wreszcie znalazł się w bezpiecznej przystani rodzinnego domu.

Jason nalał sobie kawy i spojrzął w okno. Był późny poranek, zapowiadał się piękny słoneczny dzień, na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Sundance kręcił się w kółko przy drzwiach kuchennych, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że chce wyjść na dwór. Jason upił łyk kawy i uśmiechnął się.

- Tata ma rację - powiedział do psa. - Prawdziwe z ciebie utrapienie.

Podszedł do drzwi, zamierzając wypuścić psa do ogródka, lecz zmienił zdanie. Pomyślał, że minie trochę czasu, zanim jego ciało ponownie przyzwyczai się do chłódów typowych dla Nowej Anglii, mimo to miał szaloną ochotę, by wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem. Po kilku minutach, w starej zimowej kurtce, którą znalazł w szafie w holu, wyszedł z Sundance'em na spacer.

Wiatr, który wyl przez całą noc jak dzikie zwierzę, uspokoił się niemal zupełnie. Mimo to lodowate powietrze szczypiące Jasona w policzki i dłonie - nie przyszło mu do głowy, by włożyć rękawiczki - sprawiło, że przeżył prawdziwy wstrząs. W pierwszym odruchu chciał się odwrócić i wejść jak najprędzej do domu, jednak po chwilowym szoku oczy przywykły do jaskrawego światła. Lekkie ciepło na policzkach wystarczyło, by go zachęcić. Wyruszył w drogę, pospieszany przez zniecierpliwionego Sundance'a.

Jason zapomniał już, kiedy ostatnio spacerował po swojej dawnej dzielnicy. Zapewne wiele lat temu, zanim wyjechał do college'u. Mimo to, gdy pies prowadził go ulicami, natychmiast rozpoznawał domy i przypominał sobie ludzi, młodych i starych, którzy tam kiedyś mieszkali. Pamiętał zarówno swoich kolegów z dzieciństwa, z którymi bawił się na ulicach i podwórkach, jak i zrzędlivych staruszków, którzy besztali ich za deptanie trawników. Pamiętał bitwy na śnieżki, jazdę na sankach zimą i nie kończące się zabawy w chowanym w ciepłe letnie wieczory. Pamiętał wszystko, jakby działo się to wczoraj. Przypuszczał, że jego koledzy z tamtych lat, podobnie jak on, dawno już stąd wyjechali. Prawdę mówiąc, odkąd wyjechał, by poszukiwać własnej drogi w świecie, rzadko zdarzało mu się myśleć o którymkolwiek z nich. Teraz jednak, gdy wędrował bez celu po okolicy, imiona i twarze odżyły w jego pamięci.

Gdy dotarł do końca ulicy, poczuł pierwsze oznaki zmęczenia, zawrócił więc i ruszył w stronę domu. Nagle przed sobą zobaczył znajomą parę, wychodzącą z jednego z budynków. Byli to McKinleyowie, starsze małżeństwo, które mieszkało tam, od kiedy Jason sięgał pamięcią. Stary McKinley, jak go tu nazywano, zawsze utrzymywał swój trawnik i ogródek w idealnym stanie i miał na ich punkcie prawdziwego bzika. Gdy nadchodziła wiosna, każdy listek na krzewie, każde źdźbło trawy musiało być na swoim miejscu. Jak łatwo się domyślić, był jednym z tych zgryźliwych staruszków, którzy mieli na pieńku z miejscowymi łobuziakami. Tak właśnie zapamiętał go Jason, dlatego z ogromnym zaskoczeniem patrzył, jak mężczyzna uśmiecha się do niego i macha przyjaźnie ręką.

- Proszę, czy to nie młody Jason Mirabella? - zawołał pan McKinley. - Wybrałeś się na spacer po swojej dawnej dzielnicy?

- Tak, dzień jest taki piękny, świetnie nadaje się na przechadzkę - odrzekł Jason, zdziwiony, że starszy pan go poznał.

- Popatrz na niego - powiedziała pani McKinley, trącąc męża łokciem. - Jest już zupełnie dorosły. Możesz w to uwierzyć? Wydaje mi się, że nie dalej jak wczoraj wrzeszczałeś na niego za to, że biega po twojej głupiej trawie.

- Ha! - roześmiał się staruszek. - Był urwisem, tak jak cała reszta... ale co ja bym za to dał, żeby znowu zobaczyć, jak uganiacie się po trawniku.

- Mrugnął do Jasona porozumiewawczo.

- Mój Boże, jak ten czas leci - westchnęła melancholijnie jego żona.

Jason nie mógł się nadziwić, jak bardzo różnią się jego wspomnienia z dzieciństwa dotyczące tych dwojga od obecnego wrażenia. Teraz wydawali się naprawdę sympatycznymi ludźmi.

- Kiedy wyszedłem rano po gazetę, spotkałem twojego ojca - mówił dalej pan McKinley. - Powiedział mi, że wróciłeś.

- Z pewnością jest bardzo szczęśliwy - dodała pani McKinley. - Bez przerwy o tobie opowiada. Po prostu pęka z dumy.

Słyszając te słowa, Jason poczuł, jak rumieniec wstydu oblewa mu policzki.

- Cieszę się bardzo, że znowu tutaj jestem - wyznał, bawiąc się smyczą Sundance'a.

- Na jak długo przyjechałeś? - spytał pan McKinley.

- Przynajmniej na kilka dni - odparł Jason, wzruszając ramionami. - Muszę nadrobić zaległości i zobaczyć się z wieloma osobami.

- To wpadnij któregoś dnia do nas - zaprosiła go pani McKinley. - Z radością posłuchamy, co teraz porabiasz.

- Tylko uważaj, żeby nie podeptać trawnika, kiedy będziesz tu szedł - zażartował jej mąż.

- Będę ostrożny - obiecał Jason, uśmiechając się z przymusem, ponieważ znowu poczuł nerwowe ściskanie w żołądku. Pożegnał się i ruszył w dalszą drogę. Nagle zapragnął znaleźć się jak najszybciej w domu. Przypadkowe spotkanie ze starszym małżeństwem, choć bardzo przyjemne, dziwnie go wyczerpało. Po prostu nie był jeszcze przygotowany na to, by stanąć twarzą w twarz z ludźmi, i nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się znowu w bezpiecznym schronieniu rodzinnego domu.

Gdy wreszcie tam dotarł, dostrzegł na podjeździe samochód ojca, co wzbudziło w nim mieszane uczucia. Nie chodziło o to, że chciał uniknąć rozmowy z nim, lecz w tej chwili nie miał na to siły.

- Cześć, jesteście wreszcie - wesoło przywitał ich Giulio. - Domyśliłem się, że wybraliście się na mały spacer.

- Tak, musiałem trochę odetchnąć świeżym powietrzem - rzekł Jason, spuszczaając psa ze smyczy. - Nie byliśmy daleko.

- Świetnie - powiedział Giulio, kiwnąwszy głową z aprobatą. - Po całym dniu w samolocie potrzebowałeś trochę ruchu i świeżego powietrza, żeby dojść do siebie. - Ojciec umilkł i popatrzył na niego z troską. - Lepiej się czujesz? Wczoraj sprawiałeś wrażenie kompletnie wykończonego.

Jason wzruszył ramionami.

- Nic mi nie jest - odparł. - Ale przykro mi, że tak przysnąłem, wiem, że chciałeś porozmawiać.

- Nadal chcę - przyznał Giulio - ale to może poczekać. Na razie wpadłem tylko do domu, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz, no i podrzuciłem ci coś do zjedzenia na drugie śniadanie.

Jason pomyślał, że jest głodny jak wilk.

- Dziękuję bardzo - powiedział. - A co mi przyniosłeś?

- Dużą kanapkę z salami i szynką *capicola*, zieloną sałatą i pomidorem - odrzekł ojciec. - Zostawiłem wszystko na stole w kuchni.

Uśmiechnąwszy się, Giulio zaczął się ubierać do wyjścia.

- Nie mogę dłużej zostać - wyjaśnił. - Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia, ale po pracy przyjadę po ciebie, tymczasem utnij sobie małą drzemkę, jeśli masz ochotę, a później się ogarnij.

- A co? - spytał ostrożnie Jason. - Planujesz dokądś mnie zabrać?

- Twoja siostra zaprosiła nas na kolację - wyjaśnił Giulio. - Będzie tam również Raymond z Donna.

- O, świetnie - rzekł bez przekonania Jason. W tej chwili myśl o spotkaniu z kimkolwiek była dość przytłaczająca. Mimo to zapewnił: - Będę gotów.

- Cieszę się. - Giulio skierował się do drzwi.

- Zniosłem twoje walizki na górę do twojego dawnego pokoju i pościeliłem łóżko, możesz więc się tam położyć.

Jason podziękował ojcu i odprowadził go wzrokiem. Gdy drzwi się za nim zamknęły, ruszył w stronę kuchni, ponieważ jednak wciąż czuł ucisk w żołądku, uznał, że musi odczekać, zanim cokolwiek zje. W tej chwili marzył wyłącznie o tym, by się położyć i zasnąć. Wszedł do salonu, opadł bezsilnie na kanapę i błyskawicznie zapadł w sen. Sundance zwinął się w kłębek u jego stóp.

ROZDZIAŁ

dziesiąty

- Jason! - wykrzyknęła Natalie, gdy jej młodszy brat stanął w drzwiach wejściowych. W fartuszku zawiązanym w talii, ponieważ wciąż jeszcze szykowała kolację, podbiegła do Jasona, uściskała go serdecznie i pocałowała w policzek. Następnie odsunęła się i pacnęła go żartobliwie po ramieniu.

- *Mamma mia*, najwyższy czas, żebyś wrócił do domu! - złążała go. - Już zaczęliśmy myśleć, że zapomniałeś o nas wszystkich, prowadząc światowe życie w Kalifornii.

- Próbowałem, lecz okazało się to trudniejsze, niż myślałem - odrzekł Jason z uśmiechem. Oczywiście droczył się z nią, lecz w głębi duszy czuł, że w tym, co powiedział, jest chyba więcej niż tylko żdźbło prawdy.

- Tak, tak to jest, można wyrwać człowieka z Rhode Island, ale nie da się wykorzenić Rhode Island z człowieka - roześmiał się Giulio. W jednej ręce trzymał butelkę wina, w drugiej bochenek świeżego chleba. Zatrzymał się na chwilę, pociągając nosem. - Coś tu przepięknie pachnie. Co przyrządziłaś?

- Nic specjalnego - odparła Natalie - tylko kotlety z kurczaka i makaron. Będą gotowe za kilka minut.

- A gdzie są moje wnuki? Spytał Giulio, rozglądając się dookoła. - Nie widziałem ich od dawna. Musiały urosnąć przez ten czas.

- Od waszego ostatniego spotkania minęły trzy dni - przypomniała mu córka. - Dokazują na dole w pokoju zabaw, razem z Michaeliem i Raymondem. Może dołączycie do nich, a ja was zawołam, kiedy kolacja będzie gotowa?

- Ty idź - powiedział Giulio, szturchając Jasona. - Ja otworzę butelkę, żeby wino pooddychało, zanim usiądziemy do stołu.

Poszedł za Natalie do kuchni, natomiast Jason ruszył w stronę schodów prowadzących do świeżo wykończonego pokoju w suterenie. Gdy znalazł się na dole, zobaczył męża Natalie, Michaela, który na czworakach udawał kuczka, wożąc na grzbiecie swego synka Tommy'ego. Tymczasem Raymond siedział na kanapie, czytając książkę *Horton słyszy Ktosia* młodszej siostrze Tommy'ego, Jennie. W telewizji nadawano wieczorne wiadomości,

nikt jednak nie zwracał na nie uwagi. Jason zaskoczony przyglądał - się dzieciom. Wciąż były małe, ale bardzo urosły od czasu, gdy widział je po raz ostatni.

- Hej, wyglądasz jak półtora nieszczęścia - powiedział Raymond, widząc brata. Zdjął Jennę z kolan i posadził ją za Tommym na grzbiecie ojca. - Trzymaj się mocno - nakazał jej, po czym wstał z kanapy.

Bracia podali sobie dłonie i uściśnęli się krótko, z ostrożnością, lecz i z uczuciem. Ich kontakty zawsze wyglądały w ten sposób.

- Jak się masz? - Starszy przyglądał mu się sceptycznie. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Wiem - odrzekł Jason, wzruszając ramionami. - Byłem zapracowany. - Chcąc odwrócić uwagę od siebie, spytał: - A gdzie Donna? Nie widziałem jej na górze.

- Pracuje do późna - wyjaśnił Raymond. - Ale na pewno się zjawi.

Michael, który rozpląszczył się na podłodze, by dzieci mogły bezpiecznie zejść mu z pleców, teraz wstał i podszedł do Jasona, by się przywitać, natomiast Tommy i Jenna skryli się w kącie pokoju za kanapą.

- Jak wy się zachowujecie? Bawicie się w chowanego czy co? - skarcił ich Michael. - Chodźcie tutaj i przywitajcie się z wujkiem Jasonem.

Dzieci z ociąganiem wyszły zza kanapy i stanęły tuż przy ojcu, kurczowo uczepliwszy się nogawek jego spodni. Wpatrywały się w nowo przybyłego nieufnym wzrokiem. Patrząc na ich słodkie buzie, Jason uświadomił sobie, jak dawno go tutaj nie było. Trudno się dziwić, że jego siostrzeniec i siostrzenica go nie poznali.

- Cześć, dzieciaki - rzekł wesoło, głaszcząc oboje po głowach. - Fajnie was znowu widzieć.

Tommy i Jenna wymruczeli pod nosem ciche, zdawkowe słowa powitania, jak to zwykle robią dzieci wobec nieznajomych. Potem puścili nogawki Michaela i pobiegli pędem w stronę schodów, by jak najprędzej znaleźć się pod opiekuńczymi skrzydłami matki.

Jason zawsze uważał się za raczej gruboskórnego faceta, lecz mimo że reakcja dzieciaków była absolutnie zrozumiała, zrobiło mu się trochę przykro. Najwyraźniej w jego oczach było widać smutek, ponieważ szwagier poklepał go pocieszająco po ramieniu.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Po prostu dawno cię nie widzieli, to wszystko.

- To nie ich wina - odparł Jason. - Bywa, że czasami sam sobie wydaję się obcy.

- Co za głęboka myśl - zachichotał Raymond.

- Wykombinowałeś to, ćwicząc pewnego dnia pilates?

- Wiesz, jak to jest z nami, facetami z Zachodniego Wybrzeża - odpowiedział Jason, przyjmując docinek z poczuciem humoru. - Chyba przyszło mi to kiedyś do głowy podczas

medytacji na plaży... A może kiedy jak co dzień trenowałem tai-chi? Nie pamiętam.

- Nie jesteś facetem z Zachodniego Wybrzeża - naburmuszył się Raymond, siadając z powrotem na kanapie. - Wciąż jesteś chłopakiem z Rhode Island, czy ci się podoba, czy nie.

- Tata powiedział coś podobnego zaledwie chwilę temu. Nie wiem, może to i prawda.

- To prawda. Możesz mi wierzyć.

Jason usadowił się w drugim końcu kanapy, tymczasem Michael szukał pilota do telewizora pośród zabawek porzucanych na podłodze. W końcu znalazł go pod kanapą, gdzie wylądował, niechcący kopnięty przez któreś z dzieci.

- Za chwilę Friarsi będą grali swój przedmecz - wyjaśnił. - Dzisiaj wieczorem przeciwnikiem jest chyba Georgetown.

- Syracuse - poprawił go Raymond. - Z Georgetown grają w przyszłym tygodniu.

- Nieważne - rzekł Michael. - No to co wy na to, chłopaki? Chcecie obejrzeć kilka bramek?

- To twoja piwnica i ty trzymasz pilota w garści - zauważył Jason. - Jednym słowem, ty tu rządzisz.

- Włącz jakąś grę komputerową - powiedział Raymond. - Kto ma ochotę oglądać wiadomości?

Michael usiadł na podłodze, opierając się plecami o kanapę.

- Po prostu staram się być uprzejmy dla gości - roześmiał się cicho.

Podczas gdy Michael przełączał kanały, szukając gry, Raymond wyciągnął rękę i pstryknął Jasona w ramię.

- No to o co chodzi, braciszku? - spytał. - Bardzo się cieszę, że znów jesteś z nami, ale co się stało, że pojawiłeś się ni stąd, ni zowąd w domu? Przez tyle czasu nie dawałeś znaku życia...

Jason spodziewał się takiego pytania zarówno od brata, jak i od pozostałych członków rodziny, w tym momencie jednak nie był gotów, by na nie odpowiedzieć.

- To długa historia - odrzekł po chwili.

- Mam dużo czasu - odparł Raymond. - Nie spiesz się.

Jason zastanawiał się nad odpowiedzią, kiedy, szczęśliwie dla niego, u szczytu schodów pojawiła się Natalie i krzyknęła, że kolacja jest już gotowa.

- Opowiem ci o wszystkim później - obiecał, wstając.

- Nie mogę się doczekać - mruknął Raymond.

*

Gdy wszyscy wreszcie zebrali się wokół stołu, Giulio wprost tryskał dobrym

humorem. Natalie podawała makaron, on zaś napełniał kolejno kieliszki i podawał je dorosłym. Gdy nadszedł czas, by dziadek wznosił toast, Jenna i Tommy musieli zadowolić się sokiem owocowym. Giulio uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę z kieliszkiem w stronę Jasona.

- Wypijmy za to, że znów jesteśmy wszyscy razem w domu - rzekł po prostu. - *Salute!*

- *Salute!* - zawołali, stukając się kieliszkami, a Tommy i Jenna kubeczkami.

Jason również uśmiechnął się do nich, popijając wino, lecz w środku targwały nim sprzeczne emocje. Zdawał sobie sprawę, że tak wspaniale jest znaleźć się znów wśród bliskich, lecz okoliczności, jakie doprowadziły do tego rodzinnego spotkania, znane tylko jemu, były zbyt przygnębiające. Myśl o nich była ciężarem, od którego pragnął się już uwolnić, lecz obawiając się reakcji najbliższych, wciąż nie był gotowy, by wydusić z siebie całą prawdę. Dlatego też przybrał uszczęśliwioną minę, ale przez cały czas czuł się jak oszust. Ku jego konsternacji pytania zaczęły się niemal natychmiast, gdy wziął do ręki widelec.

- A więc, Jasonie - zaczęła Natalie - wspaniale, że znowu jesteś z nami w domu, ale dlaczego nikogo nie zawiadomiłeś? Powinieneś być zadzwonić i dać znać, że przyjeżdżasz.

- No właśnie - zawtórował jej Raymond, siedzący po drugiej stronie stołu. - Kilka minut temu zadałem mu to samo pytanie. Co to za długa historia, o której wspomniałeś mi na dole?

Jason odłożył widelec.

- Tak naprawdę historia wcale nie jest długa - odparł, wzruszając ramionami. - To taka decyzja podjęta pod wpływem impulsu. Zwyczajnie musiałem wyjechać na jakiś czas z Los Angeles.

- A co słyhać w twojej firmie? - zainteresował się Michael. - Jak ona się nazywa? Med-Tech czy jakoś tak?

- Med-Device Technologies - odrzekł Jason, po czym dodał po chwili milczenia: - Dobrze sobie radzą.

- Oni? - spytał Raymond ze zdziwioną miną.

- Hej - przerwał im Giulio, który przysłuchiwał się rozmowie. - Co to ma być? Teleturniej *Dwadzieścia pytań*? Pozwólcie chłopakowi zjeść makaron, zanim wystygnie - zganił ich ojciec, tym samym wybawiając Jasona z opresji.

- Proszę zjeść ładnie wszystko, łącznie z warzywami! - wykrzyknął mały Tommy, grożąc wujkowi paluszkami. Mały tak umiejętnie naśladował zachowanie rodziców, że wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Jak się mają sprawy z pensjonatem? - Jason skwapliwie wykorzystał okazję, by

skierować rozmowę na inne tory, odwrócić zainteresowanie od siebie. - Ktoś ostatnio widział białą damę?

Słyszając te słowa, Giulio wydał z siebie jęk.

- Och, błagam - rzekł szyderczym tonem. - Nie zaczynaj znowu z tymi bredniami.

Biała dama była upiorną zjawą, która rzekomo ukazywała się od czasu do czasu w Bradley Mansion. W ciągu minionych lat goście często twierdzili, że spotkali w przelocie tajemniczą młodą kobietę w białej szacie, sunącą po korytarzu lub mijającą ich na schodach. Jason i jego rodzeństwo w okresie dorastania przysięgali, że widzieli na własne oczy, jak snuje się po rezydencji, jednak Giulio nigdy nie napotkał żadnych niezwykłych gości w pensjonacie.

Zawsze naśmiewał się z tej historii, twierdząc, że to wyłącznie gra świateł i igraszki wybujałej wyobraźni, która płała figle ludzkim oczom. Jego dzieci oczywiście miały wręcz przeciwne zdanie i biała dama została już na zawsze ulubionym tematem rozmów, prowokując nie kończące się spekulacje, kim lub czym jest.

Tak jak Jason się spodziewał, jego pytanie wywołało ożywioną dyskusję na temat widziadła i wreszcie mógł się trochę rozluźnić.

Jadł kolację, słuchając relacji o ostatnich pojawieniach się damy. Nie wiedział, jak długo będą o niej rozmawiać. Najważniejsze, że zyskał czas, by zdecydować, co powie potem.

ROZDZIAŁ

jedenasty

Jason i Giulio nie zabawili zbyt długo u Natalie. Gdy kończyli jeść, zadzwoniła Donna, by powiedzieć, że jednak nie przyjedzie, ponieważ jej samochód nie zapalił i musiała pozostać w pracy. Raymond połknął w pośpiechu kilka ostatnich kęsów, pożegnał się ze wszystkimi i pojechał po żonę. Natalie zaczęła zbierać naczynia ze stołu, a Michael zaprowadził dzieci na górę, żeby przygotować je do snu. Giulio zrozumiał to jako sygnał do wyjścia. Jutro jest normalny dzień pracy, najwyższy czas więc wracać do domu. Pora, by młodzi rodzice położyli dzieci spać i sami trochę odpoczęli.

Później, jadąc z ojcem przez miasto, Jason zastanawiał się nad minionym wieczorem. W sumie poszło nawet lepiej, niż się spodziewał. Było kilka kłopotliwych sytuacji, kilka dociekliwych pytań, lecz za każdym razem Giuliovi udawało się w odpowiednim momencie wybawić go z opresji jakąś celną uwagą lub zabawną anegdotą, zanim sprawy zaszły za daleko. Jasonowi dodawało otuchy to, że ojciec tak się o niego troszczy, instynktownie chroniąc go przed wścibstwem rodzeństwa, dopóki sam nie zechce rozmawiać szczerze o wszystkim. Rozumiał jednak, że może pozostawać pod jego skrzydłami tylko chwilowo. Podejrzewał, że Raymond i Natalie wiedzieli już więcej, niż wskazywałyby ich pozornie niewinne pytania, lecz nie miał pojęcia jak wiele. W każdym razie miał świadomość, że nie zdoła ukryć przed nimi prawdy.

Przypuszczał również, że i Giulio to pojmuje. Nie zdziwiło go ani trochę, że gdy tylko przekroczyli próg domu, ojciec natychmiast wskazał mu dłonią salon i poprosił, żeby usiadł. Ton jego głosu zdradzał, że nadszedł czas, by ostatecznie wyjaśnić sytuację. Jason nagle poczuł, jak ten straszliwy, wyczerpujący ciężar znów go przygniata. Niczym skazaniec osunął się na fotel przy kominku i w ponurym milczeniu czekał na to, co miało nastąpić. Sundance, jak gdyby wyczuwał, że sprawa jest poważna, bez przekonania obwąchał obu mężczyzn, po czym oddalił się do kuchni i położył pod stołem.

Początkowo ojciec milczał, tylko ukląkł przy kominku, otworzył szyber i wrzucił kilka polan i podpałki na kratę paleniska. Trzasnęła zapalka i drewno się zajęło. Po chwili ogień płonął pełnym blaskiem.

- Pora, byśmy wreszcie porozmawiali - rzucił Giulio przez ramię, szturchnąwszy bierwiona pogrzebaczem. Płomienie buchnęły wyżej.

- Wiem - westchnął Jason.

Giulio oparł pogrzebacz o kominiek i z powrotem przesłonił palenisko. Usiadł w fotelu naprzeciwko syna. Przez jakiś czas znów siedzieli w milczeniu i jedynym dźwiękiem w pokoju było trzaskanie płonącego drewna. W końcu Giulio odwrócił oczy od ognia i spojrzał na Jasona przenikliwym wzrokiem ojca, który domyśla się, że coś złego dzieje się z jego dzieckiem, i jest zdecydowany dotrzeć do sedna sprawy.

Jason w dzieciństwie wielokrotnie widywał tę właśnie minę. Mały chłopiec, którym wciąż był w głębi duszy, odczuwał przemożne pragnienie, by znowu uciec, tak jak to uczynił pewnego dnia wiele lat temu, zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma takiego miejsca, w którym ukryłby się przed wzrokiem ojca.

Giulio skrzyżował ramiona, jakby zbierał siły, i pochylił się w kierunku syna.

- Czas, byś opowiedział mi, co ci się przydarzyło - rzekł łagodnym tonem. - Jestem twoim ojcem, mnie możesz wyznać wszystko. Rozumiesz?

Jason westchnął przeciągle i spuścił głowę, zawstydzony i zrozpaczony, ponieważ nie potrafił spojrzeć prosto w oczy swojemu ojcu. Usiłował powstrzymać napływające łzy, lecz nie starczyło mu siły, by stłumić szloch.

- Tato, schrzaniłem wszystko - powiedział łamiącym się głosem. - Skłamałem na temat czegoś bardzo ważnego... i zawałem sprawę.

Ukrył twarz w dłoniach, nie będąc w stanie wymówić ani słowa więcej, dopóki nie poczuł dłoni ojca na ramieniu.

- O co chodzi z tym kłamstwem? - spytał Giulio.

Jason wziął głęboki oddech i utkwiał wzrok w płomieniach, jeszcze bardziej zawstydzony, że tak się rozkleił.

- Dotyczy to specjalnego projektu, nad którym pracowałem - wyjaśnił, wycierając oczy wierzchem dłoni. - Nośił nazwę ProCardial.

- Tak, pamiętam, jak kiedyś o nim wspomniałeś - pokiwał głową Giulio. - To jakiś rodzaj chirurgicznego implantu czy coś w tym rodzaju, tak?

- Owszem - potwierdził Jason. - To był ten niesamowity wynalazek, opracowywany przez nas, który miał zrewolucjonizować leczenie chorób układu sercowo-naczyniowego... a przynajmniej tak go reklamowaliśmy w materiałach marketingowych.

- Ale, jak rozumiem, wystąpił jakiś problem? - podpowiedział ojciec.

- Problem polegał na tym, że implant nie działał tak jak trzeba, przynajmniej w

przypadku niektórych osób - rzekł ze smutkiem Jason.

- Co się stało?

- Na początku wszystko zapowiadało się wspaniale - mówił dalej Jason. - Tak jak się spodziewaliśmy, ProCardia gładko przechodził przez wszystkie próby kliniczne. Pacjenci czuli się dobrze i inwestorzy ustawiali się do nas w kolejce. To był prawdziwy *home run*¹.

Jason umilkł i spojrzał na ojca ze zrozpaczoną miną.

- Oczywiście wszyscy mieliśmy być bogaci - oznajmił.

- To było dla ciebie ważne?

Jason odwrócił wzrok.

- Nie wiem - przyznał, potrząsając głową. - Chyba tak. Ale kiedy myśleliśmy, że mamy sukces w kieszeni, otrzymaliśmy wyniki dwóch pomniejszych badań, które sfinansowała nasza firma.

- Co z nich wynikało? - spytał Giulio, mierząc syna badawczym wzrokiem.

- Jak już powiedziałem, to były niewielkie badania - odparł Jason, kurcząc się wewnątrz pod jego spojrzeniem - ale u niektórych pacjentów biorących w nich udział wystąpiły poważne komplikacje po wszczepieniu implantu. Kilku z nich omal nie zmarło, na szczęście lekarze zdążyli go w porę usunąć. Statystycznie rzecz biorąc, jeśli rozpatrywać je jako część całej grupy badań, wyniki nie były aż tak znaczące, lecz...

- Lecz ludzie omal nie stracili życia - zauważył ojciec.

- Tak - westchnął Jason. - To prawda.

- I co zrobiłeś?

- Zrobiłem to, do czego mnie namówili - odparł Jason, wierząc się na krześle.

Z ponurą miną zrelacjonował ojcu przebieg tamtego dnia, niemal rok temu, kiedy Phil Langway wezwał go do swego gabinetu, by przekazać mu złe wieści dotyczące badań klinicznych. Siedział tam, usiłując zrozumieć to, co właśnie usłyszał, tymczasem Langway i inni otoczyli go jak stado rozwścieczonych wilków. Nawet teraz Jason słyszał w uszach ich niskie, nieprzyjemne głosy.

*

- Masz pojęcie, co to znaczy? - przypomniał sobie słowa Langwaya. - Wszystko może opóźnić się o wiele lat, jeśli implantu nie zatwierdzi Urząd Kontroli Żywności i Leków.

- Inwestorzy wycofają się natychmiast, gdy o tym usłyszą - powiedział drugi

¹ *Home run* - w baseballu uderzenie pałkarza, które umożliwia biegaczowi obiegnięcie wszystkich baz i zdobycie punktu (przyp. tłum.).

mężczyzna.

- Akcje firmy będą warte tyle co papier, na którym zostały wydrukowane - lamentował trzeci.

- Ty, ja, my, którzy tu jesteśmy zebrani, stracimy wszystko!

- Musisz coś zrobić - polecił Langway. - Wymyśl jakiś sposób. Po prostu ukryj jakoś te liczby. Za to przecież bierzesz pieniądze, prawda? Dzięki temu zyskamy na czasie i będziemy mogli rozwiązać problem, zanim ProCardia wejdzie na rynek.

Jasonowi kręciło się w głowie, nie wiedział, w którą stronę ma się zwrócić, co myśleć. Rozumiał jedynie, że to, na co tak ciężko pracował, za chwilę rozsypie się w drobny mak. Ogarnęło go przerażenie. Bał się, że straci pracę i dodatkowe świadczenia, że nie będzie go stać na wystawne życie, które zaczęło mu się podobać. Ale najbardziej obawiał się, że straci Amandę. Czy go zostawi, jeśli on zaprzepaści to wszystko i zacznie jeszcze raz od zera?

- Rób tylko, co ci powiemy, a wszystko będzie dobrze - mówił Langway. - Zaufaj mi, nikt nigdy się nie dowie.

*

Jason przerwał swoją opowieść i spojrzał na ojca.

- Niech zgadnę, co się stało - powiedział Giulio. - Zrobiłeś to... i ktoś to odkrył.

- Cała sprawa wyszła na jaw sześć miesięcy temu - przyznał Jason, kręcąc ze znużeniem głową.

- Nie pytaj mnie, kto lub jak nas wydał, ale później osaczyło mnie stado prawników, prowadzących nie kończące się dochodzenia i procesy sądowe oraz reporterów, przewracając, niczym istne tornado, wszystko na swojej drodze. Tak bardzo się bałem, że stracę to, co osiągnąłem, a w końcu i tak straciłem wszystko. Pracę. Przyjaciół. Niemal wszystko, co miałem. To, co sprawiało, że byłem tym, kim byłem.

Giulio uniósł brwi.

- A co sprawiało, że byłeś tym, kim byłeś? Czy tego nauczyli cię w szkole?

- Wiem, wiem - nadąsał się Jason. - Sprawa wyszła na światło dzienne, trąbiono o niej w wiadomościach w Los Angeles, podano moje nazwisko i nagle nie tylko byłem splukany, ale traktowano mnie jak trędowatego. Ludzie zaczęli omijać mnie szerokim łukiem, nie mówiąc już o tym, że nie mogłem znaleźć pracy.

Jason umilkł i znowu pokręcił głową.

- Tak mi przykro, tato - westchnął. - Okryłem się hańbą, okryłem hańbą nazwisko Mirabellów. Zmarnowałem wszystko. Lata w szkole, pracę. Wszystko na nic.

Jason odwrócił twarz w stronę kominka i wpatrywał się ze smutkiem w przygasające

plomienie, czekając z rezygnacją na nieuchronną reprimendę.

Przez dłuższy czas ojciec się nie odzywał. Siedział w fotelu, pogrążony w myślach, pocierając podbródek.

- A zatem czego się nauczyłeś? - spytał w końcu.

Jason popatrzył na ojca niepewnie.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

Teraz Giulio westchnął, składając dłonie w szczególny sposób. Robił tak często, ilekroć zamierzał powiedzieć coś ważnego.

- Jasonie, nic, co kiedykolwiek w życiu zrobiłeś, nie jest marnotrawstwem, dopóki potrafisz wyciągać z tego wnioski. To, czego się dopuściłeś, jest naprawdę haniebną, ale poniosłeś już za to słuszną karę. Pomyśl, czy jednak zastanowiłeś się przez moment, jakie miałeś szczęście?

- Szczęście? - parsknął Jason. - Skąd taki wniosek?

Giulio rozparł się w fotelu, uśmiechając się do syna.

- Wierzę, że wszystko, nawet najstraszniejsze i najboleśniej sprawy, zdarza się z jakiegoś powodu - powiedział - z uzasadnionego powodu. Czasami jedynie Bóg go zna i nie ujawnia go za wcześnie. Dopiero później, jeśli cofniesz się o krok i przemyślisz całą sytuację, zaczniesz dostrzegać ten zamysł. Teraz popatrz na siebie. Wyobraź sobie, że plan, który obmyśliłeś wspólnie ze swoimi szefami, zadziałał, i produkt został sprzedany dokładnie w takiej niedoskonałej postaci. Jakbyś się czuł, gdyby niewinni ludzie stracili życie wskutek jego wad, które zostały przeoczone i nie skorygowane w porę? Wyobraź sobie, że przytrafiłoby się to komuś, kogo znasz i na kim ci zależy. Czy sądziłbyś, że są jakieś bogactwa na tym świecie, które byłyby tego warte? Czy potrafiłbyś żyć ze świadomością, że twój brak odpowiedzialności doprowadził do czyjejś śmierci, że inni cierpią z tego powodu?

- Nie - przyznał Jason. - Masz rację, nie potrafiłbym. Chyba nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

Giulio chrząknął z zadowoleniem.

- Uwierz mi, miałeś dużo szczęścia, przyjacielu - rzekł, głaszcząc syna po głowie. - Ale to już przeszłość, przestań więc się zamartwiać.

- Ale co mam teraz robić? - spytał Jason raczej siebie niż ojca.

- Musisz znaleźć sposób, by uporządkować swoje życie i zmienić wszystko na lepsze.

- Hm, a gdzie mam rozpocząć realizację tego planu? - mruknął pod nosem Jason.

Ojciec wzruszył ramionami i zatoczył dłonią krąg.

- Może na razie zostań z nami? - zaproponował. - To twój dom, a nie pułapka. Nie

musisz się obawiać, że utkniesz tutaj do końca swych dni. Przypuszczam, że znajdziesz pomysł na swoje dalsze życie, ale na razie zatrzymaj się tutaj tak długo, jak zechcesz. Odpocznij, nabierz sił, a dopiero potem planuj przyszłość. Co ty na to?

Jason nie zastanawiał się długo nad propozycją ojca. Zresztą dokąd mógłby teraz pojechać?

- To wspaniały pomysł - przyznał szczerze. - Oferujesz mi więcej, niż mogłem oczekiwać. - Potem dodał ledwie słyszalnym szeptem: - Dziękuję, tato, i przepraszam.

- *Niente* - odparł ojciec z lekceważącym machnięciem ręki. Wstał i czule klepnął Jasona po głowie. Był to żartobliwy gest, który miał go podnieść na duchu, upewnić, że wszystko będzie dobrze. Życzył synowi dobrej nocy i skierował się na górę, by położyć się spać. Sundance szedł tuż za nim.

Jason został jeszcze przez chwilę przy kominku, sennie obserwując, jak drewno się dopala, dopóki nie został tylko przygasający żar, jarzący się pomarańczową poświatą. Choć rozmowa wyczerpała go do cna, odczuwał niewysłowioną ulgę, że wreszcie wyznał ojcu swoją winę. A jednak w głębi duszy pozostał głęboki niepokój. Tak, ojciec miał rację, jest mimo wszystko szczęściarzem, ale problem polegał na tym, że Jason nie powiedział mu o innej sprawie, która dręczyła go chyba jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ

dwunasty

Pewnego dnia po pracy, kilka tygodni od nieszczęsnego zebrania u Phila Langwaya, lecz zanim jeszcze wszystko legło w gruzach, Jason towarzyszył Amandzie w jej codziennym joggingu po plaży. Jego dziewczyna miała bzika na punkcie sprawności fizycznej - w przeciwieństwie do niego - i jak zwykle, gdy udało jej się namówić go na bieganie, miał ogromne kłopoty z dotrzymaniem jej kroku. Amanda - bez śladu zmęczenia na twarzy, rytmicznie poruszając rękami i nogami, opalonymi na brąz w kalifornijskim słońcu, biegła z lekkością - uosobienie sportowego piękna i wdzięku.

Jason natomiast zdecydowanie był jej przeciwieństwem. Po pięciu minutach biegu ziajał jak pies, jego T-shirt był pokryty plamami potu. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, w płucach kłuło go, jakby połknął ogień. Cierpiał katusze i jedynie duma dopingowała go, by nie zostać zbyt daleko w tyle, dopóki nie dotarli do mola, które wyznaczało półmetek ich biegu. Tam Amanda przystanęła, po czym zaczęła biec w przeciwnym kierunku. Jason nie miał wyboru. Odczekał chwilę, by złapać oddech, po czym ruszył za nią w znacznie wolniejszym tempie.

- Ruszaj się, ślamazaro! - zawołała przez ramię Amanda.

Pomimo swego opłakanego stanu Jason uśmiechnął się i pomachał jej. Tak to teraz wyglądało. Szalał za Amandą, gotów był ścierpieć wszystko, byle tylko z nią być. Wykańczający jogging po plaży, zabójcze dla portfela nocne wypadki do miasta - wszystko bowiem zwracało mu się z nawiązką. Uwielbiał każdą sekundę, którą spędzali razem, tęsknił zawsze, gdy byli z dala od siebie.

Jednakże relacje między nimi zmieniły się nieco, od kiedy Jason zgodził się wziąć udział w przekręcie Langwaya. Amanda oczywiście nie miała pojęcia o tym, w co się wplątał, lecz jego podświadomie dręczyła myśl, że wszystko może wyjść kiedyś na jaw. Przez kilka pierwszych dni po feralnym spotkaniu każdy dzwonek telefonu lub pukanie do drzwi gabinetu przyspieszało mu puls, ponieważ był pewien, że oto nadeszła przerażająca chwila prawdy. Nieustannie odczuwał tępy ból, spowodowany nerwowym napięciem, który pozbawiał energii i mącił spokój. Chociaż usilnie starał się ukryć zaniepokojenie, często był w obecności

Amandy markotny i nieobecny, zbywając jej pytania o to, co go gryzie.

Mijały jednak dni i tygodnie, a projekt ProCardia był realizowany zgodnie z planem, Jason rozluźnił się więc trochę, wydawało się bowiem, że wszystko potoczy się jak należy. Z czasem nauczył się panować nad obawami, które stopniowo wyparł ze swej świadomości. Chwilami budziły się, by znów go nękać, lecz pogodził się z tym, że cierpienie jest ceną, jaką musi zapłacić, by zatrzymać Amandę - przekonywał bowiem sam siebie, że zrobił to dla niej.

Gdy Jason wreszcie ją dogonił, Amanda siedziała oparta o palmę, popijając wodę z butelki. Szorty i T-shirt miał kompletnie mokre od potu, zgiął się wpół, wspierając dłońmi o kolana, i pozostał w tej pozycji, dopóki nie udało mu się wyrównać oddechu. W końcu wyprostował się i dokuśtykał do niej.

- Och, biedactwo - zagruchała Amanda na widok bolesnego grymasu na jego twarzy. - Przeżyjesz?

- Prawdę mówiąc, już umieram - jęknął Jason.

Słyszając to, Amanda podeszła do niego blisko, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go w taki sposób, że jego już i tak zmęczone nogi ugięły się pod nim. Potem odsunęła się i rzuciła mu ukradkowe spojrzenie, do którego charakteru nie mógł mieć wątpliwości.

- W takim razie lepiej zbierajmy się natychmiast do domu - powiedziała. - Musisz jak najprędzej pozbyć się tych mokrych ciuchów.

W domu kochali się, a później leżeli oboje w poprzek szerokiego łóżka Jasona, rozkosznie wyczerpani. Słońce chyliło się już ku zachodowi, cały pokój był skąpany w przygnionej, nierealnej poświacie. Przez długą chwilę żadne z nich się nie odzywało, po prostu odpoczywali w łagodnych promieniach słonecznych, spełnieni i pogrążeni w rozkosznym rozleniwieniu. Po pewnym czasie Amanda położyła mu głowę na piersi.

- Kochasz mnie? - spytała.

- Jasne, że tak - odrzekł Jason, gładząc jej gęste włosy.

- Naprawdę? - upewniła się. - A gdybym tak na przykład powiedziała ci, że nie jestem naturalną blondynką, lecz farbuję włosy, a w rzeczywistości jestem szatynką?

- Cóż, wiem z całą pewnością, że tak nie jest - roześmiał się Jason. - Ale kochałbym cię również, gdyby to była prawda.

- No dobrze, ale co byś zrobił, gdybym pewnego dnia utyla i zrobiła się brzydka? - drążyła dalej, wydymając wargi. - Czy wtedy też byś mnie kochał?

- Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie grubej i brzydkiej - zapewnił ją - ale gdyby nawet tak się stało, kochałbym cię nadal. Zawsze będę cię kochał.

Amanda umilkła. Usiadła prosto i zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

- A jak byś postąpił, gdybym ci powiedziała, że będę miała dziecko?

Jason również usiadł i spojrzał jej w oczy, zastanawiając się nerwowo, dokąd ich zaprowadzi ta rozmowa. Podniósł jej dłoń do ust i ucałował.

- W takim przypadku pewnie musiałbym się z tobą ożenić - odpowiedział zgodnie z tym, co myślał.

- Wobec tego - wyszeptała Amanda - chyba będziesz musiał mi się oświadczyć.

Zawiesiła głos, czekając na jego reakcję.

Gdy do Jasona dotarło znaczenie jej słów, w pierwszej chwili oniemiał. Ogarnęła go nagła panika, która jednak bardzo szybko ustąpiła miejsca zupełnie innemu, niespodziewanemu uczuciu. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że to radość. Amanda, ta olśniewająco piękna kobieta, nosiła pod sercem jego dziecko! Ich miłość stworzyła całkiem nowe życie. Raptem Jason zobaczył, jak otwiera się przed nimi cały nowy świat, nowy styl życia. Myśl o tym była tak cudowna, że twarz mu się rozpromieniła. Wyciągnął ramiona, by ją przytulić.

- Amando, naprawdę chcesz mi...

Amanda przyłożyła palec do warg.

- Nic nie mów - rzekła bez tchu. - Po prostu udowodnij mi, że mnie kochasz.

Z wstydliwym uśmiechem opadła z powrotem na łóżko i łagodnie przyciągnęła go do siebie.

Gdy nazajutrz obudził się i półprzytomnie wyciągnął rękę, by objąć Amandę, odkrył, że jest w łóżku sam. Na szafce nocnej leżała kartka z wiadomością, że musiała wstać bardzo wcześniej i nie chciała go budzić. Jason zasnął, więc pospiesznie zebrał się i wybiegł do pracy.

Gdy mknął autostradą, przekraczając prędkość, czuł się jak w siódmym niebie. Tyle rzeczy działo się naraz w jego życiu. Kariera. Sprawy prywatne. Amanda... Jest wyjątkowym szczęściarzem, że to ona będzie matką jego dziecka! Wszystko układało się idealnie. Pomyślał, że jego miłość do niej jest szczerą i prawdziwą i jej sytuacja materialna nie ma tu nic do rzeczy. Sam jest przecież dobrze sytuowany. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że ich związek przynosi pewne praktyczne korzyści. Mimo że była to ogromna inwestycja, firma Med-Device Technologies stanowiła zaledwie część imperium jej zamożnego ojca. Kto wie, jakie perspektywy mogą otworzyć się w przyszłości dla Jasona? Czy można potępiać go za to, że wyobraża sobie wygodne życie, jakie będzie wiódł, gdy wżeni się w jej rodzinę?

Gdy dotarł do Med-Device, wysiadł z samochodu i przepełniony optymistycznymi myślami, ruszył zamasyżycie przez parking, czując się lekki jak piórko. Wszedł niedbałym krokiem do budynku, wesoło pozdrawiając wszystkich napotkanych po drodze. Był w

świetnym nastroju i nie widział powodu, by nie podzielić się tą radością z innymi.

Właśnie wtedy zobaczył, że drzwi od jego gabinetu są półotwarte. W środku stał Bill Forsythe ze skrzyżowanymi ramionami i ponurą miną, czekając na niego. Jasonowi przemknęła przez głowę myśl, że Amanda zdążyła już porozmawiać z ojcem i ten przyszedł zażądać natychmiastowych wyjaśnień. To podejrzenie szybko się rozwiało, gdy Jason pchnął ramieniem drzwi i okazało się, że oprócz prezesa firmy w gabinecie znajduje się trzech mężczyzn, których nigdy przedtem nie widział na oczy.

Żaden z nich nie wyglądał na zadowolonego.

Serce w nim zamarło, w sekundzie domyślił przyczyny ich wizyty.

- Dzień dobry, panie Forsythe - powiedział, z trudem przelękając ślinę.

- Dzień dobry, Jasonie - odparł Forsythe z chłodną obojętnością. - Proszę, wejdź i usiądź. Ci panowie są agentami federalnymi. Chcieliby zadać ci kilka pytań w sprawie prób klinicznych ProCardial.

Jason wszedł do środka, a agenci zamknęli za nim drzwi.

Później, po wielogodzinnym przesłuchaniu, którego zwieńczeniem było otrzymanie przez niego wypowiedzenia, Jasona czekało jeszcze jedno upokorzenie - został wyprowadzony z budynku przez dwóch ochroniarzy. Tymczasem pogłoski o tym, czego dopuścił się wraz z resztą zespołu, szerzyły się w zastraszającym tempie. Nie było nikogo, kto nie zrozumiałby natychmiast, co to oznacza dla firmy i jej pracowników. Gdy szedł w kierunku wyjścia, niosąc kilka drobnych rzeczy, które pozwolono mu zabrać, spuścił głowę, by uniknąć ich groźnych - spojrzeń. Dobrze wiedział, co sobie myślą - Jason Mirabella i jego kumple prawdopodobnie kompletnie ich wszystkich zrujnowali. Opuścił Med-Device Technologies jako okryty hańbą, skompromitowany i godny pogardy człowiek.

Gdy tylko ochroniarze bezceremonialnie zostawili Jasona na parkingu, skazując go na wygnanie, jego myśli natychmiast pobiegły ku Amandzie i dziecku. Desperacko pragnął z nią porozmawiać, usprawiedliwić się, wyjaśnić, co zrobił i dlaczego postąpił tak, a nie inaczej. Ruszył w panicznym pośpiechu do samochodu, przyciskając do ucha telefon komórkowy, jednak odezwała się tylko poczta głosowa. Gdy dotarł do mieszkania, wbiegł do środka w nadziei, że zastanie na automatycznej sekretarce wiadomość od niej. Niestety, nie było żadnej. Pozostał przez resztę dnia w swoim dobrowolnym zamknięciu, krążąc po mieszkaniu niczym dzikie zwierzę w klatce; od oczekiwania na telefon męciło mu się w głowie.

Gdy wreszcie zadzwoniła, natychmiast odebrał.

- Powiedz mi, że to nieprawda - odezwała się Amanda w tej samej chwili, gdy przyłożył słuchawkę do ucha. Jej głos był tak przepełniony żalem i goryczą, że Jason poczuł,

jak coś się w nim załamuje.

- Amando - rzekł błagalnym tonem. - Pozwól mi wyjaśnić.

- Nie chcę, żebyś mi cokolwiek wyjaśniał - warknęła. - Chcę tylko, żebyś mi powiedział, że to nieprawda.

- Amando, ja...

- Powiedz! - krzyknęła.

Nastąpiło długie, przytłaczające milczenie. Jason rozpaczliwie pragnął powiedzieć jej to, co tak bardzo chciała usłyszeć, zapewnić, że to jedno wielkie nieporozumienie, że wszystko będzie dobrze, wiedział jednak, że to nieprawda - więc milczał.

- Żegnaj, Jasonie - wyszeptwała.

- Amando, proszę, zaczekaj! - zawołał.

Ale połączenie zostało już przerwane. Został sam w głuchej, dręczącej ciszy.

Dni, które nastąpiły potem, były koszmarem na jawie. Chociaż Jason zgodził się w pełni współpracować w śledztwie w sprawie skandalu w Med-Device, wciąż grożono mu procesem i stawiano zarzuty, które mogły zaprowadzić go do więzienia. Koszty sądowe związane z obroną były ogromne. By je opłacić, Jason ogołocił swoje i tak nadwerżone konta oszczędnościowe i zaczął kolejno wyprzedawać swój dobytek. Zbyt zawstydzony, by zawiadomić rodzinę o swoim trudnym położeniu, i zbyt dumny, by poprosić o pomoc, uczepił się nadziei, że jakoś sobie poradzi i szybko zacznie wszystko od początku.

Przez cały czas tej ciężkiej próby usiłował skontaktować się z Amandą, ona jednak nie odbierała od niego telefonów, ani razu również nie oddzwoniła. Doprowadzony do szaleństwa, jeździł pod dom, w którym mieszkała, o różnych porach dnia, w nadziei, że ją zastanie, lecz od dłuższego czasu jej miejsce na parkingu było puste, a okna sypialni ciemne.

Jason wpadł w rozpacz, wątpiąc, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Amandę, aż wreszcie pewnego dnia, wczesnym rankiem, gdy tamtędy przejeżdżał, wypatrzył na parkingu jej samochód. Nie tracąc czasu, zaparkował obok. Gdy zauważył, że wychodzi z domu z dwiema małymi walizkami, szybko wysiadł z samochodu. Na jego widok nie cofnęła się do holu, tak jak się spodziewał, lecz śmiało przeszła obok niego z dumnie podniesioną głową. Otworzyła bagażnik i wrzuciła tam swoje walizki.

- Masz czelność pokazywać mi się na oczy?! - syknęła, kipiąc ze złości, i zatrzasnęła pokrywę bagażnika.

- Amando, proszę, wysłuchaj mnie - rzekł błagalnym tonem. - Wiem, że popełniłem fatalny błąd.

Przez chwilę wpatrywała się w niego z gniewnym niedowierzaniem.

- Błąd? - prychnęła. - Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś mojemu ojcu? Co zrobiłeś wszystkim, nie wyłączając mnie?

- Wiem, Amando - westchnął żałośnie. - To było złe, ale wynagrodzę ci to, jeśli tylko dasz mi szansę.

- Tego nie da się wynagrodzić - odparła zjadliwie.

Minęła go i otworzyła drzwi samochodu.

- Zaczekaj! - krzyknął Jason, instynktownie chwytając ją za rękę.

Amanda obróciła się na pięcie i uderzyła go z całej siły w twarz.

- Puść mnie, ty łajdaku! - warknęła.

Jason, zaszokowany, puścił ją i bezradnie przyglądał się, jak wsiada do samochodu.

- Dokąd się wybierasz? - spytał.

- Wyjeżdżam. - Tyle tylko miała mu do powiedzenia.

- Ale co będzie z nami? - zawołał. - Co z naszym dzieckiem?

Amanda przewróciła oczami, patrząc na niego z pogardą.

- Och, proszę - syknęła. - Jakby ci na tym zależało!

Jason wpatrywał się z udręką w oddalający się samochód. W tym momencie dotarło do niego z całą wyrazistością, jak strasznej rzeczy się dopuścił. Ukrył twarz w dłoniach, zrozumiał bowiem nagle, że nie tylko stracił Amandę, lecz, co gorsza, że prawdopodobnie ich dziecko nigdy nie przyjdzie na świat. Przepelniony rozpaczą i wyrzutami sumienia, stał tam niczym skazaniec pod szubienicą. Zabrakło mu tchu, miał wrażenie, że się dusi, upadł na kolana i ogarnęła go ciemność.

Teraz, po upływie sześciu miesięcy, leżąc na łóżku w rodzinnym domu i nie mogąc zmrużyć oka, rozpamiętywał tamtą scenę i przerażający ciąg zdarzeń, które pociągnął za sobą ten jeden nieprzemyślany postępek. Jak zdoła, powtarzał sobie w rozpaczy, kiedykolwiek odpokutować coś, o czym nie potrafi nawet mówić? Czuł się tak, jakby porwał go nurt rwącej rzeki i dotarłszy do wodospadu, runął w dół wraz z masami wzburzonej wody. Dopóki nie znajdzie sposobu, by się czegoś uchwycić, jego życie będzie przypominało tę wodę, bez końca opadającą ku skałom.

ROZDZIAŁ

trzynasty

Ciszę przerwał jakiś głośny dźwięk.

Wyrwany z głębokiego snu, Jason usiadł, przetarł oczy i zaczął nasłuchiwać. Dźwięk, przypominający ryk startującego odrzutowca, teraz ucichł w oddali. W pierwszej chwili Jason pomyślał, że to znów zły sen, lecz po kilku minutach ponownie usłyszał coraz bliższy i głośniejszy ryk. Wyciągnąwszy rękę, uchylił zasłonę i błyskawicznie zrozumiał. Świat na zewnątrz lśnił bielą. Pługi śnieżne wyjechały oczyścić ulice.

Jason ziewnął i opadł z powrotem na poduszkę. Był już w domu od trzech dni. Podobnie jak każdego poprzedniego poranka przespał moment, kiedy ojciec zwykle wstaje i szykuje się do wyjścia do pensjonatu. Na myśl, że Giulio wyszedł do pracy, podczas gdy on wyleguje się w łóżku niczym uczeń podczas ferii, ogarnęły go wyrzuty sumienia - nie mógł jednak nic na to poradzić. Mimo że w ciągu minionych dni niewiele robił poza spaniem, gdzieś w środku czuł się nieustannie zmęczony. Czasami zwykle myślenie wymagało więcej wysiłku, niż zdołał z siebie wykrzesać, toteż większość czasu spędzał na kanapie, drzemiąc lub oglądając idiotyczne programy w telewizji. Można by odnieść wrażenie, że nie miał wyboru - musiał podporządkować się poleceniu ojca, który kazał mu na razie odpoczywać i dać sobie spokój z innymi sprawami.

Jasona nie trzeba było przekonywać, że rada ojca jest rozsądna. Zdawał sobie sprawę, że niezależnie od zewnętrznych pozorów w środku jest wrakiem człowieka. Jednak tego ranka obudził się bez panicznego przerażenia na myśl, co też przyniesie mu dzień. Ucisk ciężkiego buciora na jego piersi lekko zelżał i po raz pierwszy pomyślał, że jego rany zaczynają się goić, że być może zmęczenie, które zdawało się wszechogarniające, w końcu powoli ustępuje. Rzecz jasna, dużo jeszcze brakowało, by znów był dawnym sobą, lecz zdał sobie sprawę, że jest mu trochę łatwiej stawić czoło dniowi i zapanować nad wewnętrznymi demonami.

Kiedy zszedł na dół, zastał Sundance'a zwiniętego w kłębek na kanapie. Pies podniósł łeb, gdy Jason przechodził obok niego, i ziewnął rozdzierająco, po czym z powrotem ułożył się do snu.

- Również życzę ci miłego dnia - roześmiał się cicho Jason, kierując się do kuchni. Jak

zwykle Giulio zostawił mu dzbanek świeżo zaparzonej kawy Jason napełnił nią kubek i wyrzucił przez kuchenne okno.

Na ile mógł się zorientować, spadło przynajmniej piętnaście centymetrów białego puchu - cały ogródek pokryty był śnieżną pierzynką, śnieg przylgnał też do gałęzi drzew niczym duże kłaki waty Mimo że Jason wciąż lubił uważać się za Kalifornijczyka, jednak nie na tyle długo przebywał z dala od Nowej Anglii, by zachwycać się prostym pięknem śnieżnego krajobrazu oraz zapomnieć o tym, jak śnieg potrafi być dokuczliwy. Ponownie pomyślał o ojcu, znowu czując wyrzuty sumienia. Najprawdopodobniej słońce jeszcze nawet nie wzeszło, gdy Giulio musiał brnąć rano przez zasy. Jason zbeształ sam siebie w duchu. Gdyby nie spał, mógłby przynajmniej pomóc ojcu odśnieżyć samochód. Nienawidził uczucia, że właśnie staje się darmozjadem.

Dopił kawę i stał przez chwilę, bębniąc palcami w blat bufetu. Niestety, nie da się cofnąć czasu, lecz istnieje przecież teraźniejszość, w której zawsze można zrobić coś dobrego. Poszedł więc na górę, włożył cieplejsze ubranie i wyszedł na zewnątrz, by odgarnąć śnieg z podjazdu i chodnika.

Gdy wrócił do domu, policzki miał zaróżowione od rześkiego powietrza i ciężkiej pracy. Stał w korytarzu, tupiąc butami. Zapomniał, jak bardzo męczące może być takie zajęcie. Jednakże mimo obolałych mięśni czuł się świetnie, ruch na świeżym powietrzu i wysiłek fizyczny pobudziły w nim energię i zdecydowanie poprawiły nastrój. W brzuchu burczało mu z głodu, skierował się więc do kuchni, lecz po drodze przyszedł mu do głowy inny pomysł. Aby go zrealizować, musiałby skorzystać z samochodu ojca - Giulio jeździł do pracy furgonetką, a sedana zostawiał w garażu, zwłaszcza podczas brzydkiej pogody - lecz Jason był pewien, że ojciec nie miałby nic przeciwko temu. Podjąwszy decyzję, zdjął z wieszaka w kuchni kluczyki do samochodu, z powrotem włożył kurtkę i czapkę, po czym wyszedł na mróz.

*

Jason zdawał sobie sprawę, że jeśli przyjeżdża się do piekarni Graziella po jedenastej trzydzięci przed południem, ma się naprawdę nikłą szansę, że cokolwiek jeszcze będzie można dostać. W tej piekarni, prowadzonej przez ciotkę Jasona, Gracie, oraz wuja Ernie'ego, można było kupić, zdaniem wielu osób, najlepszy włoski chleb w mieście. Jego złocistobrązowa skórka była cudownie chrupiąca, a ciepły delikatny miąższ miał właściwą konsystencję. Okoliczni koneserzy chleba niezmiennie ustawiali się w kolejce przed drzwiami piekarni, zanim jeszcze otwarto sklep. Każdego dnia czekali, przełykając ślinę i wdychając boski aromat pieczywa, który unosił się w powietrzu. Rzadko się zdarzało, by przed

południem nie wysprzedano każdego okruszka chleba (specjalność wujka Ernie'ego) oraz wszystkich ciast i kruchych ciasteczek (specjalność ciotki Gracie). Gdy ostatni bochenek zniknął ze sklepu, nie pieczono już więcej i zamykano drzwi na resztę dnia.

Dlatego też gdy Jason podjechał pod piekarnię, nie był wcale zdziwiony, zastając drzwi zamknięte. Najwyraźniej śnieg i mróz nie zniechęciły wiernych klientów do zakupu ulubionych wypieków. Przycisnęła twarz do szyby i zajrzał do środka. Dostrzegł w sklepie ciotkę Gracie i wujka Ernie'ego, sprzątających przed jutrzejszym dniem. Ciotka jak zwykle zrzędziła na męża.

Jason uśmiechnął się. Jednym z jego ulubionych wspomnień z dzieciństwa były niedzielne poranki po mszy, kiedy Giulio z żoną i dziećmi jechali przez całe miasto, by kupić pieczywo do obiadu. Jeśli dzieciaki były grzeczne, rodzice kupowali również jakiś smakołyk na deser. Nieważne, ilu było klientów w piekarni, dla nich zawsze były odłożone dwa bochenki chleba i tacka z włoskimi ciasteczkami. Ciotka Gracie była siostrą matki Jasona. Ona i wujek Ernie nie mieli własnych dzieci, więc gdy cała rodzina Mirabellów stawała w drzwiach piekarni, oboje robili mnóstwo zamieszania wokół Jasona i jego rodzeństwa. Były uściski i pocałunki, od szczypania w policzki dzieciom napływały do oczu łzy. Później, gdy dorośli rozmawiali, wujek Ernie pozwalał maluchom „pomagać” przy sprzątaniu. Z całej trójki tylko Natalie pomagała jak należy, natomiast ilekroć Raymond i Jason chwyтали miotły w ręce, zmiatanie podłogi szybko zamieniało się w coś, co bardziej przypominało mecz hokejowy. Czasami bawili tam zaledwie kilka minut (kto mógłby znieść dłużej psoty chłopców!), kiedy indziej znowu wszyscy szli na górę, do mieszkania ciotki i wujka, na kawę i ciasto. Bez względu na to, co robili, Jason miał stamtąd wyłącznie miłe wspomnienia.

Teraz jednak ogarnął go smutek. Prowadzenie piekarni, nawet tak niewielkiej jak Graziella, było ciężką pracą, a lata powoli zaczynały odciskać, jak zdążył zauważyć, swoje piętno na ciotce i wuju. Nie dadzą rady w nieskończoność zajmować się nią sami, pomyślał. Skoro nie mają syna ani córki, kto w przyszłości przejmie rodzinny interes, co się stanie z piekarnią?

Jason zastukał w szybę.

- Zamknięte! - zawołał przez ramię wujek Ernie, nie przestając zmiatać podłogi.

Jason zastukał jeszcze raz, teraz już trochę mocniej.

Ciotka Gracie, starannie pucując oszkloną gablotę, na której stała kasa, podniosła głowę i popatrzyła z lekką konsternacją w kierunku okna.

- Zamknięte! - krzyknęła, zupełnie jak jej mąż, po czym umilkła i postąpiła krok do

przodu, by lepiej przyjrzeć się uśmiechniętemu nieznanemu, który się do nich dobijał. Jej twarz się rozpromieniła.

- O mój Boże! - pisnęła. - Ernie, popatrz tylko, kto do nas zawitał!

W jednej chwili drzwi otworzyły się szeroko i ciotka Gracie wciągnęła Jasona do środka. Jak za dawnych czasów wyściskała go, wycalowała i - nie do wiary! - uszczypnęła w policzek. Wujek Ernie, który był nieco bardziej powściągliwy w okazywaniu uczuć, po prostu uśmiechnął się i podał mu rękę, po czym poklepał go serdecznie po ramieniu.

- Miło cię widzieć, Jasonie - powiedział.

- Ojciec mówił nam, że wróciłeś do domu - dodała ciotka, znowu szczypiąc go w policzek.

- Zastanawialiśmy się, ile czasu upłynie, zanim zdecydujesz się nas odwiedzić. Dlaczego czekałeś z tym tak długo?

- Ach, minęło zaledwie kilka dni - zauważył Jason, wzruszając ramionami.

- Cóż, nie mieliśmy pojęcia, jak długo zamierzasz zostać - odparła Gracie. - Martwiliśmy się, że wyjedziesz do Kalifornii, zanim zdążymy się z tobą zobaczyć.

- Nie, zamierzam zatrzymać się tutaj na jakiś czas - wyjaśnił Jason. - Poza tym nie wyjechałbym, nie widząc się z wami.

- A więc co cię sprowadza do domu? - spytał Ernie. - Zrobiłeś sobie małe wakacje?

- Prawdę mówiąc, właśnie zmieniam pracę - rzekł wymijająco Jason. - I doszedłem do wniosku, że zanim poszukam czegoś nowego, jest to dobry moment, by przyjechać do domu i pobyc trochę z rodziną. - Umilkł i pociągnął nosem. Mimo że w gablotach nie było żadnych wypieków, w powietrzu wciąż unosił się słodki zapach. Udając, że wzdycha, rozejrzał się ze smutkiem dookoła. - I miałem nadzieję, że może dostanę gdzieś solidny bochenek świeżego chleba, ale zdaje się, że sprzedaliście wszystko.

- Ach, dzisiaj rano mieliśmy tutaj prawdziwe zoo! - wykrzyknęła Gracie. - Klienci wdarli się jak rój szarańczy, gdy tylko otworzyliśmy drzwi. Praktycznie sprzedaliśmy wszystko do dziewiątej!

- Tak jest zawsze, gdy spadnie śnieg - zauważył wujek Ernie.

- Dlaczego nie upiekliscie więcej bochenków? - dopytywał Jason, chociaż miał świadomość, że w ich sytuacji byłoby to niemożliwe. - Założę się, że sprzedalibyście dzisiaj dużo więcej.

- Ech, zamierzałem to zrobić - powiedział Ernie, machnąwszy lekceważąco ręką - ale właściwie nie potrzebujemy aż tak dużo szmalcu.

Wujek Ernie lubił bawić się słowami - to znaczy jeśli żona pozwoliła mu dojść do

słowa. Jason roześmiał się, a ciotka Gracie z politowaniem wzniosła oczy do góry.

- Widzisz, co muszę znosić? - lamentowała. - Przez cały dzień gada głupoty. - Pokręciła głową, a następnie przysunęła się bliżej, bacznie przypatrując się twarzy siostrzeńca. - Hej - rzekła z wyraźną troską - jesteś trochę blady. Jadłeś coś dzisiaj?

- Niewiele - przyznał Jason. - Pomyślałem, że przekąszę na mieście jakąś kanapkę lub coś w tym rodzaju.

- Kanapkę? - obruszyła się Gracie. - Wybieramy się z wujkiem na lunch do Post, gdy tylko skończymy tutaj sprzątać. Może pójdziesz z nami i opowiesz, co porabiałeś w słonecznej Kalifornii?

Jason wcale nie palił się, by opowiadać o Kalifornii, ale był głodny jak wilk i zaproszenie na lunch bardzo go ucieszyło. Zabrał się energicznie do pracy, pomagając im dokończyć sprząkanie, po czym udali się do restauracji.

Post nie należał do lokali, w jakich Jason przywykł bywać w swoim najlepszym okresie na Zachodnim Wybrzeżu. Niegdyś była to sala, w której odbywały się uroczyste przyjęcia miejscowego Związku Weteranów Wojennych, i jej jedyną dekorację stanowiło kilka tablic pamiątkowych i obrusy w biało-czerwoną kratkę. Nie było nikogo, kto by ich powitał, odebrałby od nich okrycia - dano im tylko znak, by poczekać, dopóki nie zwolni się stół. Mimo braku odpowiedniej atmosfery sala była pełna gości. Smakowity zapach płynący z kuchni natychmiast przypomniał Jasonowi, skąd ten tłok. Jedzenie w Post było znakomite. Tutaj nie przychodziło się po to, by kogoś spotkać lub samemu się pokazać. Tutaj można było po prostu zjeść, i to smacznie.

Jason od lat nie odwiedzał tej restauracji. Ale gdy szedł do stolika, rozglądając się po zatłoczonej, gwarnej sali, w której co chwila rozlegały się wybuchy śmiechu, rozpoznawał wśród stałych bywalców sporo znajomych twarzy. Nie pamiętał ich imion - podejrzewał, że oni również nie pamiętają jego - mimo to kiwali mu głowami na przywitanie. Choć były to drobne gesty, sprawiły, że Jason poczuł się mile widziany. Było to wspaniałe uczucie.

- No to co warto zamówić? - spytał Jason, gdy już usadowił się przy stoliku i otworzył kartę.

- Wszystko jest tu pyszne - zapewniła go ciotka.

- O, dzisiaj podają faszerowane kalmary - zauważył wujek Ernie.

- Wciąż mają w jadłospisie polentę? - zaciekawiał się Jason, przebiegając wzrokiem kartę dań.

- Ach, ją też przyrządzają fantastycznie - powiedział wuj. - Wiesz co, ja zamówię kalmary, ty polentę, poprosimy o dodatkowe talerze i podzielimy się. Zgodą?

- Nie mam nic przeciwko temu - odrzekł Jason.

Wujek Ernie pochylił się ku niemu z uśmiechem.

- W rzymskich czasach - wyjaśnił - nazywano to małym *squid*² *pro quo*, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Ciotka Gracie jęknęła, spoglądając na męża.

- I pomyśleć, że zastrzelono Lincolna - mruknęła pod nosem.

Jason tylko się uśmiechnął.

² *Squid* (ang.) - kalmar.

ROZDZIAŁ

czternasty

Jeśli pominąć śliskie drogi i utrudnienia związane z koniecznością odśnieżania schodków i chodników, jest jakaś niepowtarzalność, magia w chwili, kiedy człowiek budzi się nagle w świecie pokrytym grubą warstwą białego puchu. Giulio często myślał, że śnieżyce są sposobem natury na ukrycie burego, ponurego krajobrazu podczas zimowych miesięcy, dopóki Bóg nie jest gotów, by znowu ogrzać ziemię i upiększyć wszystko z nadejściem wiosny. Świeży śnieg wprawia ludzi w inny nastrój. Powoduje, że zwalniają tempo, choćby na chwilę lub dwie, by chłonąć odmienioną scenerię i oddychać rześkim powietrzem, oczyszczonym przez wirujące płatki śniegu. Poprawia im humor, na nowo czyni ich dziećmi, przynajmniej w środku.

W takie dni dla Giulia nie było większej przyjemności, niż wstać rano, zejść do kuchni i rozkoszować się filiżanką aromatycznej kawy oraz leniwym śniadaniem w ciepłe płynącym od kominka. Jego pierwszym obowiązkiem w pensjonacie było napalenie w kominkach w jadalni i salonie, tak żeby ogień buzował na całego, gdy goście zaczną zwlekać się z łóżek. Giulio uwielbiał zapach palącego się drewna i utrzymywał ogień jeszcze długo po śniadaniu. Po południu palił w kominkach drugi raz, by stworzyć przyjemny klimat, gdy wszyscy wrócą na podwieczorek.

Drugi punkt dziennego porządku Giulia dotyczył Jasona. Ojciec był niezmiernie szczęśliwy, mając go w domu, lecz nade wszystko pragnął zobaczyć, jak syn staje znowu na nogi i angażuje się w jakąś nową, sensowną i efektywną działalność. Dni krzepiącego odpoczynku na łonie rodziny były dla niego na razie najlepszym lekarstwem, ponieważ życie mocno dało mu się we znaki. Należało obchodzić się z nim teraz delikatnie, lecz Giulio oczekiwał, że wkrótce nadejdzie czas, kiedy Jason poczuje się pewniej i znowu ruszy do przodu. Gdyby stało się inaczej, syn mógłby popaść w stagnację i minęłoby wiele miesięcy, jeśli nie lat, zanim odzyskałby równowagę.

Im dłużej rozmyślał nad tą kwestią, tym silniej umacniał się w przekonaniu, że najlepiej byłoby, gdyby Jason włączył się znowu do codziennych regularnych zajęć, wziął na siebie na razie lekkie obowiązki. Rozumiał, że nie należy go zbyt mocno naciskać, by natychmiast

zaczął szukać pracy, gdyż wiedział, że Jason potrzebował spokojnego powrotu do świata. To jasne, że aby stopniowo odzyskać pewność siebie, należy najpierw ubrudzić sobie trochę ręce w uczciwej pracy, a potem można odnaleźć miejsce, gdzie da się wszystko zacząć od nowa.

W opinii Giulia oczywistym rozwiązaniem było zaangażowanie się w interes rodzinny.

Znał swego syna zbyt dobrze, by mieć złudzenia, że Jason przyjmie z entuzjazmem propozycję pracy w pensjonacie. Jednak przy łagodnej mobilizacji da się go być może przekonać, by przynajmniej spróbował. A potem, kto wie, dokąd go to zaprowadzi?

Giulio zamierzał omówić swój plan z Raymondem i Natalie zaraz po śniadaniu, lecz zanim zdążył wezwać oboje do gabinetu, zjawił się urzędnik z biura komendanta straży pożarnej, by dokonać dorocznej inspekcji budynku. Giulio nie miał wyboru, musiał oprowadzić go po terenie pensjonatu, Raymond spiesznie udał się do kuchni, by zająć się ciekącą rurą, zaś Natalie spędziła niemal cały rano przy telefonie, usiłując wyjaśnić rozbieżności w fakturze od jednego z dostawców i rozmawiając z potencjalnymi gośćmi, którzy akurat dzisiaj dzwonili dosłownie co chwila.

Taka sytuacja utrzymała się przez większość dnia. Prawie za każdym razem, gdy Giulio kończył załatwiać jedną sprawę i zdawało się, że ma wolną chwilę na rozmowę z dziećmi, w progu stawał ktoś, kto wymagał natychmiastowej uwagi jego samego, Raymonda lub Natalie. Ten korowód rozpoczął mleczarz Victor. Victor przepadał za pogawędkami na tematy polityczne, gospodarcze - właściwie na wszystkie. Plótł, co mu ślina przyniosła na język, ilekroć udało mu się znaleźć chętnego słuchacza. Marudził przez prawie piętnaście minut, opowiadając o mroźnej pogodzie, a następnie dyskretnie napomknął, że trzeba będzie rozliczyć ich rachunki. Za ledwie wyszedł Victor, z upragnionym czekiem w kieszeni, zjawił się listonosz Carl z listem poleconym, który wymagał pokwitowania. Od wielu lat - nikt z rodziny Mirabellów nie potrafił dokładnie przypomnieć sobie, kiedy i jak to się zaczęło - częstowanie go szybką kawą, gdy przynosił pocztę, stało się rodzinną tradycją. Rzadko się zdarzało, by Carl odrzucił zaproszenie, zanim ruszył w dalszy obchód. Tego dnia było tak samo i uciekło kilka kolejnych minut. Carl nie zdążył jeszcze wyjść, gdy pani Martinez zameldowała, że na pierwszym piętrze oderwał się kawałek wykładziny na korytarzu, i doradziła w swoim stylu, by Giulio ją podkleił, zanim ktoś „potknie się, upadnie i zrobi sobie krzywdę, dużą, dużą krzywdę”.

Pora lunchu nie przyniosła wytchnienia. Ledwie zamknął drzwi gabinetu, by porozmawiać przez chwilę na osobności z dziećmi, zapukali Fremontowie, sympatyczne małżeństwo w średnim wieku. Przyjechali do Providence, by odwiedzić córkę, która

studiowała w tutejszym college'u. Oboje byli ogromnie zadowoleni z pobytu, lecz kobieta trochę się denerwowała, ponieważ zapadła gdzieś na terenie pensjonatu ulubiony kolczyk. Fremontowie zapewniali, że gruntownie przeszukali pokój i pobieżnie sprawdzili na dole, lecz na nic się to nie zdało. Giulio zaprowadził ich więc do salonu, gdzie w końcu znaleziono niesforną błyskotkę między poduszkami kanapy.

Aż do południa Giulio nie miał czasu, by spokojnie usiąść, choćby na moment. Zdumiał się, słysząc, że zegar w salonie wybił trzecią; sam nie wiedział, kiedy upłynęło tyle godzin. O tej porze zarówno on, jak jego dzieci byli tak zmęczeni, że każdy wysiłek, by zadowolić gości, w dodatku z uśmiechem na ustach, wydawał się przekraczać ludzkie możliwości. Choć pora może nie była najbardziej sprzyjająca, Giulio postanowił wykorzystać krótki okres względnego spokoju i poprosił do gabinetu Natalie i Raymonda.

Kiedy wreszcie się zebrali, zamknął drzwi i nie tracąc czasu, przeszedł do sedna sprawy.

- Myślę, że wasz brat doszedł już do siebie - powiedział - i jeśli tylko zechce, zamierzam go zatrudnić. Będzie pracował przez jakiś czas tutaj, razem z nami.

Jego słowa powitała głucha cisza, którą zakłócało jedynie stukanie w rurach centralnego ogrzewania.

- I co będzie robił? - spytał w końcu Raymond.

- Wszystko, w czym tylko zdoła nam pomóc - odparł krótko Giulio, trochę dotknięty oburzeniem, słyszalnym w głosie starszego syna.

Natalie, która miała duże doświadczenie w łagodzeniu rodzinnych konfliktów, interweniowała natychmiast.

- Ale co z jego pracą w Los Angeles? - wtrąciła.

- Jason nie wraca do Los Angeles - odrzekł ojciec. - Przynajmniej na razie. I jeśli się nie mylę, oboje wiecie znacznie więcej o powodach jego przyjazdu, chociaż nie puściliście pary z ust na ten temat przez kilka ostatnich dni.

- Jason nic nam nie powiedział - wyjaśnił zgodnie z prawdą Raymond. - Zresztą nigdy o niczym nie mówi.

- Powie wam, kiedy będzie na to gotowy. - Giulio był wyraźnie zirytowany chłodnym przyjęciem jego planu. Skrzyżował ramiona i tupnął nogą.

- O co wam chodzi? Macie z tym jakiś problem?

- A czego się spodziewałeś? - wybuchnął Raymond, a w jego głosie wyczuwało się przykre napięcie. - Natalie i ja zostaliśmy na łodzi, podczas gdy ty płaciłeś Bóg wie jaką kasę za to, by Jason zdobył wykształcenie. A on co zrobił? Poleciał do Kalifornii, nie oddając

nawet części tego, co w niego zainwestowałeś. Nie przepracował tu choćby kilku miesięcy. Czy to zbyt wygórowane żądanie? Ale spójrzmy prawdzie w oczy, ten chłopak nie chciał mieć nic wspólnego z naszym interesem. No i dobrze. Ale teraz jego wspaniałe plany spaliły na panewce, a my mamy fikać koziołki z radości, bo on jak gdyby nigdy nic chce łatwo znaleźć pracę. My przez tyle lat urabialiśmy sobie ręce po łokcie, żeby wszystko działało.

- Właściwie w czym rzecz? - jęknął Giulio. - Najpierw narzekasz, że nie zwrócił nawet części zainwestowanych w niego środków, a teraz nie podoba ci się, że chce to zrobić? Myślałem, że ucieszycie się z jego powrotu.

Raymond machnął lekceważąco ręką i przewrócił oczami, jak gdyby chciał powiedzieć, że ojciec i tak nie zrozumie ich postawy.

- Właściwie to nie ma problemu, naprawdę - przerwała im Natalie. - Po prostu zjawił się tak niespodziewanie... No i jasne, że się cieszymy z jego powrotu.

Jej słowa nie uspokoiły ojca, a jego irytacja coraz bardziej rosła.

- Jason jest moim synem i waszym bratem - powiedział bez ogródek. - Jest członkiem naszej rodziny i zawsze znajdzie się dla niego miejsce w rodzinnym interesie. To samo dotyczy każdego z was. Rozumiecie?

Raymond opuścił głowę i westchnął z rezygnacją.

- Posłuchaj, tato - rzekł, podnosząc głowę. - Rozumiemy. Nie mamy nic przeciwko Jasonowi ani jego powrotowi. Chodzi o to, że ten placek nie jest wcale duży. Jeśli pokroisz go na zbyt wiele kawałków, wszyscy będziemy głodni. Teraz rozumiesz, co mam na myśli?

- Wobec tego wszyscy będziemy musieli na pewien czas przejść na dietę - uciął Giulio.

Odwrócił się i wyszedł energicznym krokiem z gabinetu.

Później, gdy już napalił ponownie w kominku w salonie i stwierdził z zadowoleniem, że wszystko jest odpowiednio przygotowane do podwieczorku, krótko pożegnał się z córką i synem, po czym wyszedł przed dom. Niebo już pociemniało, co w sam raz pasowało do jego ponurego nastroju. Rozejrzał się ze skwaszoną miną po okolicy, ponieważ znowu zaczął sypać śnieg.

- Cholerny śnieg - mruknął pod nosem.

Po czym powlókł się do samochodu i zaczął go odśnieżać.

ROZDZIAŁ

piętnasty

- I co miałbym robić? - spytał ojca Jason.

Siedzieli obaj przy kuchennym stole. Giulio właśnie przedstawił synowi ofertę pracy w pensjonacie.

O ironio, Jason zareagował na nią zupełnie tak samo jak przedtem jego starszy brat. Jedyna różnica polegała na tym, że pytanie zostało zadane zupełnie innym tonem. Zamiast oburzenia, w głosie młodszego syna pobrzmiwała nuta niepokoju.

Prawdę mówiąc, Jason poczuł, jak na myśl o propozycji ojca ogarnia go nagła panika. Aż do tej chwili dzień przebiegał bardzo przyjemnie. Gdy już pożegnał się z ciotką i wujem, wybrał się na przejażdżkę - bez konkretnego celu, pragnął jedynie na nowo zapoznać się ze swoim rodzinnym miastem. Przejechał przez Federal Hill i śródmieście, obok centrum handlowego i hoteli górujących nad Kennedy Plaza, następnie wjechał na College Hill, a z niego do East Side, eleganckiej dzielnicy miasta. Krążył po zamożnej od pokoleń okolicy, mijał okazałe domy z cegły, aż wreszcie znalazł się na Thayer Street. Po obu stronach ulicy, która kiedyś była dla Jasona ulubionym miejscem spotkań, mieściły się sklepy i restauracje. Spoglądał teraz tęsknie na studentów spacerujących po zaśnieżonych chodnikach. Później zrobił pętlę po północnych peryferiach miasta i ruszył w drogę powrotną, przejeżdżając obok kapitolu stanowego, po czym skierował się do domu, by uciąć sobie krótką drzemkę, zanim ojciec wróci z pracy.

Poranna przejażdżka sprawiła mu najwięcej przyjemności tego dnia, pod pewnymi względami przewyższyła nawet lunch z ciotką Gracie i wujkiem Ernie'em. Może przyczyną było to uczucie panowania nad samochodem, a może swoboda wyboru kierunku, w którym chciał jechać. To zresztą nieważne; sam fakt, że wreszcie po dłuższym czasie usiadł za kółkiem, spowodował, że rozluźnił się i przestał na chwilę myśleć o Amandzie i problemach, które zostawił w Kalifornii.

Teraz jednak wszystko wróciło i nagle poczuł, że od nowa zbierają się nad nim ciemne chmury. Niepokój bez wątpienia odmalował się na jego twarzy, ponieważ ojciec natychmiast wyciągnął rękę i poklepał go po ramieniu.

- Spokojnie, synu - uspokoił go Giulio. - Nie proszę cię, żebyś przejął prowadzenie pensjonatu, i nie proponuję, żebyś zaczął od razu. Myślę po prostu, że wkrótce stąd wyjedziesz i zaczniesz robić coś konstruktywnego. Wiem, że masz za sobą ciężkie przejścia, ale gdy się spadnie z konia, trzeba wdrapać się z powrotem na jego grzbiet, bo jeśli się zbyt długo zwleka, można już nigdy na nim nie pojechać. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Jasne, że rozumiem - odrzekł Jason bez przekonania. - Tylko że...

- Co? - spytał ojciec.

Jason nerwowo poprawił się na krześle. Nie mógł zakwestionować prawdziwości słów ojca. Mimo to myśl o pracy w pensjonacie napełniła go dziwnym, niemal panicznym przerażeniem, którego nie potrafił wyjaśnić nawet sobie, nie mówiąc już o ojcu. Nie chodziło o to, że był przeciwny rodzinnemu biznesowi, lecz w głębi duszy zawsze buntował się wobec perspektywy utknięcia tutaj i chodzenia na smyczy u ojca i starszego rodzeństwa. Zawsze odczuwał potrzebę, by znaleźć inną drogę w życiu i być może pewnego dnia zbudować coś, co będzie mógł nazwać swoim własnym. Dlatego trudno mu było schować dumę do kieszeni i wrócić do domu z Kalifornii jako ktoś, kto poniósł porażkę. A to będzie znacznie bardziej gorzka pigułka.

- Wiem, że masz rację, tato - rzekł w końcu, pocierając nerwowo kark. - Muszę wkrótce wyjechać i zacząć robić coś nowego. Właśnie dlatego nie sądzę, bym tu pasował. Chodzi mi o to, że ty, Raymond i Natalie macie swoje wypracowane metody działania. Ja prawdopodobnie stawałbym wam na drodze i uniemożliwiałbym normalną pracę.

Giulio uśmiechnął się, przejrzawszy intencje swojego syna.

- Jasonie, zdaję sobie sprawę, że prowadzimy skromny, nudny interes, na którym żadne z nas się nie wzbogaci. To nic w porównaniu z tym, kim byłeś i co widziałeś. Ale wiesz, choć pensjonat jest niewielki i problemy, z którymi się borykamy, są nudne i mało ważne, ma to też swoje zalety. Wiele przemawia za pracą, w której spotykasz ludzi z całego świata, przyjmujesz ich i okazujesz im gościnność, by czuli się mile widziani. To dobre uczucie. - Giulio umilkł i przez chwilę przyglądał się Jasonowi. - A jeśli to ci nie wystarczy - mówił dalej - mógłbyś wziąć pod uwagę fakt, że naprawdę przydałaby się nam teraz pomoc.

- Co masz na myśli? - spytał Jason.

Giulio wzruszył ramionami.

- Czasy się zmieniają - powiedział. - Konkurencja jest duża, znacznie większa niż kiedykolwiek. Prowadzimy dobry pensjonat, lecz i ty, i ja doskonale wiemy, że w interesach nie zawsze to wystarcza. Gdy każdy haruje jak wół, nikt nie ma czasu na zastanowienie, co można by poprawić i jak zapobiec sytuacji, kiedy potężni konkurenci zjedzą nas żywcem.

Prawda jest taka, że przydałaby się teraz jeszcze jedna para oczu, świeże spojrzenie i być może jakieś nowe pomysły na działanie.

Giulio rozłożył ręce i skinął głową w kierunku syna.

Przez długi czas Jason się nie odzywał, siedział zamyślony. Minął już pierwszy odruch, w którym miał ochotę uciec i się ukryć, lecz nadal był pełen obaw. Westchnął i pokręcił głową.

- Nie wiem, co powiedzieć, tato - rzekł w końcu. - Oczywiście, chcę pomóc, ale w moim obecnym stanie ducha i w sytuacji, gdy głowę mam zaprzątniętą innymi sprawami, nie mam pojęcia, na ile zdołam się zaangażować. Nie chcę marnować niczyjego czasu.

Giulio pochylił się w stronę syna i popatrzył na niego z życzliwością.

- Nie wymagam od ciebie całkowitego poświęcenia - oznajmił szczerze. - I nie chcę stawiać cię w niezręcznej sytuacji. Ale zastanów się, jeśli przyjmiesz moją propozycję, nawet na krótko, niewykluczone, że pomożesz nam obu.

Jason westchnął z zakłopotaniem, ponieważ mimo wielu dręczących go obaw trudno mu było odmówić ojcu.

- Jeśli się zgodzę - spytał z ociąganiem - to od kiedy mam zacząć?

- Kiedy tylko będziesz gotowy - odrzekł Giulio. - Jutro jest piątek, potem weekend. Może zaczekamy i przekonamy się, czym będziesz miał zaprzątniętą głowę w poniedziałek?

- A co z Raymondem i Natalie? - drażył Jason. - Jak oni będą się z tym czuli?

Giulio lekko odchrząknął.

- Ach, nie martw się o to - powiedział z uspokajającym uśmiechem. - Wierz mi, będą bardzo podekscytowani twoją obecnością w pensjonacie.

ROZDZIAŁ

szesnasty

W sobotę późnym rankiem zadzwieczał dzwonek u drzwi.

Jason był sam w pralni w piwnicy, gdy go usłyszał. Usiłował właśnie rozgryźć sposób działania pralki automatycznej. Jeśli dobrze pamiętał, po raz pierwszy w życiu próbował uprać coś samodzielnie i czuł się trochę niepewnie. Jak zdążył się zorientować, nie było to szczególnie skomplikowane. Włożyć ubrania, wsypać trochę proszku, zamknąć drzwiczki i wcisnąć guzik. Nic trudnego.

Mimo to przez wszystkie lata nauki w szkole średniej to zadanie wydawało mu się dość przerażające. Dla młodego chłopaka robienie prania równało się wrzuceniu brudnych ciuchów - o ile pamiętał, by je podnieść z podłogi - do na pozór czarodziejskiego kosza, który matka zawsze zostawiała przy jego łóżku. Zmięte, brudne ubrania znikają z niego, by w cudowny sposób pojawić się nieco później w szufladach jego komody, czyste i złożone. Nigdy się zbytnio nie zastanawiał nad wytłumaczeniem tego magicznego zjawiska, lecz uważał je za bardzo wygodne.

Jako dorosły mężczyzna również nie poczynił żadnych postępów na tym polu. Sama myśl, że mógłby upaść tak nisko, by robić sobie pranie, była dla niego śmieszna w okresie, gdy wiódł światowe życie w Los Angeles. Wtedy pozostawiał tak przyziemne obowiązki pani Aranchez, Meksykance, która również sprzątała jego mieszkanie. W owym czasie nie zadawał sobie nawet trudu, by wrzucić ubrania do kosza, czarodziejskiego czy nie, lecz po prostu zostawiał je rzucone byle gdzie na podłogę w sypialni. Nie musiał nawet kiwnąć palcem, ubrania znowu pojawiały się na swoim właściwym miejscu, jak zwykle czyste i elegancko złożone. Był bardzo zadowolony z takiego układu.

Jason myślał o pani Aranchez, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Po raz pierwszy tego ranka przypomniał sobie o niej, gdy obudził się i w oczy rzuciło mu się coraz większe pobjowisko na podłodze w sypialni. Od kiedy przyjechał do domu, żył na walizkach i zaczynało to być widoczne.

Zawstydzony bałaganem, opadł z powrotem na poduszki i przez jakiś czas gapił się w sufit, rozmyślając nad swoim życiem i zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Z jednej

strony pragnął wrócić do Los Angeles, do swego dawnego życia - i zdecydowanie zamierzał to uczynić pewnego dnia - lecz z drugiej - wzdrygał się na wspomnienie tego, co go przywiodło z powrotem do domu, na myśl, że miałby jeszcze raz stawić temu czoło. Zwyczajnie nie był na to gotowy. Wydawało się jasne, że nie ruszy się przez pewien czas z Rhode Island i mimo niechęci do angażowania się w rodzinny interes na razie zwiąże z nim swój los. To oznaczało, że czas zaprowadzić porządek w swoim małym zakątku świata i zrobić wszystko, by wyrzucić dobre wrażenie w poniedziałek rano.

Niestety, zdawał sobie sprawę, że nikt tego za niego nie załatwi. Z pewnością nie mógł poprosić ojca, by zrobił za niego pranie, a nie miał pieniędzy, żeby zlecić to komuś z zewnątrz. Wstał więc z łóżka, ubrał się i ukląkł na podłodze, by pozbierać brudne rzeczy. Z tobołkiem, który ledwie mieścił mu się w objęciach, gubiąc po drodze parę sztuk bielizny, zaczął schodzić po schodach. W ten sposób Jason wyruszył na swoją pierwszą wyprawę do piwnicy, do tajemniczego królestwa pralni.

Teraz, słysząc po raz drugi dzwonek u drzwi, popatrzył z niepokojem na wyświetlacz pralki automatycznej. W końcu ustawił pokrętkę na maksymalne obroty i zamknął pokrywę. Wziąwszy głęboki oddech, wahał się tylko przez chwilę, po czym wcisnął przycisk „start”.

Drgnął, gdy pralka nagle szarpnęła i ożyła, pobierając z szumem wodę. Zadowolony, że udało mu się z powodzeniem zrealizować to nowe dla niego przedsięwzięcie, puścił się pędem po schodach, by otworzyć drzwi, zanim ktoś zadzwoni po raz trzeci.

Na progu zobaczył dwie dość eleganckie starsze panie. W pierwszym momencie ich nie poznał, były bowiem opatulone w zimowe palta i szale, potem jednak dostrzegł w ich rękach owinięte w folię aluminiową blaszki i natychmiast zorientował się, z kim ma do czynienia. Były to siostry Signorelli, Alba i Louise - samotne kobiety, mieszkające po sąsiedzku, od kiedy Jason sięgał pamięcią, członkinie - założycielki stowarzyszenia „pań od lasagne”.

- Dzień dobry, pani Signorelli i... pani Signorelli - rzekł z zakłopotaniem. Nigdy nie pamiętał, która z sióstr ma na imię Alba, a która Louise, nie był więc pewien, jak się do nich zwracać, gdy spotykał je razem.

- Dzień dobry, Jasonie - odrzekła jedna z nich.

- Co za niespodzianka. Nie wiedziałyśmy, że przyjechałeś do domu.

- Albo, skąd miałyśmy wiedzieć - naburmuszyła się druga siostra, prawdopodobnie Louise. - Przecież nie informuje nas o swoich planach urlopowych.

- Ach, czyli przyjechałeś na urlop, tak? - spytała ta pierwsza, najprawdopodobniej Alba.

- No, nie całkiem - powiedział Jason, odchrząknawszy. - Może wejdą panie do środka?

- Zostaniemy tylko minutkę - zastrzegła Louise, gdy weszły do holu.

- Tak, to będzie krótka wizyta - zawtórowała jej Alba. - Wiedziałyśmy, że będziemy tędy przechodzić, przyniosłyśmy więc małe co nieco dla twojego ojca. - Wyciągnęła przed siebie blaszkę. - Proszę, to makaron *manicotti*.

- A ja ugotowałam do niego pulpety - spieszenie dodała siostra. - Oczywiście w sosie. Alba wzniosła oczy ku niebu.

- Moja siostra jest przekonana, że nikt na całym świecie nie potrafi przyrządzić tak doskonałego sosu jak ona - powiedziała, wzruszając lekceważąco ramionami.

- Ugotowałabym więcej, gdybym wiedziała, że jesteś w domu - rzekła Louise.

Jason spojrział na spore blaszki i uśmiechnął się.

- Proszę się nie martwić - uspokoił je. - Z tego, co widzę, wystarczy zarówno dla taty, jak i dla mnie.

Louise przysunęła się nieco i zerknęła z nadzieją nad ramieniem Jasona do salonu.

- Nie ma go w domu, prawda? - spytała. - To znaczy twojego ojca.

- Rzeczywiście, załatwia jakieś sprawy - potwierdził Jason. - Chyba miał zabrać psa do weterynarza na kontrolę, a potem jeszcze wpaść na chwilę do pensjonatu.

Ta wiadomość została przyjęta z wyraźnym rozczarowaniem. Alba zacisnęła ze zmieszaniem wargi, a jej siostra westchnęła:

- No cóż, trudno.

Jason wskazał dłonią blaszki.

- Czy chciałyby panie, żebym wziął to od nich? - spytał uprzejmie.

Alba zdobyła się na uśmiech i skierowała kroki do kuchni.

- Och, nie trzeba - rzekła Louise, idąc tuż za nią. - Wiemy, gdzie jest kuchnia. Włożymy wszystko do lodówki i znikamy.

Jasonowi nie pozostało nic innego, jak tylko usunąć się z drogi i patrzeć, jak obie starsze damy maszerują prosto do kuchni. Przechodząc obok salonu, rozejrzały się uważnie, sprawdzając każdy centymetr pomieszczenia. Gdy dotarły do kuchni, otworzyły lodówkę i oceniały jej zawartość, szeptem wymieniając uwagi. Poukładały produkty według własnego upodobania, by zrobić miejsce na *manicotti* i pulpety. Jason stał w pewnej odległości, nie chcąc przeszkadzać.

- No cóż, gotowe - oznajmiła z zadowoleniem Alba, pocierając dłoń.

- Sytuacja opanowana, wygląda to zdecydowanie lepiej - dodała Louise.

- Jestem pewien, że tata będzie paniom ogromnie wdzięczny - zaręczył Jason. - To naprawdę bardzo miłe, że tak się panie o niego troszczą.

- Ech, to nic wielkiego. - Alba machnęła lekceważąco ręką. - Co takie staruchy jak my mają lepszego do roboty?

Wszyscy troje podeszli do drzwi. Siostry jednak ociągały się z odejściem, narzekając na mroźną pogodę i wygórowane ceny oleju opałowego. Jak domyślał się Jason, opóźniały wyjście w nadziei, że Giulio w końcu się pojawi.

- Co zamierzasz robić podczas pobytu w domu? - zainteresowała się Louise, szukając kolejnego pretekstu do przedłużenia wizyty - Spodziewam się, że będziesz się dobrze bawił.

Jason zaśmiał się cicho i skinął głową w kierunku drzwi do piwnicy.

- Cóż, w tej chwili robię pranie. Nazbierało mi się trochę rzeczy - odpowiedział.

- Jakie to miłe, sam sobie pierzesz - zauważyła bez przekonania Louise. - To bardzo dobrze, że dzisiejsi mężczyźni są tacy samowystarczalni... chyba.

- Potrzebujesz porządnej kobiety, żony, która by się o ciebie troszczyła - wyraziła swą opinię Alba, grożąc mu palcem. Spojrzała na siostrę, potem znowu na Jasona. - Może trochę młodszej od nas... ale my jesteśmy do wzięcia...

- Będę o tym pamiętał - roześmiał się Jason.

- Grzeczny chłopiec. - Alba poklepała go po dłoni. - Upewnij się, że dobrze posortowałeś pranie.

- Posortowałem? - zdziwił się Jason.

- Oczywiście, głuptasie - potwierdziła Louise.

- Musisz przecież prać osobno białe i kolorowe ubrania. Nie chcesz chyba mieć różowej bielizny?

Taka ewentualność nie przyszła Jasonowi do głowy, gdy jak popadło wpychał ubrania do pralki. Odkasznął nerwowo, spoglądając jeszcze raz na drzwi do piwnicy.

- Nie, oczywiście, że nie.

- To dobrze. No, musimy już iść, wracaj do swoich zajęć - powiedziała Alba. - Powiedz ojcu, że wpadłyśmy się przywitać.

- I nie zapomnij też wspomnieć o *manicotti* i pulpetach - dodała Louise.

- Nie zapomnę - obiecał z uśmiechem mimo narastającego w nim niepokoju, że podczas gdy oni tu sobie ucinają pogawędkę, jego bielizna zmienia kolor.

Obie kobiety wreszcie się pożegnały i wyszły.

Jason stał jeszcze przez chwilę w progu, patrząc, jak schodzą po stopniach, i modląc się, żeby któraś nie poślizgnęła się i nie upadła. Gdy już udało im się bezpiecznie dotrzeć do

samochodu po oblodzonym chodniku, zatrzasnął drzwi i pędem zbiegł do piwnicy.

ROZDZIAŁ

siedemnasty

- Wiesz, że nie zdarzyłoby się to, gdybyś posortował ubrania przed włożeniem ich do pralki - zauważył później Giulio.

Siedzieli w salonie, a Jason smętnie szperał w koszu, oddzielając przebarwioną bieliznę od reszty ubrań. Sundance wetknął nos do pojemnika i z wielkim zainteresowaniem obwąchiwał jego zawartość.

- Teraz mi to mówisz - mruknął pod nosem Jason, rzucając na coraz większą stertę zafarbowane na różowo slipy. Wyjął następne i podniósł je do góry.

- Co ja mam z tym zrobić?

- Spróbuj zamoczyć je w wybielaczu, a nuż pomoże - poradził ojciec. - Albo po prostu noś takie. Kto oprócz ciebie będzie je oglądał?

- Nigdy nie wiadomo - westchnął Jason.

- No cóż, w takim razie zawsze możesz odwiedzić Walmart i kupić sobie kilka nowych par.

Walmart, też coś, pomyślał Jason, starając się bezskutecznie ukryć lekceważenie. Jeszcze niedawno bez wahania kupował w Los Angeles najlepsze, szyte na miarę garnitury, nie interesując się ich ceną. O jego obecnej sytuacji najlepiej świadczył fakt, że nie było go już stać nawet na kupno bielizny w supermarkecie. Jego upokorzenie powoli sięgało zenitu.

- Ale zachowaj stare gatki - dodał Giulio. - Świetnie się nadadzą do mycia samochodu. Tylko pamiętaj, żeby nie użyć ich do czyszczenia okien.

- Dlaczego?

- Zostawią smugi.

Ani jego rada, ani dobry humor nie pocieszyły Jasona.

Giulio odłożył gazetę i podszedł do szafy, z której wyjął coś, co wyglądało jak czarna wąska walizka. Wrócił z nią na kanapę, otworzył i, ku zdumieniu Jasona, wyjął z niej stare skrzypce i smyczek.

- Co to jest? - spytał Jason z ciekawością.

- Skrzypce. A jak myślałeś?

- Wiem, że to skrzypce. Chodzi mi o to, skąd się tutaj wzięły? Przecież nie grasz na skrzypcach.

- Jeszcze nie - odparł Giulio, biorąc do ręki smyczek i przeciągając nim po strunach. Instrument wydał z siebie przeraźliwie zgrzytliwy dźwięk.

- Wspaniały pomysł - rzekł Jason, krzywiąc się.

- Zamierzam się nauczyć - przyznał ojciec. - Na razie tylko się trochę bawiłem, nie brałem jeszcze lekcji, nie możesz więc zbyt wiele oczekiwać.

- Lekcji?

- Oczywiście. A jak inaczej miałbym się nauczyć?

- Po prostu wydaje mi się, że wymaga to strasznie dużo zachodu - mruknął Jason, wzruszając ramionami. - Nie obraż się, ale czy nie jesteś trochę za stary na lekcje muzyki?

Ojciec rzucił synowi miazdzące spojrzenie i wycelował w niego smyczek niczym floret.

- Pomimo swego wyższego wykształcenia musisz się jeszcze wiele nauczyć, synu - wycodził lodowatym tonem.

Mówiąc to, ponownie przeciągnął smyczkiem po strunach. Tym razem dźwięk okazał się nieco znośniejszy. Giulio, zachęcony, opuścił smyczek i przyjrzał się uważnie skrzypcom, po czym zaczął majstrować przy kołku strojeniowym. Pokręcił nim i spróbował zagrać jeszcze raz, by sprawdzić efekt. Jakość dźwięku była zdecydowanie lepsza, lecz daleko jej było do maestrii. Mimo to Giulio popatrzył na skrzypce z nieskrywaną satysfakcją.

- To fascynujący instrument - powiedział raczej do siebie niż do Jasona. - Zawsze kochałem ich dźwięk. Czy widziałeś kiedykolwiek, jak gra na nich znakomity artysta? To prawdziwa magia: dobry skrzypek potrafi sprawić, że instrument brzmi jak płacz lub śmiech żywej istoty. Nie do wiary, co potrafią wyczarować jego palce. - Umilkł na chwilę.

- W każdym razie jest zima i wydało mi się, że to dobra pora, by nauczyć się czegoś nowego. - Dlaczego to dla ciebie takie ważne? - spytał Jason.

Giulio zachichotał i włożył skrzypce i smyczek z powrotem do futerału.

- Dzięki uczeniu się nowych rzeczy człowiek ma ochotę wstać rano z łóżka. Kiedy będziesz w moim wieku i zdasz sobie sprawę, że najlepsze lata masz już za sobą, to właśnie dzięki zdobywaniu nowych umiejętności poczujesz się znów jak dziecko. Nieważne, czego będziesz się uczył, ważne, że będziesz wysilał mózg w jakimś nowym kierunku.

- Ostatnio mój mózg chyba przeżywa przesilenie. - Jason uśmiechnął się ze smutkiem.

- Daj mu odrobinę czasu - uspokoił go Giulio.

Zamknął z trzaskiem futerał i schował go z powrotem do szafy, po czym zdjął z

wieszaka palto i zaczął się ubierać.

- Wychodzisz? - zdziwił się Jason.

- Zabieram psa na krótki spacer - wyjaśnił Giulio.

Na dźwięk słowa „spacer” Sundance nadstawił uszu i podbiegł do swego pana, merdając radośnie ogonem. Starszy pan pospiesznie przypiął smycz do obroży.

- Niedługo wrócę - poinformował Jasona. - Wybieram się na popołudniową mszę o czwartej do kościoła pod wezwaniem Najświętszego Sakramentu. Może poszedłbyś ze mną?

- A nie chodzisz zwykle na ósmą w niedzielę, razem ze swoimi kumplami?

- Zwykle tak - burknął Giulio. - Ale o tej porze roku wszyscy przebywają na Florydzie, tam gdzie jest ciepło. No więc, co ty na to?

Jason spojrział na niego obojętnie i włączył telewizor.

- Nie, dzięki, tato - odparł. - Może innym razem.

Ojciec mruknął tylko coś pod nosem i wyszedł, ciągnięty przez Sundance'a.

Jednak jakiś czas później, po powrocie ze spaceru, wrócił do tematu:

- No to idziesz ze mną czy nie?

- Daj spokój, tato - jęknął Jason, wyciągnięty wygodnie na kanapie. - Naprawdę nie mam ochoty. Poza tym od lat nie uczestniczyłem we mszy.

- Może to dobry moment, żebyś znowu zaczął - zauważył ojciec.

- Żartujesz sobie? Chyba ziemia by się zatrzęsła, gdybym przekroczył próg kościoła - zadrwił Jason.

- Proszę - nalegał Giulio. - Zrób mi jeden raz tę przyjemność.

- Dlaczego? O co tyle hałasu, tato?

Giulio westchnął.

- Jeśli pojawię się na mszy sam - wyjaśnił - „panie od lasagne” od razu to zauważą i będę musiał siedzieć obok którejś z nich, a po mszy zaraz zaczną się podchody, by zjeść wspólnie kolację, i to całe przedstawienie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Nie jestem w nastroju, żeby stawić temu czoło dziś wieczorem. To mi przypomina, że muszę zadzwonić później do siostr Signorelli i podziękować im za jedzenie.

- Taka popularność musi być męcząca - dogryzł mu Jason.

- Pewnego dnia też może ci się to przydarzyć - powiedział ojciec. - No, dasz się namówić? Nie każ staruszkowi błagać cię na kolanach.

- Dobrze - ustąpił w końcu Jason, wdychając z rezygnacją. - Ale będziesz moim dłużnikiem.

Giulio był wyraźnie zadowolony.

- A co powiesz na pyszną kolację później? - roześmiał się. - Mam na myśli *manicotti* i pulpety.

- To było do przewidzenia - nie pozostał dłużny Jason. Zwłóknął się z kanapy i poszedł po kurtkę.

Jason nie do końca żartował, mówiąc, że obawia się, iż ziemia się zatrząśnie, gdy przekroczy próg kościoła. Kiedy zwilżył palce wodą święconą i przeżegnał się, zawahał się przez moment i z obawą zerknął do środka świątyni. Widział, że przy ołtarzu krzątają się ministranci, i słyszał, że organista gra jakąś spokojną melodię.

Było jeszcze wcześniej, ławki dopiero zaczęły się zapelniać. Giulio przyklęknął w przejściu, a następnie usiadł na skraju ostatniej ławki, po czym skinął na Jasona, żeby do niego dołączył.

Jason wszedł do środka.

Posadzka pod jego stopami nie drgnęła, mimo to poczuł lęk i smutek, których źródła nie potrafił określić. Wsłuchał się uważniej w graną na organach melodię. Było to *Ave Maria*, ta sama pieśń, która nawiedziła go tamtego poranka, kiedy zdecydował, że pora wracać do domu. Teraz zrozumiał, dlaczego brzmiała tak znajomo. Śpiewano ją podczas pogrzebu jego matki, w tym samym kościele. Wówczas Jason był po raz ostatni na mszy.

Usiadł obok ojca, który ukląkł, by się pomodlić. Jason siedział bez słowa, myśląc o matce i jednocześnie przyglądając się z roztargnieniem ludziom, którzy wchodzili do kościoła. Jego wzrok padł na młodą kobietę, siedzącą w ławce przed nimi na przeciwległym skraju. Przez chwilę wpatrywała się ze skupieniem w jeden z kolorowych witraży, rozświetlony promieniami zachodzącego słońca. Potem pochyliła głowę; Jason przypuszczał, że utkwiała wzrok w przedmiocie, który trzymała na kolanach. Nie mógł dostrzec jej twarzy, ponieważ zasłaniała ją fala gęstych włosów. Gdy zaciekawiony pochylił się do przodu, odkrył, że kobieta trzyma na kolanach szkicownik. Rysowała okno.

Zaintrygowany, obserwował ją z uwagą. Gdy kobieta znowu podniosła głowę i odgarnęła włosy z twarzy, zauważył, że jest piękna, lecz urzekło go w niej coś innego. Pochłonięta, jak się wydawało, bez reszty, swoim zadaniem, roztaczała wokół siebie aurę spokoju, która łagodnie, lecz silnie go do niej przyciągała. Jason nie spuszczał z niej oka, dopóki chórmistrz nie wezwał wiernych, by powstali i przywitani kapłana celebrującego mszę. Jason poczuł, jak ojciec trąca go w bok, ponaglając, żeby się podniósł, a zebrani zaczęli śpiewać pierwszą pieśń.

Jason miał nadzieję, że uda mu się po mszy spotkać dziewczynę. Jednak, ku swojemu rozczarowaniu, wymknęła się z kościoła bocznym wyjściem.

- No i co? - spytał ojciec, zapinając palto i znowu trącając go łokciem. - Nie było tak źle, co?

- Nie było - zgodził się Jason. - Chyba naprawdę nie było.

- To dobrze - powiedział ojciec. - Cieszę się. Może zdecydujesz się częściej chodzić do kościoła.

Jason spojrział jeszcze raz w stronę, w którą poszła młoda kobieta.

- Kto wie. Całkiem możliwe - rzekł w zamyśleniu.

ROZDZIAŁ

osiemnasty

Pierwszego dnia pracy Jasona w Bradley Mansion Inn Giulio nie przedstawił mu oficjalnej listy jego obowiązków. Powiedział jedynie, że przez kilka dni ma po prostu uważnie przyglądać się ich pracy, pomagać tam, gdzie będzie umiał, i w ten sposób określić dziedziny, w których mógłby wprowadzić usprawnienia. Wyjaśnił, że zatrudniają dość ludzi, którzy wykonują codzienne obowiązki, oraz stwierdził, że jest im potrzebny ktoś, kto spojrzy na działanie pensjonatu z innej perspektywy, a także zdoła wychwycić szczegóły, które inni przeoczyli. Miał nadzieję, że syn pomoże im rozwiązać kilka kwestii, a mianowicie: Jak sprawić, żeby pracowali wydajniej? W jaki sposób poprawić usługi? Jak w stu procentach wykorzystać pracę personelu? I przede wszystkim: jak zachęcić turystów, by zatrzymali się w ich pensjonacie? Krótko mówiąc, misja Jasona polegała na tym, by wykorzystał swoje wykształcenie dla dobra rodziny. Najpierw jednak będzie musiał zapoznać się z zasadami panującymi w firmie i nauczyć się metod jej funkcjonowania.

Pierwszą zasadą było bezwzględne przestrzeganie ciszy. Z tym zarządzeniem, wydanym przez Giulia dawno temu, należało się liczyć zwłaszcza wczesnym świtem, kiedy goście wciąż jeszcze leżeli w łóżkach. Nic tak nie potrafi zniweczyć przyjemnego odpoczynku jak głośna rozmowa na korytarzu czy sześć naczyń i sztućców w kuchni. Goście, którzy schodzą na dół zmęczeni i zrzędlivi, prawdopodobnie więcej tu nie przyjadą, bez względu na to, jak wykwintne śniadanie będzie na nich czekało. Dlatego Giulio pilnował, by jego pracownicy wykonywali swoje obowiązki z namaszczeniem godnym zakonników.

Nie chcąc nikomu utrudniać pracy, Jason stał z boku i obserwował. Po pierwsze spostrzegł, że Raymond natychmiast podał kawę i babeczki rannym ptaszkom. Tymczasem Lana, która w dni robocze pełniła rolę szefowej kuchni, przyrządzała główne śniadanie, na które składały się między innymi jajka, kielbaski, bekon i smażone ziemniaki, które trochę później ustawiono w jadalni na bufecie. Oprócz Lany w pensjonacie pracowało na zlecenie jeszcze kilku miejscowych. Na przykład Roger, emeryt, który w pensjonacie był odpowiedzialny za coś, co Mirabellowie nazywali wartą. Pełnił ją w godzinach nocnych, od zmierzchu do świtu, kiedy w pensjonacie niewiele się działo, lecz było bardzo ważne, by w

budynku przebywał ktoś zaufany.

Kiedy Jason wszedł do gabinetu ojca, Roger, ziewając przeciągle, szykował się właśnie do wyjścia.

- Wszyscy w komplecie, Giulio - powiedział niemal szeptem, wkładając kurtkę. - Kolejna spokojna noc.

- To lubię - rzekł Giulio, skinąwszy w stronę Jasona. - Nie poznałeś chyba jeszcze mojego syna Jasona.

Roger z uśmiechem wyciągnął rękę.

- Miło mi cię poznać, Jasonie. - Uścisnęli sobie dłonie. - Przyjechałeś, by pracować w rodzinnej firmie, podobnie jak twój brat i siostra?

- Przynajmniej przez jakiś czas - odparł Jason, wruszając ramionami.

- Spodoba ci się tutaj - zapewnił Roger, puszczając oko do Giulia. - Wprawdzie nocne warty trochę się dłużą, ale przynajmniej szef pozwala czasami zdrzemnąć się w pracy.

Giulio zachichotał i poklepał Rogera po ramieniu.

- Dobrego dnia, Rogerze - powiedział.

- Dziękuję, nawzajem. - Roger znowu ziewnął. - Do zobaczenia, Jasonie.

Giulio zamknął za nim drzwi i odwrócił się z miną pełną nadziei.

- I jak ci idzie? - spytał wesoło.

- Niczego na razie nie zrobiłem - przyznał Jason. - I nie wygląda na to, żebym miał tu wiele do roboty. Ray panuje nad wszystkim. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że tylko przeszkadzam.

Raymond rzeczywiście miał wszystko pod kontrolą i działał spokojnie i skutecznie, jak gdyby chciał podkreślić swoją pozycję. Mimo że tego ranka przywitał się serdecznie z bratem, coś w jego zachowaniu mówiło Jasonowi, że nie jest zadowolony z pomysłu ojca.

- Może pomógłbyś mi napalić w kominkach? - zaproponował Giulio. - Potem, gdy przyjdzie Natalie, spotkamy się wszyscy i porozmawiamy.

W poniedziałki w pensjonacie czas biegł powoli. Mimo że w weekend panował całkiem spory ruch, teraz było niewielu gości, ponieważ większość z nich wymeldowała się w niedzielę. Na śniadaniu spodziewano się więc zaledwie kilku osób. Pomimo to palono w kominkach, a śniadanie podawano o normalnej porze, tak jak wtedy, gdy w pensjonacie był komplet gości.

Jason rozpalił z ojcem w kominkach i usiadł na kanapie w salonie. Na niskim stoliku leżało parę codziennych gazet. Sięgnął po „Wall Street Journal” i przebiegł wzrokiem nagłówek. Nie minęło wiele czasu, gdy do pokoju zajrzał jego brat.

- Psst - syknął, mierząc Jasona surowym spojrzeniem i oglądając się przez ramię.

Jason zrozumiał aluzję - salon objęty jest zakazem wstępu. Odłożył gazetę i szybko wyszedł z pokoju, zanim jeszcze pierwsi tego dnia goście zeszli na poranną kawę.

Po śniadaniu, gdy zjawiała się Natalie, Giulio wezwał całą trójkę do gabinetu. Nie odezwał się od razu, lecz gładził się w zamyśleniu po brodzie. Sprawiał wrażenie odrobinę spiętego, wyraźnie próbował jak najlepiej dobrać słowa. Dla Jasona była to niezręczna sytuacja, ale zdawał sobie sprawę, że nie da się jej uniknąć.

- No cóż - zaczął w końcu Giulio, splatając dłonie. - Skoro jesteśmy wszyscy na miejscu, chciałem rozpocząć małe zebranie zespołu. - Spojrzał na Raymonda i Natalie. - Jak wiecie, Jason będzie pracował z nami przez pewien czas.

Na te słowa Natalie pochyliła się ku Jasonowi i zaklaskała.

- Witaj na pokładzie - powiedziała.

- Dzięki - odrzekł Jason.

Raymond uśmiechnął się do niego półgębkiem.

- Mam nadzieję, że dzięki temu nie będę musiał więcej odgarniać śniegu sprzed pensjonatu - zażartował.

- Z pewnością oznacza to, że nie będziesz musiał tego robić w pojedynkę - sprostował Giulio.

Jason załamał ręce.

- Ależ tato, nie wspomniałeś nic o odśnieżaniu - jęknął z udawanym wyrzutem. - Nie miałem pojęcia, że wchodzi to w zakres moich obowiązków.

Żart odniósł zamierzony skutek.

- W takim razie, przyjacielu, na przyszłość pamiętaj włożyć okulary, żebyś mógł odczytać drobną czcionkę - zachichotał Raymond.

- Skoro mowa o obowiązkach - mówił dalej Giulio, wyraźnie zadowolony, że lody zostały przełamane szybciej, niż się spodziewał - chciałbym, żeby wasz brat podczas pobytu tutaj dowiedział się dokładnie, czym się tu wszyscy zajmujemy. Każdy z nas jest samodzielny i ma własny styl działania. To bardzo dobrze, ale kto wie, może Jason dzięki swojemu wykształceniu wpadnie na pomysł, jak usprawnić pracę. Traktujmy go jak doradcę.

- Doradca do spraw noclegu ze śniadaniem - zadumała się Natalie. - Ładnie brzmi. A nuż stworzysz nową profesję, Jasonie.

- Nigdy nie wiadomo - odparł. - Może pewnego dnia, gdy stanę się już ekspertem w tej dziedzinie, napiszę o tym książkę.

- Cóż, zanim ją napiszesz, będziesz musiał przeprowadzić skrupulatne badania -

odchrząknął Giulio. Odwrócił się do Raymonda. - Będziesz tak miły i oprowadzisz brata po domu? Zrobiłbym to osobiście, ale mam parę umówionych spotkań w centrum miasta.

Raymond wzruszył ramionami.

- Jasne, czemu nie? - powiedział, podnosząc się z krzesła. - Chodźmy, picusiu z Zachodniego Wybrzeża, oprowadzę cię po imperium.

Jason wstał również i wyszli z gabinetu.

Dla Jasona nie było zaskoczeniem, że brat znał budynek jak własną kieszeń. Ostatecznie pracował tutaj od lat, jeszcze zanim Jason wyjechał na studia. Uderzyło go jednak coś innego - w głosie Raymonda brzmiała nieskrywana duma, gdy opisywał pracę, jaką cała rodzina włożyła w remont i utrzymanie domu. Zdawał się czerpać przyjemność z wyliczania nawet jeszcze nie ukończonych prac.

- Ten pokój wyremontowaliśmy w zeszłym roku - powiedział, wskazując drzwi jednej z sypialń.

- Sam położyłem kafelki w łazience. - A w tej sypialni musimy uszczelnić okna - dodał. - Z kolei w odnowienie tego pokoju zainwestowaliśmy mnóstwo czasu i energii - opowiadał dalej.

Dla Jasona stało się jasne, że jego starszy brat włożył w ten dom znacznie więcej niż on kiedykolwiek - całe swoje serce i duszę. Jasona zawsze ciągnęło w innym kierunku. Dom i rodzinna firma nigdy go specjalnie nie interesowały. Teraz jednak poczuł dziwny smutek, jakby przeoczył coś ważnego, w czym mógł uczestniczyć.

- No to jesteśmy z powrotem - rzekł Raymond, gdy wreszcie zeszli na dół do salonu.

- Czy tutaj wszystko działa, panie Złota Rączko? - zakpił z niego Jason.

- O tak - odrzekł brat, wzruszając ramionami. - Kominek funkcjonuje jak należy, meble są w całkiem dobrym stanie, może dywany lekko się wystrzępiły na brzegach, ale nie jest źle. Jedyne, co mnie martwi, to oświetlenie.

- W czym problem? - zainteresował się Jason.

- Nie wiem - odparł Raymond. - Wymieniłem ostatnio parę rzeczy, ale dalej mamy kłopot. Przypuszczam, że może chodzić o instalację elektryczną. Bóg jeden wie, ile ma lat.

Przerwał i przez chwilę bacznie przyglądał się ścianom.

- Tak czy owak na dziś koniec wycieczki. Mam nadzieję, że była dla ciebie interesująca.

- Dzięki, Ray. Bardzo.

- Nie ma za co. - Raymond umilkł i podrapał się w kark. Jasonowi wydało się, że chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz po namyśle zrezygnował. Skinął głową i ruszył w stronę

kuchni.

- Zaczekaj chwilę, Ray - Jason wziął głęboki oddech. - Najpierw muszę o czymś z tobą porozmawiać. Chodzi o przyczynę mojego powrotu.

Raymond spojrzał na niego z ironicznym uśmiechem.

- Czy to ta długa historia, którą obiecałeś mi opowiedzieć tamtego wieczoru u Natalie?

- Tak.

- Daj spokój - powstrzymał go brat. - Wiemy już wszystko.

- Skąd? - spytał Jason, zbity z tropu. - Tata ci coś mówił?

- Nie - odparł spokojnie brat. - Odkryłem to w grudniu, kiedy nie przyjechałeś do domu na święta Bożego Narodzenia. Nie pisałem ani słowa tacie, ale w Internecie znalazłem artykuł na temat twojej firmy. Kiedy przeczytałem, co się stało, próbowałem się z tobą skontaktować, żeby się dowiedzieć, czy mogę jakoś pomóc. Natalie również do ciebie dzwoniła. - Ale ty nie odbierałeś naszych telefonów - powiedział z goryczą.

- To był dla mnie trudny czas - wyjaśnił Jason. - Musiałem sam przemyśleć pewne sprawy.

- Tak, jest jeszcze parę spraw, które trzeba rozwiązać, jeśli tu zostaniesz. Ale o tym pogadamy innym razem. Teraz zabierzmy się do pracy - powiedział Raymond i wyszedł z salonu.

*

- Jak wam poszło? - zawołała wesoło Natalie, gdy Jason wszedł do gabinetu.

- Chyba dobrze. Ale mam wrażenie, że Ray byłby szczęśliwszy, gdybym wrócił do Los Angeles.

- Och, nie przejmuj się nim - parsknęła Natalie. - Znasz przecież naszego starszego braciszka, zawsze musi rządzić. Poza tym myślę, że dręczy go coś, o czym nikomu nie mówi.

- Dobrze znam to uczucie - rzekł ponuro Jason. - Ja też miałem problemy, którymi pragnąłbym się z kimś podzielić... ale chyba już wiesz, co to było - wreszcie odważył się to powiedzieć.

Natalie pochyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek.

- Tak, wiem - przyznała łagodnym tonem. - Ale teraz jesteś w domu, zapomnij więc o tym.

Wzięła go za rękę i pociągnęła do biurka. - Może to poprawi ci humor - powiedziała, wskazując na komputer. - Spójrz, wciągnęłam cię już na listę płac.

- A niech to, cóż za wiekopomna chwila - powiedział ze śmiertelną powagą, widząc swoje niezbyt imponujące wynagrodzenie.

- Jasne! - roześmiała się Natalie. - Teraz jesteś już oficjalnie członkiem rodzinnej firmy.

- Super. Kiedy dostanę pierwszy czek?

- A co, chcesz się wybrać do Disneylandu? - zażartowała.

- Nie - odparł Jason. - Do Walmart.

ROZDZIAŁ

dziewiętnasty

Jason odgryzł kęs wielkiej kanapki z pulpetem i popatrzył przez szybę. Siedział w furgonetce ojca, którą zaparkował na ulicy obok niewielkiego parku w południowej części miasta. Stąd rozciągał się widok na centrum Providence. Na jego skraju stoi pomnik Rogera Williama - założyciela miasta, który wyciągniętą ręką je błogosławi.

Było to jedno z ulubionych miejsc Jasona. Pamiętał, jak odwiedzał park jako mały chłopiec, kiedy ojciec zabierał całą rodzinę na niedzielną przejażdżkę. Wraz z bratem i siostrą biegał alejkami parku, ale najbardziej lubił stawać u stóp ogromnej statuy i przyglądać się z góry miastu. Wyobrażał sobie wtedy, że stoi na szczycie świata. To wspomnienie wywołało uśmiech na jego twarzy, teraz bowiem park nie wydawał już mu się tak niezwykłym miejscem, widok jednak nadal był piękny.

Tego popołudnia Jason postanowił spędzić przerwę na lunch właśnie tu. Był to pretekst, by choć na chwilę wyrwać się z pensjonatu. Pomimo że była to naprawdę rozległa budowla, miał wrażenie, że on i reszta rodziny zawsze pracują bardzo blisko siebie. Jedynym miejscem, gdzie mógłby po prostu usiąść i pomyśleć, był gabinet. Tutaj jednak stałe urzędowała Natalie, która jasno dawała do zrozumienia, że uważa ten pokój za swoje terytorium. Owa sytuacja najwidoczniej nie przeszkadzała Giuliovi, a tym bardziej Raymondowi, ale dla przyzwyczajonego do pracy w samotności Jasona stanowiła prawdziwe wyzwanie. Dlatego uparcie szukał w pensjonacie jakiegokolwiek miejsca, które mógłby zaadaptować dla siebie. Jego uwagę przyciągnęła spora garderoba na drugim piętrze, ale zdawał sobie sprawę, że zdobycie nawet tak małego skrawka terytorium będzie wymagało taktownych negocjacji. Do tego czasu sporadyczne przejażdżki do parku w porze lunchu były jedynym sposobem na zaspokojenie jego potrzeby samotności.

Poza tym brakiem prywatności Jason nie miał na co narzekać. Wbrew temu, czego się spodziewał, praca z rodziną nie była wcale taka okropna. W miarę upływu czasu - a minęła już połowa lutego - przyzwyczajał się do ustalonego porządku dnia i do pomagania innym w ich codziennych obowiązkach. Nie były to zbyt skomplikowane zadania, ale szybko jego oko do szczegółów okazało się bardzo pomocne. Jak w każdej firmie, również w pensjonacie na

sukces składało się wiele drobnych rzeczy. Ważny był uśmiech, którym witano gości w recepcji. Starannie pościelone łóżka na noc. Dobór książek i gier planszowych w salonie. Nieskazitelnie czysty obrus na stole podczas śniadania. Atmosfera spokoju i odprężenia, której wypracowanie wymaga tak wiele wysiłku. Choć Jason nie czuł powołania do tego rodzaju pracy, w tej chwili zaspokajała jego potrzebę bycia użytecznym.

Była też dla niego ważna z innego powodu. Zaprzątała go na tyle, że nie zadreślał się bez przerwy problemami, które pozostawił w Los Angeles, a przede wszystkim odrywała go od myśli o Amandzie i dziecku. Najgorsze były dla niego poranki. Z jakiegoś powodu właśnie o tej porze od nowa dopadały go wyrzuty sumienia. Zupełnie jakby wkładał na barki plecak pełen kamieni, który miał nosić przez cały dzień. Z upływem czasu coraz łatwiej było mu dźwigać ten ciężar, napięcie jednak nigdy nie ustępowało.

Jason zamknął oczy. Mimo że było zimno, słońce świeciło jasno i jego promienie przyjemnie ogrzewały mu skórę. Na moment znalazł się z powrotem w Kalifornii, wydawało mu się, że znów leży na plaży w jeden z tych beztrudnych dni, zanim wszystko się zawaliło. To wspomnienie sprawiło, że gdy podniósł powieki i jego oczom ukazał się zaśnieżony krajobraz, wszystko wydało mu się jeszcze bardziej przerażające.

- Co ja tu robię? - powiedział na głos. Niewidzialny ciężar przygniótł go znowu. Jason spiesznie dokończył kanapkę i ruszył w drogę powrotną.

W pensjonacie zastał Natalie, która pisała coś pilnie na kartce papieru. Widząc, że Jason wchodzi do gabinetu, odłożyła długopis i spiesznie dołączyła kartkę do grubej sterty papierów. Spięła wszystko gumką i schowała do tekturowej teczki, którą wrzuciła do torby leżącej u jej stóp.

- Co tam masz? - spytał Jason, wskazując torbę.

- Ach, to nic takiego - odparła wymijająco.

- Skoro tak, to nie zaszkodzi, jak rzucę okiem - rzekł Jason z szelmowskim uśmiechem.

- Nie możesz rzucić okiem - powtórzyła z uporem.

- Dlaczego?

- Ponieważ byś się śmiał.

- Obiecuję, że nie będę - powiedział Jason. - No proszę, pokaż mi, co robiłaś.

Natalie skrzywiła się z wyraźną irytacją. Niechętnie sięgnęła do torby i wyjęła z niej plik kartek. Przez chwilę przyciskała je do piersi, po czym wreszcie odwróciła je zapisaną stroną w kierunku brata.

Jason zbliżył się, żeby lepiej widzieć. Na pierwszej kartce widniały równiutkie szeregi liter, schodzących kolumną w dół. Zanim zdążył przeczytać, Natalie szybko przewróciła stronę, potem kolejną i kolejną, aż do końca. Wszystkie były zapisane tym samym charakterem pisma. Nie od razu zorientował się, co ma przed oczyma.

- Wiersze?

- Nie bądź taki zdziwiony - fuknęła. - Wiem, że nie ukończyłam studiów tak jak ty, ale to nie znaczy, że nie potrafię sklecić zdania.

Jason uśmiechnął się.

- Wcale się nie dziwię - odparł. - Prawdę mówiąc, uważam, że to świetny pomysł. Od jak dawna piszesz?

- Od pewnego czasu. - Natalie wzruszyła ramionami. - Nie twierdzę, że jestem w tym dobra. Robię to wyłącznie wtedy, kiedy mam chwilę dla siebie, co, jak wiesz, nie zdarza się tutaj często.

- Ale wygląda na to, że napisałaś całkiem sporo - zauważył Jason. - Próbowалаś kiedyś coś wydać?

- O Boże, nie - roześmiała się Natalie. - Nie przyszło mi to nawet przez myśl. Nigdy nie dałam ich nikomu do przeczytania.

- Dlaczego?

Natalie popatrzyła na trzymany w rękach plik kartek.

- Nie wiem - rzekła w zamyśleniu. - Chyba dlatego, że są bardzo osobiste. To byłoby zbyt krępujące.

- Ale pomyśl, Nat. Może pewnego dnia zostaniesz sławną i bogatą poetką - droczył się z nią.

- Może jest wielu sławnych poetów, ale nie wiem, ilu z nich jest bogatych - powiedziała. - Poza tym nie dbam o to. Na razie piszę tylko dla siebie.

Jasonowi nie mieściło się w głowie, jak ktoś może inwestować swój czas w pracę, z której nie spodziewa się uzyskać dochodu, a nawet nie ma perspektyw na bycie docenionym. Nauczono go, jak postępować w biznesie: przeprowadzać analizę ryzyka i ewentualnej satysfakcji z przedsięwzięcia oraz wybierać drogę, która rokuje największą szansę na powodzenie. Jaki w ogóle sens miałyby robienie czegokolwiek bez szans na zysk?

- Szkoda, że nawet nie spróbowałaś.

- Napisz kiedyś sam kilka linijek - zaproponowała Natalie, wrzucając papiery z powrotem do torby. - Zobaczmy, jak się będziesz wtedy czuł. - Odwróciła się do monitora. - Tak czy owak nie straciłam całego dnia na pisanie. Zrobiłam rezerwację kilku pokoi na ten

weekend.

- Wspaniale. - Jason skinął głową z aprobatą.

- I mam dla ciebie wiadomość od kogoś z „Rhode Island Life” - oznajmiła, podając mu karteczkę.

- Doprawdy? - zainteresował się Jason. - A czego chcą?

- Podobno w jednym z najbliższych numerów ukaze się artykuł na temat pensjonatów oferujących zakwaterowanie ze śniadaniem i chcą przysłać kogoś, kto zrobi zdjęcia Bradley Mansion. Zdaje mi się, że twój plan marketingowy zaczyna działać.

- Trudno na razie nazywać to planem - mruknął Jason. - Wysłałem jedynie informację o nas do miejscowych gazet. Miałem nadzieję na coś w rodzaju darmowej reklamy, ale nie przypuszczałem, że tak szybko odpowiedzą. Zwyczajnie mi się poszczęściło.

- Hej, nie kłóć się ze mną. Jak to się mówi? Czasami lepiej mieć więcej szczęścia niż rozumu?

- Możliwe - zgodził się Jason. - Ale trochę rozumu też nie zaszkodzi.

ROZDZIAŁ

dwudziesty

- Zdaje się, że ktoś wybiera się dziś wieczorem na gorącą randkę.

Był wczesny piątkowy wieczór i Jason stał oparty w drzwiach łazienki, przyglądając się, jak ojciec kończy się golić.

- Nie - odparł Giulio nieco nonszalanckim tonem. - Ta będzie tylko letnia.

Przechylając lekko głowę i patrząc na swoje odbicie w lustrze, Giulio starannie zebrał resztkę kremu do golenia. Opłukał maszynkę pod kranem i odłożył ją na półeczkę. Spojrzał jeszcze raz w lustro, by ocenić wyniki swojej pracy. Zadowolony, obmył twarz ciepłą wodą i sięgnął po ręcznik.

Jason zaśmiał się w duchu. Ileż to razy w dzieciństwie stał w tych samych drzwiach, gapiąc się, jak tato dokonuje porannych ablucji? Podobnie jak dla większości małych chłopców widok golącego się ojca niezmiennie był dla niego źródłem fascynacji. Stojąc z boku i wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma, mały Jason studiował kolejne fazy rytuału. Mycie twarzy gorącą, parującą wodą. Namydlenie skóry kremem do golenia. Oczywiście najbardziej fascynowała go sama maszynka do golenia i mimo licznych ostrzeżeń, by się nią nie bawił, Jason niejednokrotnie skaleczył się w policzek, próbując naśladować ojca.

- No więc, kim ona jest? - spytał Jason. - Kimś, kogo znam?

- Nie - odrzekł ojciec, osuszając twarz ręcznikiem. - Znajoma, której od dawna jestem dłużny kolację.

- Ach, „pani od lasagne”, jak rozumiem - zachichotał Jason.

Giulio tylko chrząknął w odpowiedzi, rzucił ręcznik i otworzył flakonik z płynem po goleniu. Wylał niewielką ilość na dłoń i roztarł go.

- Właściwie - rozmyślał na głos, poklepując energicznie twarz - skoro o tym mowa, ona ma chyba córkę w twoim wieku. Zaaranżuję jakieś spotkanie, jeśli jesteś zainteresowany.

Jason podniósł ręce w obronnym geście.

- Nie, dzięki, tato. To naprawdę nie będzie konieczne.

- Staram się tylko pomóc - wyjaśnił Giulio. - Nie zaszkodziłoby, gdybyś poznał kogoś,

no wiesz, być może zastanowił się nad ustatkowaniem się pewnego dnia.

Jasonowi nieomal wyrwało się, że nie tak dawno temu bardzo poważnie myślał o założeniu rodziny, lecz był to temat, na który nadal wolał nie rozmawiać.

- Pewnego dnia... może - odparł. - Ale nie dziś wieczorem.

- Dlaczego nie dziś? - spytał Giulio, wychodząc z łazienki.

Jason cofnął się, aby go przepuścić.

- Cóż, idę do Raymonda obejrzeć mecz koszykówki - poinformował ojca.

Giulio przystanął i popatrzył na niego zaskoczony.

- Hmm, do Raymonda, to wspaniale - rzekł w zamyśleniu - zwłaszcza że nie mogę ci zaproponować wiele do jedzenia.

- Tato, naprawdę potrafię o siebie zadbać - obruszył się Jason.

- Skoro tak twierdzisz - mruknął ojciec, kierując się do sypialni.

Po krótkiej chwili wystrojony Giulio zszedł na dół i sięgnął do szafy po palto. Sundance, zwęszywszy szansę wieczornego spaceru, nie odstępował go na krok.

- Przykro mi, ale zostajesz w domu, przyjacielu - uspokoił Giulio psa. - A teraz zabieraj się stąd, nie chcę mieć całych spodni w twoich kłakach.

Jason podszedł i odciągnął psa za obrozę.

- A o której zamierzasz wrócić do domu, młody człowieku? - żartobliwie spytał ojca.

- Nie obawiaj się - odparł Giulio. - Jestem pewien, że na długo przed tobą.

- Tylko nie zapomnij, co obiecałeś - przekomarzał się z nim Jason. - W przeciwnym razie będę się o ciebie martwił i zgłoszę na policji twoje zaginięcie.

- Dobrze, tatusiu - odrzekł Giulio, uchylając kapelusza. Odwrócił się do wyjścia, ale nagle zatrzymał się i dodał, poważniejąc: - Cieszę się, że spotykasz się dzisiaj z bratem.

- Ja również - przyznał Jason.

Ojciec skinął mu głową i wyszedł, a Jason pobiegł na górę, by przebrać się na wieczór.

*

- Wejdz - zaprosił go Raymond pół godziny później, gdy Jason zadzwonił do drzwi. - Drużyna Celtów zaraz zacznie.

Żona Raymonda, Donna, kroїła w kuchni domową pizzę. Jason poczuł przyjemny zapach ciasta, zanim jeszcze wszedł do środka. Przywodził mu na myśl matkę, która sama często piekła pizzę.

Donna odłożyła nóż i podeszła do niego, by się przywitać.

- Jesteś wreszcie - powiedziała serdecznie, muskając policzkiem jego policzek.

Donna i Raymond pobrali się zaledwie dwa lata temu. Chociaż Raymond był najstarszy z rodzeństwa, długo odkładał tę ważną decyzję i stanął przed ołtarzem dużo później od Natalie. Mimo to Jason miał wrażenie, że są razem od zawsze. Nie mieli jednak dzieci, choć często mówili, że w przyszłości chcą je mieć.

Donna uścisnęła mu rękę i uśmiechnęła się promiennie.

- Strasznie dawno cię nie widziałam. Jak się miewasz?

- Szczerze mówiąc, umieram z głodu - zaśmiał się Jason. - Ten zapach jest cudowny!

- Dobrze, idźcie więc oglądać mecz, a ja za moment wszystko przyniosę - obiecała Donna, przeganiając ich.

Jason przeszedł do pokoju i usiadł na kanapie. Raymond podał mu butelkę piwa.

- Zdrowko - powiedział.

- Zdrowko - powtórzył Jason i stuknęli się z głośnym brzękiem. Wkrótce Donna przyniosła pizzę i postawiła ją na niskim stoliku.

- W piekarniku mam więcej - uprzedziła. - I robię sałatkę, możecie więc jeść do syta.

Wzięła sobie nieduży kawałek i wyszła z powrotem do kuchni, zostawiając braci samych.

Obaj rzucili się na jedzenie, nie mogąc się oprzeć wspaniałemu aromatowi pomidorów, kielbasy i papryki. Równocześnie wymieniali uwagi o meczu. Raymond był zapalonym kibicem drużyny Celtics, natomiast młodszy brat od zawsze kibicował Lakersom. Jason cieszył się, że dzięki meczowi może porozmawiać z bratem. Na dobrą sprawę nigdy nie utrzymywał z nim towarzyskich kontaktów. Dzielili ich tak duża różnica wieku, że wydawali się żyć w odrębnych światach. To wrażenie jeszcze się pogłębiło, gdy obaj wkroczyli w dorosłość i wybrali zupełnie inne życiowe drogi - przynajmniej do tej pory.

Oczywiście wieczór nie upłynął im tylko na wymianie opinii o koszykówce. Szybko rozmowa zesłała na temat pracy, mimo że Jason miał nadzieję, że tak się nie stanie. Wciąż nie był przekonany, czy nadaje się do współprowadzenia rodzinnej firmy, a tym bardziej obawiał się opinii brata na ten temat.

- No to jak ci idzie? - spytał Raymond podczas przerwy w meczu. - Podoba ci się praca z nami?

- Jest w porządku - odrzekł Jason, wruszając ramionami. - To znaczy wciąż się czegoś uczę.

Raymond odstawił pustą butelkę i otworzył kolejne piwo.

- Co tu jest do uczenia - powiedział, upijając łyk. - Taki bystry, świetnie wykształcony facet jak ty powinien umieć z zamkniętymi oczami prowadzić taki pensjonat jak nasz.

Jason nie był pewien, czy dosłyszał w głosie brata nutę sarkazmu, czy też coś zupełnie innego, w każdym razie Raymond wydawał się dziwnie zrezygnowany. Jak gdyby coś nieprzyjemnego, czego istnienie jedynie podejrzewał, okazało się prawdą.

- Prowadzenie rodzinnej firmy jest czymś więcej, niż mogłoby się wydawać - rzekł oględnie Jason. - Wiesz to lepiej ode mnie. Umilkł i pochylił się do stołu, by wziąć jeszcze jeden kawałek pizzy. Niestety, półmisek był już pusty, na razie zadowolił się więc łykiem piwa. - Tak czy owak interes jak każdy inny - mówił dalej. - Oczywiście, ma własne problemy, własne wymagania. Jednak przede wszystkim, jeśli chce się osiągnąć dobre wyniki, trzeba włożyć w niego wiele pracy, no i zaangażować odpowiednich ludzi, którzy znają się na tym, co robią.

Ta uwaga chyba usatysfakcjonowała Raymonda, ponieważ wyraźnie się rozpogodził. Rozsiadł się wygodnie i splótł dłonie za głową.

- Wiesz - powiedział - jeśli nawet nastąpiło to w nieprzyjemnych dla ciebie okolicznościach, uszczęśliwiłeś tatę, wracając do domu. Zwłaszcza odkąd zacząłeś z nami pracować. Widać to w jego oczach.

Jason machnął lekceważąco ręką.

- Bzdura, po prostu cieszy się, że ma kogoś do zajmowania się psem. Bardziej zależy mu na nim niż na mnie.

Obaj parsknęli śmiechem.

- Dobra, mówiąc poważnie, rzeczywiście jest szczęśliwy z tego powodu. Ale jakie masz plany, przyjechałeś tu tylko na krótko, czy zamierzasz zostać z nami przez jakiś czas?

Jason nie odpowiedział od razu.

- Słowo daję, Ray, sam w tej chwili nie jestem niczego pewny - odparł zgodnie z prawdą.

Raymond roześmiał się cicho.

- Witaj w klubie - mruknął. Następnie wstał i klepnął Jasona w ramię. - Chodź, chciałbym ci coś pokazać.

Jason zszedł za Raymondem do piwnicy. Ze zdumieniem zobaczył, że brat urządził tam sobie mały warsztat. Zajmował cały kąt pomieszczenia. Znajdowały się tam: piła tarczowa, tokarka, szlifierka i narzędzia do obróbki drewna wszelkiego rodzaju, na których Jason zupełnie się nie znał. Obok stała nie dokończona ławka, mały stolik, narożny regał oraz inne meble, częściowo ukończone. Podłogę pokrywała cienka warstwa trocin, dowód niedawnej pracy nad któryś z przedmiotów.

Jason gapił się na ten zbiór z otwartymi ustami.

- Zrobiłeś to wszystko sam? - spytał ze zdumieniem.

- No tak - przyznał Raymond jak gdyby nigdy nic. - To takie moje małe hobby.

- Nie miałem o tym zielonego pojęcia - rzekł Jason, nie mogąc otrząsnąć się ze zdziwienia. - Musiałeś w to włożyć mnóstwo pracy. Jak znajdujesz na to czas?

- Trochę tu, trochę tam. I to nie jest praca. Szczerze mówiąc, traktuję to raczej jak terapię. Ilekroć mam coś do przemyślenia, obojętnie co, po prostu schodzę na dół, by podłubać w drewnie. Nim się obejrzę, czas mija i umysł się oczyszcza. To można porównać do rozmyślań podczas jazdy samochodem. Nagle docierasz do celu podróży, nie pamiętasz jednak zupełnie, jak się tam dostałeś. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Raymond wskazał na spory mebel przykryty płachtą.

- Pracowałem nad tym ostatnio. - Ściągnął tkaninę i odsłonił komodę.

Jason podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć. Góra i boki były już wykończone, nóżki zamontowane, ale z pięciu szuflad jedynie dwie były całkiem gotowe. Mimo to nie trzeba było znać się na meblarstwie, aby zauważyć, że jest to coś naprawdę pięknego. Jason przesunął dłoń po górnej powierzchni komody, podziwiając kunszt stolarza, idealną gładkość wyszlifowanego drewna.

- I co o tym myślisz? - zapytał Raymond.

Jason spojrział na niego. Na jego twarzy malował się szczery zachwyt.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł z entuzjazmem. - Jak Boga kocham, naprawdę mi zaimponowałeś.

Raymond uśmiechnął się.

- Dzięki - odparł skromnie. - To tylko takie małe hobby.

- Hobby? - parsknął śmiechem Jason. - Powinieneś pomyśleć o sprzedaniu niektórych z tych sprzętów.

- Sprzedaniu? Nie. Po prostu podaruję je ludziom w prezencie.

- Dlaczego? Zobacz, ile pracy w to włożyłeś. Założę się, że zarobiłbyś na nich niezłą kasę.

Raymond pokręcił przecząco głową.

- Nie robię tego dla pieniędzy - oznajmił. - To jest balsam dla mojej duszy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Jason potaknął, chociaż nie był tego całkiem pewny.

Raymond uśmiechnął się do niego i kiwnął głową w stronę schodów.

- Chodźmy na górę sprawdzić, czy zostało dla nas parę kawałków pizzy, zanim zacznie się druga połowa meczu.

Jason rzucił ostatnie spojrzenie na dzieła brata, skryte teraz w ciemności, po czym wszedł za nim po schodach na górę.

*

Kiedy Jason dotarł do domu, Giulio siedział w fotelu i oglądał wieczorne wiadomości. Widząc, że syn wchodzi do pokoju, przywitał go skinieniem głowy.

- Mówiłem ci, że wrócę przed tobą - uśmiechnął się z wyższością. - Miło spędziłeś czas u Raymonda?

- Tak, bardzo miło - odpowiedział Jason, sadowiac się na kanapie. - Jak kolacja?

- Udana.

Sundance, który do tej pory leżał wyciągnięty przy kominku, podszedł do Jasona i położył mu łeb na kolanie, on zaś podrapał go za uszami. Pies popatrzył na niego z miłością. Przez jakiś czas Jason siedział w milczeniu, rozmyślając o Raymondzie i jego meblach, o Natalie i jej wierszach, a nawet o Giuliu i skrzypcach.

- Coś cię gnębi? - spytał ojciec, wrywając go z zadumy.

- Nie, właściwie nie - odparł Jason. - Po prostu myślałem, że naprawdę nie znam niektórych ludzi tak dobrze, jak mi się wydawało. Wciąż odkrywam, że mają swoje tajemnice, o których nie miałem pojęcia. Jak to o mnie świadczy?

Giulio zaśmiał się cicho i wrócił do oglądania telewizji.

- To znaczy, że się uczysz - powiedział.

ROZDZIAŁ

dwudziesty pierwszy

Choć Jasona wiele kosztował powrót z Kalifornii do domu, to jednak teraz musiał przyznać, że pobyt pod dachem ojca ma swoje dobre strony. Nie bez znaczenia były opłaty za czynsz, w tym przypadku zerowe. Kiedy zaczął otrzymywać wynagrodzenie za pracę w pensjonacie, zaproponował, że będzie się dokładał do domowych wydatków, lecz Giulio w ogóle nie chciał o tym słyszeć.

Zarobki Jasona w rodzinnym biznesie nie były szczególnie wysokie, lecz sam fakt, że nie musiał płacić za pokój i wyżywienie, sprawił, że w stosunkowo krótkim czasie udało mu się zgromadzić niewielką sumę pieniędzy. Skutkiem ubocznym mieszkania z ojcem było to, że Jason uczył się żyć oszczędnie. Od przyjazdu do Providence żył właściwie jak pustelnik, rzadko wychodził wieczorami z domu, chyba że odwiedzał któreś z rodzeństwa albo ciotkę i wuja.

Nie licząc kupna przyzwoitej zimowej kurtki, wełnianego swetra i odpowiednich na śnieg i lód butów, wydawał na siebie bardzo mało.

Nie upłynęło więc wiele czasu, gdy uzbierał pewną sumę, skrupulatnie odkładając nadwyżkę gotówki. Kiedyś, w zupełnie innym życiu - bo tak teraz o nim myślał - natychmiast by je roztrwonił, zwłaszcza gdyby wydawał je na Amandę. Tym razem swoje z trudem zarobione pieniądze postanowił spożytkować w rozsądniejszy sposób - odwiedził sklep ze sprzętem elektronicznym, gdzie kupił niezbyt drogiego laptopa.

Kupno komputera posłużyło kilku celom. Przede wszystkim zyskał wirtualne biuro, które mógł zabierać ze sobą, gdzie tylko zechciał. Poza tym nauczył Natalie lepiej wykorzystywać jej oprogramowanie do księgowania i opracował kilka matryc, aby skuteczniej śledzić i przewidywać liczbę zajętych pokoi w pensjonacie. Teraz, kiedy nie musiał rywalizować z siostrą o jedyny komputer w pensjonacie, znacznie wzrosła efektywność jego pracy i wreszcie miał poczucie, że chociaż w skromny, ale zauważalny sposób zarabia na swoje utrzymanie.

W domu używał laptopa do zupełnie innych celów. Często siedział do późna w nocy, studiując internetowe wydania „Los Angeles Times” i innych gazet, żeby być na bieżąco z

tym, co się dzieje na Zachodnim Wybrzeżu. Sprawiało to, że w jego pamięci odżywały wspomnienia zarówno przyjemnych, jak i przykrych chwil. Im dłużej przebywał w domu, tym bardziej pragnął przeżyć na nowo te pierwsze, lecz wciąż bał się stawić czoło drugim. Gdy obserwował, jak zmieniają się dni w kalendarzu, serce zamierało mu na myśl, że być może, mimo wcześniejszych obaw, jest już ojcem. W takich chwilach miał wrażenie, że stoi pośrodku mostu między przeszłością a teraźniejszością, i choć chce dotrzeć na drugi brzeg, jednocześnie obawia się zbyt daleko oddalić od pierwszego.

Już na samym początku założył konto e-mailowe, ale skorzystał z niego tylko raz, wysyłając do swego przyjaciela Eddie'ego wiadomość o treści: „Wciąż jeszcze żyję - ledwie”.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Jason odebrał to jako znak jego przeznaczenia - już na zawsze pozostanie uwięziony, zawieszony w próżni, niczym żaglowiec dryfujący na morzu podczas bezwietrznej pogody. Ale w życiu flauta nie trwa wiecznie, o czym Jason miał się przekonać pewnego popołudnia, gdy nieoczekiwanie wiatry nasiliły się i popchnęły go w zupełnie nowym kierunku.

Tego dnia Jason zaszył się w garderobie na drugim piętrze Bradley Mansion. W ciągu ostatnich tygodni posprzątał ciasne pomieszczenie i ustawił tam mały stolik i krzesło. Trudno to było nazwać biurem, ale lepsze to niż nic.

Jason pracował na swoim laptopie. Zainstalował w nim niedrogie oprogramowanie do tworzenia witryn internetowych. Pensjonat był wymieniony na rozmaitych stronach w Internecie, brakowało mu jednak własnej. Był to kolejny z projektów, który trzeba było koniecznie zrealizować; wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, lecz nikt nie miał na to czasu i energii.

Zabrał się właśnie do pracy, gdy nagle usłyszał ciche pukanie do drzwi. Był przekonany, że nikt nie zauważył jego potajmnego przejęcia rzadko używanej garderoby. Przez chwilę siedział bez ruchu i nasłuchiwał, przypuszczając, że być może tylko mu się wydawało.

Znów rozległo pukanie, tym razem bardziej natarczywe.

Niechętnie wyciągnął rękę i otworzył drzwi. Na korytarzu stała pani Martinez. Nie miał pojęcia, jakim cudem dowiedziała się o jego kryjówce, lecz podejrzewał, że gospodyni zna każdy skrawek domu jak własną kieszeń. Nie odezwała się od razu, lecz stała przez jakiś czas, lustrując ciasne pomieszczenie z widoczną dezaprobatą, a następnie pokręciła głową i zmierzyła Jasona wrogim spojrzeniem. Bywały chwile, gdy onieśmiała go w równym stopniu co ojca.

Zakasłał nerwowo.

- Ee, czym mogę służyć, pani Martinez? - spytał, starając się zachować choćby pozory godności.

Pani Martinez zrobiła kwaśną minę.

- Pańska siostra szuka pana na dole, panie Jason - poinformowała go. - Ktoś chce się z panem zobaczyć.

- Świetnie, zaraz zejdę - rzekł Jason. Pospiesznie zatrzasnął laptop, po czym dodał: - *Gracias, Señora* - mając nadzieję, że odrobina hiszpańskich uprzejmości zrobi na niej wrażenie i kobieta spojrzy na niego łaskawszym okiem.

Pani Martinez odwróciła się, wznosząc oczy do nieba.

- *De nada* - mruknęła.

Gdy Jason wsunął głowę do gabinetu, Natalie rozmawiała przez telefon. Widząc jego pytający wzrok, przyłożyła słuchawkę do piersi i powiedziała szeptem:

- Gdzie się podziewałeś? W salonie czeka na ciebie fotograf z „Rhode Island Life”.

Jason wiedział, że wydawca magazynu ma wysłać kogoś, by zrobił kilka zdjęć pensjonatu, ale był pewien, że umówili się na jutro. Spojrzał na siostrę z konsternacją, po czym spiesznie udał się do salonu.

Z jakiegoś powodu spodziewał się zastać tam mężczyznę. Tymczasem okazało się, że czeka na niego młoda kobieta. Stała odwrócona do niego profilem, z aparatem przewieszonym przez ramię i płaszczem pod pachą. Oglądała z zainteresowaniem jeden z obrazów wiszących nad małym fortepianem w drugim końcu salonu.

Jason stanął jak wryty.

Poznał ją, zanim jeszcze się odwróciła. Ciemne włosy, smukłą figurę, delikatną linię warg i podbródka, lecz przede wszystkim aurę spokoju, jaką wokół siebie roztaczała, gdy przypatrywała się obrazowi. Była to ta sama młoda kobieta, którą widział tamtego popołudnia, gdy poszedł z ojcem do kościoła. Był tak zaskoczony jej obecnością, że na moment odebrało mu mowę.

- Dzień dobry - wykrztusił w końcu. - Jestem Jason Mirabella. Przepraszam, że kazałem pani czekać.

Młoda kobieta podeszła do niego, wyciągając rękę. Zaintrygowało go, że jej dłoń jest miękka i ciepła, lecz uścisk zaskakująco silny. Nie mogąc oderwać wzroku od spokojnych błękitnych oczu dziewczyny, niechętnie puścił jej dłoń.

- Claudia Loren - przedstawiła się z miłym uśmiechem. - I to ja powinnam pana przeprosić. Wiem, że spotkanie było umówione na jutro, ale właśnie wtedy przejeżdżałam i pomyślałam, że skorzystam z okazji i wpadnę. Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe.

Jeśli przyszedłam nie w porę, mogę wrócić jutro.

- Ależ nie, wszystko w porządku, proszę mi wierzyć - zapewnił ją. - Dobrze pani trafiła. W tej chwili panuje względny spokój, a naprawdę rzadko się to tutaj zdarza.

- Jest pan pewny?

- Absolutnie. - Umilkł, wskazując na torbę z aparatem fotograficznym. - Proszę - powiedział. - Jeśli jest pani gotowa, z przyjemnością panią oprowadzę.

*

- Mój Boże, ależ ten stary dom jest piękny - zachwycała się Claudia, wędrując po pokojach. - To chyba przyjemne uczucie móc przychodzić tu codziennie do pracy.

Rozmawiali już dłuższą chwilę. Młoda kobieta zdążyła zrobić zdjęcia salonu i jadalni, a teraz wchodzili po głównych schodach na pierwsze piętro, by obejrzeć kilka pokoi gościnnych.

- Pod niektórymi względami jest interesujący - odparł Jason, wzruszając ramionami, mimo że jej reakcja sprawiła mu wielką przyjemność. Było to dziwne, lecz po raz pierwszy, odkąd pamiętał, czuł się dumny z tego, że pracuje w rodzinnej firmie. Teraz żałował, że nie wie o domu tyle co jego brat, ponieważ Claudię zdawał się fascynować każdy szczegół.

- Pracujesz w firmie od początku? - spytała z zaciekawieniem.

Pytanie dziewczyny mile zaskoczyło Jasona, ponieważ do tej pory całe jej zainteresowanie koncentrowało się wyłącznie na pensjonacie.

- Taki wniosek sam się nasuwa, ale prawdę mówiąc, zacząłem tu pracować zaledwie kilka tygodni temu.

- A gdzie byłeś wcześniej? - spytała.

- Pracowałem przez kilka lat w Kalifornii - odrzekł Jason.

Wiedział, że raczej nie powinien wdawać się w szczegóły dotyczące jego tamtejszych doświadczeń, spiesznie więc zmienił temat.

- Lepiej opowiedz o sobie - poprosił. - Od jak dawna pracujesz dla „Rhode Island Life”?

- Właściwie to nie pracuję dla nich - sprostowała. - Działam jako wolny strzelec, jeśli tylko mam czas.

- Co normalnie robisz?

- Jestem absolwentką RISD.

(RISD było skrótem od Rhode Island School of Design).

- Ach, to wszystko wyjaśnia - zauważył, gdy znaleźli się na szczycie schodów.

Claudia przystanęła i spojrzała na niego pytająco.

- Co masz na myśli?

- Chyba widziałem cię już wcześniej... - z wahaniem wyjaśnił Jason. - W kościele pod wezwaniem Najświętszego Sakramentu, tuż przed popołudniową mszą. Robiłaś szkic jednego z witraży. Należysz do tej parafii?

Claudia roześmiała się cicho, odwracając wzrok, po czym pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie jestem katoliczką. Nie należę do żadnego kościoła. Znalazłam się tam przypadkiem, bo ktoś mi powiedział, że kościół ma piękne wnętrza, i chciałam je zobaczyć na własne oczy, może zrobić parę szkiców. Skończyło się na tym, że siedziałam w kościele bardzo długo, ponieważ faktycznie mnie zachwycił. Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęli się schodzić ludzie, zanim zdążyłam zareagować, rozległa się muzyka i rozpoczęła msza. Nie wypadało mi wstać i wyjść, więc zdecydowałam się zostać.

- Pewnie właśnie tego dnia cię widziałem - uśmiechnął się Jason.

- Możliwe - powiedziała z roztargnieniem.

- A co, byłaś tam jeszcze kiedyś? - spytał z zaciekawieniem.

- Jestem tam co tydzień - przyznała, po czym zapytała, pochylając się bliżej: - A ty?

- Czy chodzę na mszę regularnie? Hm... raczej nie - mruknął Jason.

Claudia wpatrywała się nieobecny wzrokiem w jakiś odległy punkt poza nim.

- Chyba lubię tam przychodzić - rzekła cicho, jakby do siebie. - Sama nie wiem dlaczego. To nie jest wbrew zasadom, prawda? - zapytała z zażenowaniem. - To znaczy chodzenie na mszę, mimo iż nie jest się członkiem Kościoła. Za każdym razem dawałam pieniądze na tacę.

- Nie przejmuj się - zażartował Jason. - Dopóki za siebie płacisz, wszystko jest w porządku.

Oboje parsknęli śmiechem, po czym kontynuowali obchód po pensjonacie.

Dla Jasona zakończył się zbyt szybko. Zanim się obejrzał, już schodzili z powrotem na dół. Traf chciał, że przez hol przechodził właśnie Giulio. Widząc syna w towarzystwie młodej ładnej kobiety, kiwnął głową z aprobatą i przystanął, żeby się przywitać.

- No, no, kto to nas odwiedził? - spytał przyjaźnie, uchylając kapelusza.

- Claudio, poznaj mojego ojca - przedstawił go Jason.

- Bardzo mi miło, panie Mirabella - powiedziała, wymieniając z nim uścisk dłoni.

- Giulio. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - Cała przyjemność po mojej stronie. - Wskazał głową jej aparat fotograficzny. - Sprawy służbowe?

- Claudia przyjechała zrobić kilka zdjęć pensjonatu dla tego magazynu, o którym ci wspominałem - wyjaśnił Jason.

- Mam nadzieję, że dobrze na nich wyjdziemy.
- Trudno, żeby było inaczej - zapewniła go Claudia. - To miejsce jest przepiękne.
- Dziękuję, staramy się. - Giulio był wyraźnie oczarowany.

Jason znacząco zakasłał.

- Cóż, chyba powinienem was zostawić, nie będę przeszkadzał w dalszej pracy - rzekł ojciec.

- Chwileczkę - zawołała Claudia, zanim zdążył odejść. - A co powiecie na wspólne zdjęcie? Przydałoby się przynajmniej jedno, na którym są ludzie.

Zanim którykolwiek zdążył zaprotestować, zmusiła ich, by ustawili się pod ścianą na tle wielkiego stojącego zegara. Kiedy skończyła ich fotografować, Giulio pożegnał się i dyskretnie oddalił, pozwalając Jasonowi, by odprowadził kobietę do drzwi.

- Dziękuję, że pokazałeś mi pensjonat - powiedziała Claudia, gdy wyszli na dwór. - Mam chyba sporo ładnych ujęć.

- Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę. - Jason spojrzał w dół i strącił kawałek lodu ze stopnia werandy, gorączkowo usiłując wymyślić jakieś błyskotliwe pożegnanie. - Naprawdę ogromnie się cieszę, że dziś przyjechałaś - wykrztusił w końcu.

- Ja również. Było bardzo miło.

Pożegnali się i Jason patrzył, jak Claudia zmierza ku furtce.

- Halo - zawołał za nią.

Claudia przystanęła i obejrzała się.

- Słucham?

Jason przełknął z trudem ślinę.

- Tak mi przyszło do głowy, że chętnie bym kiedyś obejrzał szkice, które narysowałaś w kościele. Założę się, że są piękne.

Claudia nie odpowiedziała od razu, lecz przez chwilę wpatrywała się w niego z zadumą, jak gdyby coś rozważała, po czym wzruszyła ramionami.

- Może spotkamy się kiedyś na mszy - powiedziała z lekkim uśmiechem i ruszyła dalej.

Jason odprowadził ją wzrokiem do samochodu.

- Całkiem możliwe - rzekł sam do siebie, gdy odjechała sprzed pensjonatu.

ROZDZIAŁ

dwudziesty drugi

- Zdaje się, że ktoś wybiera się dziś wieczorem na gorącą randkę - powiedział Giulio.

Było sobotnie popołudnie. Stał oparty w drzwiach łazienki, przyglądając się, jak Jason goli się przed lustrem. Sundance przydreptał do nich i usiadł na posadzce. Namydłona twarz Jasona wyraźnie wzbudziła jego ciekawość. Zaskomlił głośno.

- Nie, wyciągasz mylne wnioski - odparł Jason.

Mrugnął do psa i przeciągnął żyłkę w dół policzka. Przyglądając się sobie w lustrze, opłukał maszynkę i kontynuował golenie.

- Nie jestem pewien - dodał - ale być może wybiorę się później do kościoła, to wszystko.

Ojciec chrząknął z niedowierzaniem.

- Na mszę?

- Tak, na mszę - potwierdził Jason. - Czy widzisz w tym coś złego?

- Broń Boże - odrzekł Giulio, pokręciwszy głową. - Tylko że ostatnio praktycznie musiałem wyciągnąć cię siłą z domu.

- Cóż, tamtego dnia byłem zmęczony - odpowiedział Jason bez przekonania.

- A dzisiaj, jak rozumiem, czujesz się wypoczęty.

- Można to tak ująć.

- A co cię tak nagle zachęciło do pójścia na mszę? - drażył dalej ojciec, lustrując go wzrokiem pełnym sceptycyzmu. - Jest jakiś szczególny powód?

Jason wzruszył ramionami.

- Nie ma żadnego. Po prostu mam ochotę tam pójść.

Jason umilkł na chwilę i przesunął palcami po ogolonej skórze, sprawdzając jej gładkość. Oględziny wypadły zadowolająco, wrócił więc do swego zajęcia.

- A ty się też gdzieś dzisiaj wybierasz? - spytał ojca, starając się, by jego głos zabrzmiał naturalnie.

- Nie - odparł Giulio. - Kilku znajomych przyjechało do miasta, pójdę więc jutro z nimi na ósmą, a potem wspólnie wybierzemy się na śniadanie.

- To miło - odetchnął z ulgą Jason. - Dobrze, że masz przyjaciół, z którymi możesz się spotkać.

- Jeśli jednak nie będziesz miał ochoty dzisiaj iść sam, możesz przyłączyć się do nas, zapraszam serdecznie.

- Ach nie, w porządku - zareagował błyskawicznie Jason. - Kto wie, może w ogóle nie pójde na mszę. Tak sobie tylko pomyślałem, mówiłem ci już.

- O czym tu myśleć?

- Ach, nieważne. - Jason znowu wzruszył ramionami. - Może zdecyduję się robić coś innego.

- Na przykład?

- Nie wiem, tato. - Jason czuł rosnącą irytację.

- Co to ma być? Teleturniej? Może pójde do kościoła, a może nie. Zwyczajnie chciałem wyrwać się na chwilę z domu. To dla ciebie jakiś problem?

- Nie, skądże - zaprzeczył Giulio. - Podtrzymuję tylko rozmowę.

- Świetnie - szepnął Jason, bezskutecznie próbując skoncentrować się na toalecie.

- Ale wydajesz się trochę zdenerwowany - zauważył ojciec.

W tym momencie Jason zaciął się żyletką.

- Au! - jęknął, krzywiąc się.

Przestraszony Sundance skoczył i oparł łapy o brzeg umywalki, by zobaczyć lepiej, co się stało. Równocześnie strącił na posadzkę pojemnik z kremem do golenia i kostkę mydła.

- Tato, nie jestem zdenerwowany, usiłuję się ogolić - rzekł cierpko Jason, odpychając psa łokciem. Przysunął twarz bliżej lustra. Skóra była tylko lekko drażnięta, w miejscu skaleczenia pojawiła się jedynie mała kropelka krwi, ale to wystarczyło, by go rozdrażnić.

- Masz rację - powiedział Giulio, odciągając Sundance'a za obrożę. - Zejdziemy ci z drogi. Wyraźnie wyprowadzamy cię z równowagi.

Jason westchnął z irytacją.

- Nie wyprowadzacie mnie z równowagi. I nie jestem zdenerwowany. Po prostu nie zdecydowałem się jeszcze, co chcę dzisiaj robić. W porządku?

Giulio pokiwał głową, jak gdyby nagle zrozumiał.

- Ach, więc taki jest powód - mruknął pod nosem.

- To znaczy?

- Niezdecydowanie - wyjaśnił Giulio. - Wierz mi, obłęd jest bliskim sąsiadem niezdecydowania.

Jason parsknął śmiechem.

- W takim razie mieszkam chyba w tym sąsiedztwie od pewnego czasu - oznajmił.

Pomyślał sobie, że dotyczy to zwłaszcza ostatnich trzech dni, odkąd Claudia Loren zjawiała się w Bradley Mansion. Od chwili gdy się rozstali tamtego popołudnia, nie potrafił się zdecydować, jak powinien postąpić. Zaczniemy od tego, że zupełnie opuściła go pewność siebie w kontaktach z płcią przeciwną i dręczyły go dziesiątki wątpliwości. Wydawało mu się, że wyczuwa między nimi wzajemne przyciąganie, ale zdawał sobie sprawę, że mogą to być jedynie jego pobożne życzenia. I co miała oznaczać ta jej uwaga wygłoszona na pożegnanie o spotkaniu pewnego dnia po mszy? Jeśli nawet nie była zaproszeniem, to czy przynajmniej wskazywała na jej zainteresowanie, czy też Claudia starała się tylko być uprzejma, żeby nie poczuł się głupio? Powtarzał w myśli tę scenę niezliczoną ilość razy, zastanawiając się, jak jest naprawdę. A może w ogóle nie powinien do niej podchodzić? W końcu co ona sobie o nim pomyśli, gdy pozna prawdę o jego przeszłości? Czy nie szkoda zachodu? Nie potrafił podjąć decyzji.

- Idziemy, Sundance. - Głos Giulia wyrwał go zamyślenia. - Zejdźmy mu z drogi i pozwólmy pomyśleć.

Jason wziął prysznic, ubrał się i zszedł na dół do salonu, gdzie ojciec oglądał w telewizji turniej golfa. Obok niego na kanapie leżał otwarty futerał na skrzypce.

- Szukujesz się do kolejnego koncertu? - spytał Jason.

- Carnegie Hall - zażartował Giulio, biorąc do ręki instrument i smyczek. - No jak tam? Zdecydowałeś się, co będziesz robił?

Było coś w sposobie, w jaki zadał to pytanie, co kazało Jasonowi przypuszczać, że ojciec pyta o coś więcej niż tylko plany na wieczór. Jednak w tej chwili nie był gotowy na taką rozmowę. Spojrzał na zegar stojący na gzymsie kominka i zorientował się, że dochodzi czwarta.

- Chyba muszę już iść.

- Dokąd się wybierasz?

- Nie wiem jeszcze - odparł Jason, śmiejąc się ironicznie. - Może tylko pojeżdżę sobie w kółko. Sprawdzę, czy uda mi się znaleźć drogę, którą można wydostać się z tego wariatkowa, w którym ostatnio mieszkam.

- Tylko nie wracaj do domu zbyt późno - powiedział Giulio. - W przeciwnym razie będę się o ciebie martwił i zgłoszę na policję twoje zaginięcie.

- Dobrze, mamusiu - odrzekł Jason z uśmiechem.

Po czym chwycił kurtkę i wyszedł.

ROZDZIAŁ

dwudziesty trzeci

- Hej, słyszałem, że tam jest naprawdę pięknie - zawołał Jason.

Stał na chodniku w pobliżu bocznego wejścia do kościoła pod wezwaniem Najświętszego Sakramentu. Gdy tylko skończyła się msza, szybko zbiegł po stromych stopniach przed główną bramą świątyni i okrążył gmach, by zająć stanowisko dokładnie w tym miejscu.

Na dźwięk jego głosu Claudia Loren, która właśnie wyszła z kościoła w tłumie innych parafian, zatrzymała się i popatrzyła na niego. Nie wydawała się specjalnie zaskoczona jego obecnością. Posłała mu promienny uśmiech i zeszła na chodnik.

- Naprawdę - odkrzyknęła. - Powinieneś częściej tu przychodzić, żeby to docenić.

Jason nie mógł nie odwzajemnić uśmiechu, a wątpliwości dręczące go od kilku dni zaczęły ustępować.

- Jakbym słyszał mojego ojca - powiedział, gdy w końcu stanęli twarzą w twarz.

- Bez wątplenia jest bardzo mądrym człowiekiem.

- Zdarza mu się.

Claudia spojrzała na niego łagodnymi błękitnymi oczami.

- Wybacz ciekawość, ale co cię tu dzisiaj sprowadza? - spytała.

- No wiesz, byłem na mszy - odrzekł, uśmiechając się szeroko. - Siedziałem parę rzędów za tobą.

Tym razem Claudia sprawiała wrażenie szczerze zaskoczonej.

- Naprawdę? Dlaczego nie dałeś mi znać, że jesteś?

- Rysowałeś, kiedy wszedłem - wyjaśnił Jason, wruszając ramionami. - Nie chciałem ci przeszkadzać.

Mówił prawdę. Jason wolał obserwować ją z pewnej odległości, zachwycając się - tak jak za pierwszym razem, gdy ją ujrzał - aurą spokoju, jaką wokół siebie roztaczała, pochłonięta pracą. Ten spokój towarzyszył jej, nawet gdy odłożyła szkicownik, słysząc pieśń rozpoczynającą mszę. W głębi duszy Jason czuł, że nie powinien jej przeszkadzać, dlatego aż do tej chwili trzymał się z daleka.

- Wiesz, że nie miałabym nic przeciwko temu - powiedziała cicho Claudia. - Byłoby miło, gdybyś siedział obok mnie. - Następnym razem będę pamiętał - obiecał.

Stali przez chwilę w milczeniu. Dzień był wyjątkowo ponury, od rana z zasnutego chmurami nieba padał deszcz ze śniegiem, a ulice pokrywała brudna breja. Choć teraz na chwilę przestało padać, w powietrzu wciąż wisiała mgła, a ich oddechy tworzyły małe obłoczki pary.

Jason wsadził ręce głęboko w kieszenie kurtki i wskazał ruchem głowy jej szkicownik.

- Dużo dzisiaj narysowałaś? - spytał.

- Coś niecoś - odrzekła. - Chciałbyś zobaczyć?

- A niby po co tutaj przyszedłem? - Jason uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiem, może po to, by się pomodlić? - powiedziała z szelmowskim uśmiechem. - To może zaprosisz mnie na kawę? To właściwie byłoby bardzo miłe z twojej strony, ponieważ zmarzłam na kość.

Jason udał zaskoczenie.

- Hm - rzekł w zamyśleniu, udając, że rozważa jej propozycję. - Szczerze mówiąc, nawet o tym nie pomyślałem, ale skoro już o tym wspomniałaś... - Umilkł. - Właściwie to jestem głodny. Co powiedziałabyś na wspólną kolację, a kawę trochę później?

Claudia skinęła z uśmiechem głową.

- Już myślałam, że nigdy mnie nie zaprosisz.

Wkrótce siedzieli w przytulnej meksykańskiej restauracji w północnej części miasta. Sala rozbrzmiewała gwarem rozmów, śmiechem i tradycyjną muzyką meksykańską. Popijając piwo, czekali na kolację, nachyleni ku sobie, żeby móc prowadzić rozmowę w tym hałasie. Za namową Jasona Claudia otworzyła w końcu szkicownik i pozwoliła mu obejrzeć swoje prace. Rysunki przedstawiały witraże, święte figury albo fragmenty misternych zdobień sklepienia, których mniej wprawne oko mogłoby w ogóle nie zauważyć. Claudia zdawała się dostrzegać wszystko, każdy szczegół, począwszy od gołąbka pokoju nad amboną, a kończąc na małej sówie wyrzeźbionej na szczycie jednej z kolumn przy wejściu do kościoła.

- Sakrament małżeństwa - zauważył Jason, podziwiając rysunek jednego z siedmiu witraży zdobiących okna kościoła i przedstawiających siedem świętych sakramentów. Miał wrażenie, że Claudia wychwyciła każdy, najmniejszy nawet detal. - To jest naprawdę piękne.

- Dziękuję - odrzekła ze skromną minką Claudia.

Jason kręcił tylko głową z zachwytem, oglądając kolejne szkice.

- Mój Boże, wszystkie są fantastyczne! - powiedział z entuzjazmem. - Jesteś taka utalentowana. Czy sprzedajesz swoje prace?

Claudia zaśmiała się cicho.

- Nie - odparła, odgarniając z twarzy kosmyk ciemnych włosów. - Nigdy bym tego nie zrobiła.

- Ale dlaczego? - spytał Jason. - Jestem pewien, że w bardzo krótkim czasie stałabyś się sławna.

- Naprawdę nie zależy mi na sławie zdobytej w taki sposób - wzruszyła ramionami Claudia. - A moje prace nie są nawet w połowie tak dobre, jak sądzisz. Kocham sztukę i po zdobyciu dyplomu chciałabym po prostu uczyć. Kto wie, może któryś z moich uczniów stanie się sławny. W pełni by mnie to satysfakcjonowało. - Zamknęła szkicownik i odłożyła go na bok. - Tak czy owak na razie mi to wystarczy.

Jej słowa wywołały uśmiech na twarzy Jasona.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- Ktoś z moich znajomych, kto pisze wiersze, całkiem niedawno powiedział mi dokładnie to samo. Widocznie poeci i malarze mają ze sobą wiele wspólnego.

- Sztuka jest sztuką. Czy używasz ołówka do pisania czy do rysowania, wyrażasz w ten sposób część siebie. Niekoniecznie chcesz pokazać ją innym, przynajmniej dopóki nie będziesz gotów.

- A kiedy zwykle nadchodzi ten moment?

- Cóż, czasem nigdy - roześmiała się Claudia. - My, artyści, często bywamy nieśmiali.

- Ty nie powinnaś być, w żadnym razie - zapewnił ją, po czym dodał z wahaniem: - Ale, hm, czy dlatego chodzisz na mszę sama?

- Próbujesz mnie w ten sposób wybadać, czy mam chłopaka? - spytała.

- Chyba tak - zaśmiał się Jason.

Claudia zrobiła dłuższą przerwę dla większego efektu.

- W tej chwili nie mam - odrzekła w końcu.

- Dlaczego?

- Jestem wybredna. - Kąciki jej ust podniosły się w zniewalającym uśmiechu, któremu Jason absolutnie nie potrafił się oprzeć. Im dłużej z nią przebywał, tym bardziej był nią zauroczony.

- Możesz sobie na to pozwolić - powiedział, nie mogąc oderwać od niej oczu. - Ale dlaczego wciąż chodzisz do kościoła sama? - zastanawiał się na głos. - Tylko po to, by rysować?

- Cóż, tak chyba było na początku - przyznała Claudia. - Ale jest też inny powód.

- Jaki? - zaciekał się Jason.

- Nie wiem, jak ci to wyjaśnić - szepnęła Claudia. - Chodzi o to, że nawet nie rozumiem większości gestów i modlitw, ale mam świadomość, że jest w nich coś podnoszącego na duchu. Zauważyłam, że tam nigdy nie czuję się sama. To doprawdy przyjemne uczucie.

Claudia pochyliła się ku niemu, wspierając brodę na rękach. Przez jakiś czas przyglądała mu się badawczo, jak gdyby był obiektem, który zamierzała narysować.

- A ty? - spytała w zamyśleniu. - Chodzisz co tydzień do kościoła, jak przystało na porządnego katolickiego chłopca?

- Właściwie nie - odparł Jason. - Przynajmniej do niedawna.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może dlatego, że na pewien czas zaprzedałem się fałszywym bogom.

Claudia wpatrywała się w niego jeszcze intensywniej.

- Mówiłeś, że przez kilka lat pracowałeś w Los Angeles. Czy tam właśnie ich znalazłeś?

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewny, czy znalazłem ich tam, czy przyjechali za mną stąd - roześmiał się Jason.

- Co skłoniło cię do wyjazdu na Zachód?

Jason odchylił się na oparcie krzesła i upił łyk piwa.

- Nigdy tak naprawdę nie chciałem pracować w rodzinnej firmie - wyjaśnił. - Przynajmniej nie w tamtym okresie, gdy byłem w college'u. Więc gdy tuż po ukończeniu studiów otrzymałem interesującą ofertę pracy od pewnej firmy z Los Angeles, zdecydowałem się ją przyjąć i przenieśliem się na Zachód. Podobało mi się tam. Chciałbym kiedyś wrócić.

- To dlaczego przyjechałeś do domu?

Jason poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić, znów przygniótł go ciężar niezdecydowania, nie wiedział bowiem, ile prawdy odważy się jej zdradzić. Po raz pierwszy od miesięcy zainteresował się jakąś kobietą, i to chyba ze wzajemnością, dlatego bał się napomknąć o czymkolwiek, co by zniszczyło ten stan. Mimo to w Claudii było coś, co sprawiało, że pragnął wyznać jej wszystko, bez względu na konsekwencje. Zawiodła go jednak odwaga.

- To naprawdę długa i nudna historia - rzekł w końcu ze smutnym uśmiechem, po czym umilkł.

Claudia zdjęła łokcie ze stołu i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

- Niech zgadnę - powiedziała cicho - nie chcesz w tej chwili o tym mówić?

- Właściwie nie - potwierdził Jason. - Jeszcze nie teraz.

Parsknęła śmiechem.

- Za duża poufalość jak na pierwszą randkę? - spytała, spoglądając na niego z ukosa.

- Może to całkiem niezły pomysł zostawić co nieco na drugą - odrzekł z nutką nadziei w głosie.

- Hm, będę musiała to przemyśleć - drażniła się z nim. - Na razie wiem tylko, że ciebie interesuje biznes, a mnie sztuka. Podobno te dwie rzeczy nie idą ze sobą w parze.

- Czy jest jakikolwiek powód, by nie spróbować?

- A widzisz jakiś?

Już miał powiedzieć, że nie potrafi wymyślić absolutnie żadnego, lecz zanim zdążył się odezwać, zjawił się kelner z zamówioną przez nich kolacją.

ROZDZIAŁ

dwudziesty czwarty

Zadzwoił telefon.

Był późny ranek, a Jason wciąż jeszcze leżał w łóżku. Nie spał od dość dawna, myśląc cały czas o Claudii. Rozpamiętywał niemal minuta po minucie wczorajszy wieczór.

A skończył się on dla niego zdecydowanie za wcześnie. Po wyjściu z restauracji Jason podwiózł Claudię do jej samochodu zaparkowanego pod kościołem. Po drodze zaproponował, by wstąpili do jakiegoś klubu na drinka. Ku jego wielkiemu rozczarowaniu Claudia odmówiła, tłumacząc się tym, że czeka ją jeszcze sporo pracy i nie chce wracać do domu zbyt późno.

Wyglądało to, jakby chciała się go pozbyć, i Jason uznał jej odmowę za znak, że być może wszystko wcale nie potoczyło się tak dobrze, jak mu się wydawało. Lekko przygnębiony, nie poprosił jej nawet o kolejne spotkanie. Ale wtedy Claudia wystąpiła z tą propozycją. Wymienili numery telefonów i w rezultacie wieczór zakończył się dla niego optymistycznie.

Jednak teraz Jasona znowu ogarnęły wątpliwości. Czy Claudia mówiła poważnie? Naprawdę chce, żeby do niej zadzwonił? Czy powinien to zrobić i zaryzykować odrzucenie, gdy dziewczyna dowie się o nim prawdy? Te pytania nie dawały mu spokoju i znów poczuł przygniatający go ciężar, ponieważ nie potrafił podjąć żadnej decyzji.

Telefon zadzwonił po raz drugi.

Jason westchnął. W pokoju było zimno i nie miał ochoty opuścić ciepłej pościeli. Słyszał jednak wcześniej ruch na dole, gdy Giulio wychodził z psem na spacer, był więc w domu sam. Burcząc coś z niezadowoleniem, wstał i przeszedł do sypialni ojca, by odebrać telefon.

To była Claudia.

- Cześć, jak długo mam czekać, aż zadzwonisz? - ofuknęła go żartobliwym tonem. - Siedzę od rana przy telefonie!

*

Gdy Jason podjechał furgonetką ojca pod dom, w którym mieszkała Claudia;

dziewczyna czekała na niego na progu. Dzień był pogodny, stała więc z twarzą zwróconą ku ciepłym promieniom słońca. Widząc, że Jason skręca na podjazd, pomachała mu i zbiegła po schodkach.

Jasonowi usta same rozciągnęły się w uśmiechu. Podczas wcześniejszej rozmowy nie spytał jej, dokąd ma ochotę się wybrać lub co robić. Właściwie było mu to zupełnie obojętne. Wystarczyła mu świadomość, że chciała się z nim znowu zobaczyć. Wziął więc prysznic i ubrał się w szalonym pośpiechu, zostawił ojcu krótki liścik z wiadomością, że wróci po południu, i złapał kluczyki do furgonetki.

Teraz, patrząc na zbliżającą się dziewczynę, uświadomił sobie, że zapomina o dobrych manierach. Wyskoczył z samochodu i okrążył go pędem, by otworzyć przed nią drzwi.

- Cześć - przywitała się wesoło, wsiadając do furgonetki.

- Witaj - rzekł Jason, wdychając delikatny zapach jej perfum.

- Przepraszam za mój poranny telefon. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałam ci niedzielnych planów.

- Zupełnie je zrujnowałaś - zażartował Jason. - Ale jakoś to przeboleję.

Zatrzasnął drzwi i wrócił na swoje miejsce za kierownicą. Uruchomił silnik i spojrzał na nią pytająco.

- A więc co zamierzasz dzisiaj robić? Masz jakieś szczególne życzenia?

- Cóż - zaczęła - myślałam o wczorajszym wieczorze i o tym, że chyba sprawiało ci przyjemność oglądanie moich szkiców.

- Rzeczywiście - potwierdził zgodnie z prawdą.

- Wielką przyjemność.

- W takim razie co ty na to, żeby przyjrzeć się prawdziwym dziełom sztuki?

- Równie dobrym jak twoje? - spytał z nutą sceptycyzmu.

- Co najmniej - parsknęła śmiechem Claudia.

- W takim razie chętnie. Prowadź.

Niebawem, po krótkiej jeździe przez miasto, wkroczyli do muzeum Rhode Island School of Design. Jako magistrantka, Claudia nie musiała płacić za wstęp, zaczęła więc na niego przy wejściu do galerii, a Jason tymczasem kupował bilet dla siebie.

Gdy odwrócił się, szukając jej wzrokiem, zwrócił uwagę na świetnie leżące dzinsy i trykotową bluzkę, które miała na sobie. Był to prosty, lecz bardzo ponętny strój, który podkreślał walory jej smukłej figury. Jason schował portfel, starając się nie przyglądać się jej zbyt natrętnie.

- Idziesz? - przywołała go skinieniem Claudia.

- Oczywiście.

*

- Uwielbiam to miejsce - powiedziała, dotykając lekko jego ręki i prowadząc go do środka.

Wędrowali po kolejnych salach przez całe popołudnie. Okazało się, że muzeum jest znacznie większe, niż wydało się Jasonowi na pierwszy rzut oka. Prawdę mówiąc, za duże, by mógł w tak krótkim czasie je docenić, i czuł się trochę przytłoczony. Natomiast Claudia wyraźnie była w swoim żywiole. Nieważne, które dzieło sztuki podziwiali - czy była to rzymska rzeźba, czy obraz Moneta lub Cezanne'a - zdawała się wiedzieć o nim wszystko. Jason czuł się, jakby wynajął prywatnego przewodnika.

W końcu zatrzymali się, by złapać oddech, i usiedli na ławeczce pośrodku ogromnej sali, w której zgromadzono kolekcję dwudziestowiecznego malarstwa. Jason wyciągnął nogi i rozejrzał się niepewnie, nie wiedząc, któremu obrazowi poświęcić uwagę. Tak naprawdę jego myśli koncentrowały się jednak na Claudii, która siedziała teraz bardzo blisko niego.

- No i co o tym sądzisz? - spytała, muskając ramieniem jego ramię. - Czy to nie są niezwykle prace?

- Rzeczywiście. - Jason był skłonny się z nią zgodzić, ponieważ nie potrafił znaleźć na nie innego określenia. - Ciekawe, ile można dostać za taki obraz.

Claudia uśmiechnęła się pod nosem.

- Co w tym śmiesznego? - spytał Jason.

- Ty naprawdę masz umysł biznesmena, prawda?

- Co w tym złego?

- Cóż, miło mieć pieniądze. I oczywiście każdy marzy, by płacono mu za jego pracę, lecz artyści nie po to wstają codziennie z łóżka i robią to, co robią. Pieniądze nie stanowią dla nich motywacji.

- Co wobec tego?

Claudia popatrzyła w zamyśleniu na obrazy i westchnęła.

- Trudno to wyjaśnić - powiedziała - lecz widzisz, prawdziwa sztuka obnaża część ciebie, coś, co tkwi w tobie bardzo głęboko, z czego istnienia czasem nawet nie zdajesz sobie sprawy. A to oznacza, że przez sztukę stajesz się bezbronny, a to może być naprawdę bolesne. Ale wiesz, jeśli robisz to dobrze, możesz stworzyć coś autentycznie pięknego. Coś, co przetrwa.

Umilkła, wpatrując się przez chwilę w swoje dłonie.

- Miłość i sztuka są pod tym względem bardzo podobne - szepnęła, po czym podniosła

głowę, uśmiechając się z lekkim zakłopotaniem. - Ojej - jęknęła. - Czy to zabrzmiało tak kiepsko, jak mi się wydaje?

- Nie w twoich ustach - odrzekł Jason. Mimo że to porównanie nigdy nie przyszłoby mu do głowy, rzeczywiście w jej ustach brzmiało prawdziwie. Nie znał się na sztuce i dawno zwątpił w to, że wie cokolwiek na temat miłości, lecz intrygowało go, iż Claudia potrafi z taką łatwością wyrazić swoje zdanie na temat obu. W jego oczach ta umiejętność dodawała jej jeszcze uroku. - Poza tym - mówił dalej - mimo że mam umysł biznesmena, potrafię docenić twoje wyznanie, że pragniesz stworzyć coś, co przetrwa. Bo czy nie tego właśnie pragnie niemal każdy z nas? Tylko że różni ludzie dążą do tego w różny sposób.

Twarz Claudii rozpromieniła się w uśmiechu.

- Czyli myślisz, że sztuka i biznes jednak mogą iść w parze?

- Nie wykluczam takiej możliwości - odrzekł Jason. - Chyba nie zaszkodzi spróbować.

- Kto wie - odparła pogodnie. - Może być zabawnie. Ale nadal wydaje mi się, że mamy zupełnie inny sposób patrzenia na świat. Nie przeszkadza ci to?

Lekki ton jej głosu wskazywał, że nie musi traktować jej pytania zbyt poważnie. Mimo to Jason pokręcił głową i utkwiał wzrok w podłodze, ponieważ nagle powróciły dręczące go wątpliwości. Nagle przypomniały mu o przeszłości ze zwiłokrotnioną siłą, ostrzegając, by porzucił nadzieję, że kiedykolwiek znajdzie jeszcze szczęście.

- Nie - powiedział cicho. - W ogóle mi to nie przeszkadza.

- A jest coś, co ci przeszkadza? - Claudia przyjrzała mu się uważnie. Ponieważ Jason nie odpowiadał, wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

- Chodzi o tę długą historię, której nie chciałeś mi opowiedzieć wczoraj wieczorem? - spytała łagodnie. - Możesz, jeśli chcesz, zrobić to teraz. W końcu jest to już nasza druga randka - dodała żartobliwie.

Jason podniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały. Starał się ukryć niepokój, lecz zdawał sobie sprawę, że bezskutecznie.

- Może kiedy indziej - wykręcił się.

- A dlaczego nie teraz?

- Ponieważ cię lubię - wykrztusił wreszcie.

Claudia nic na to nie powiedziała, lecz całkiem nieoczekiwanie ujęła jego twarz w dłonie i przycisnęła usta do jego warg, zagłuszając złe wspomnienia.

- No cóż - szepnęła. - Mamy chyba więcej wspólnego, niż nam się wydawało. Co powiesz na to, byśmy zostawili resztę na później?

Wzięła go za rękę i ruszyli do wyjścia.

ROZDZIAŁ

dwudziesty piąty

Jason stał w oknie salonu i obserwował trawnik przed pensjonatem. Minęły trzy tygodnie. Luty ustąpił miejsca marcowi i śnieg stopniał niemal całkowicie, a w ogródkach krokusy przebijały się przez rozmokłą ziemię.

Gdy chłonął wzrokiem tę scenerię, uderzyło go, jak inny wydał mu się nagle świat.

Przypuszczał, że powinien podziękować za to Claudii. Widywali się coraz częściej i wydawało się, że wzajemna sympatia zaczyna przeradzać się w coś głębszego. W obecności Claudii czuł radość, która rosła z dnia na dzień. Ale jednocześnie to uczucie studził wielki niepokój. Jason nie miał pojęcia, co mu przyniesie przyszłość. Starał się więc, by za wszelką cenę sprawy nie wymknęły się spod kontroli.

- Planujesz coś dzisiaj dla mnie zrobić, czy będziesz tylko gapić się przez okno przez całe popołudnie? - Głos Giulia obudził go z zamyślenia. Jason odwrócił się i kiwnął głową.

- Po prostu zrobiłem sobie chwilę przerwy, by podziwiać widok z okna - odrzekł z uśmiechem.

Giulio podszedł i również wyjrzał na dwór.

- Chyba zima nareszcie się skończyła - powiedział po chwili. - Może spróbuje jeszcze raz czy dwa nas zaatakować, ale to już będą jej ostatnie podrygi.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - rzekł Jason.

- Moja krew jest wciąż za rzadka na ten klimat.

Giulio parsknął śmiechem, po czym odchrząknął znacząco, jak gdyby szykował się do rozmowy na poważny temat.

- Co prawda mieszkamy pod jednym dachem - zaczął - ale ostatnio nie widuję cię zbyt często po pracy, a chciałem z tobą porozmawiać.

- O czym?

- O tobie. Minęły dwa miesiące od twojego przyjazdu do domu i wygląda na to, że trochę się pozbierałeś.

- Chyba tak - przytaknął Jason.

- To dobrze. Ale powiedz mi, masz już jakieś plany na przyszłość? Oczywiście

absolutnie cię nie poganiam...

- Jeszcze żadnych, tato. Na razie żyję z dnia na dzień, mam nadzieję, że to rozumiesz.

- A co myślisz o tym miejscu? - spytał ojciec. - Czy praca tutaj okazała się rzeczywiście taka okropna?

Jason wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem? - powiedział. - Na początku czułem się trochę dziwnie, ale ostatnio sytuacja się poprawiła.

- Sytuacja tutaj?

- Nie, w ogóle.

- Cóż, odpowiednia kobieta potrafi zdziałać cuda - zauważył Giulio.

- Skąd ci przyszło coś takiego do głowy? - roześmiał się Jason nerwowo.

- Przecież mam oczy. Zdradź przynajmniej, jak ma na imię.

Jason skapitulował, zdawał sobie bowiem sprawę, że ojca nie zwiedzie.

- Claudia.

Twarz Giulia rozjaśnił błysk zrozumienia.

- Ach, czy to nie ta fotografka, panna Loren? - spytał radośnie.

Jason tylko skinął głową w odpowiedzi.

Giulio poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się z aprobatą.

- To świetnie, Jasonie. - W jego głosie brzmiało wyraźne zadowolenie. - Wydała mi się bardzo miła. Cieszę się. Ale czy ty wiesz, co robisz? - dodał śmiertelnie poważnym tonem.

Jason zastanawiał się chwilę nad jego pytaniem.

- Ani trochę - odparł w końcu z rozbijającą szczerością.

Giulio zakasłał.

- To dobrze - stłumił chichot. - Ponieważ właśnie wtedy, gdy człowiekowi wydaje się, że wie, co robi, wpada w tarapaty.

Skierował się do jadalni, lecz przystanął jeszcze na chwilę.

- Jedna z „pań od lasagne” podrzuciła dzisiaj kielbaski z papryką - oznajmił. - Czy mogę liczyć na twoje towarzystwo przy kolacji?

Jason uśmiechnął się ze zmieszaniem i pokręcił głową.

- Ach, rozumiem - powiedział ojciec - czyli jednak masz jakieś plany.

I zadowolony z siebie opuścił salon.

ROZDZIAŁ

dwudziesty szósty

Jason rzeczywiście miał plany na wieczór.

Gdy skończył pracę w pensjonacie, szybko udał się do domu, by wziąć prysznic i się przebrać. Po krótkim czasie wyszedł, bezceremonialnie odpychając ciekawskiego Sundance'a, wsiadł do furgonetki i ruszył do miasta.

Oczywiście jechał do Claudii. Mieli wybrać się razem na kolację i być może do kina. Gdy jednak stanął przed jej drzwiami, okazało się, że czeka go niespodzianka.

- Co powiesz na to, żebyśmy zrezygnowali z wypadu do restauracji i zjedli dzisiaj u mnie? - spytała Claudia ku jego zaskoczeniu.

Jason zorientował się, że decyzja właściwie została już podjęta, ponieważ z kuchni roznosił się smakowity aromat jakiejś potrawy z czosnkiem. Najwyraźniej kolacja była już w fazie przygotowania.

- Jakże mógłbym odmówić? - roześmiał się.

Claudia pocałowała go.

- Nie możesz - oświadczyła, wciągając go do środka. - A teraz usiądź na kanapie, zrelaksuj się i nie wchodź mi w drogę przez kilka minut, żeby udało mi się dokończyć dzieła.

Mieszkanie Claudii było nieduże, lecz przytulne. Jedna sypialnia, łazienka, skromny salon i jeszcze skromniejsza kuchnia. Wystrój był prosty - kilka obrazów i ustawionych z pomysłem roślin - lecz elegancki, Claudia miała przecież artystyczny zmysł. Jason rozsiadł się wygodnie na kanapie.

- A co gotujesz? - zawołał do niej. - Cokolwiek to jest, pachnie fantastycznie.

- Jestem raczej tradycjonalistką kulinarną - odpowiedziała Claudia, wytknąwszy głowę z kuchni - więc na kolację będzie zwykłe spaghetti z czosnkiem i oliwą. Do tego sałata i chleb czosnkowy. Myślisz, że to wystarczy?

- Brzmi świetnie.

- Cieszę się - odrzekła Claudia z uśmiechem i zniknęła z powrotem w kuchni. Po chwili przyniosła butelkę wina oraz korkociąg i postawiła je przed Jasonem na niskim stoliku.

Gdy Jason otwierał wino, jego wzrok przypadkiem zabłądził w róg pokoju, gdzie stały sztalugi i przybory do rysowania i malowania. Na sztalugach zobaczył szkicownik otwarty na rysunku, który przedstawiał front Bradley Mansion. Podobnie jak szkice z kościoła, również on stanowił dowód na niezwykłą spostrzegawczość Claudii. Kamienne elementy elewacji pod oknami, urny po obu stronach schodków, kołatka w kształcie lwiej głowy. Nie zgadzał się tylko jeden szczegół - Claudia upiększyła bowiem trawnik przed domem, dodając wymyślną fontannę z niewielkim posążkiem jakiejś wdzięcznej bogini.

- *Sante* - powiedziała Claudia, siadając obok Jasona na kanapie i biorąc od niego kieliszek z winem. Zsunęła pantofle i podwinęła nogi.

- Prawdę mówiąc, Włosi mówią *salute* - zaśmiał się Jason.

- Powiemy *salute*, kiedy ty ugotujesz dla mnie kolację - odparła, pochylając się ku niemu.

Jason przełknął nerwowo ślinę, całkowicie ulegając czarowi jej spojrzenia, ponętnych krągłości ciała i zapachu włosów. Pragnienie, by wziąć ją w ramiona, było tak silne, że z najwyższym trudem udało mu się je powściągnąć.

- Zgoda - wykrztusił wreszcie.

Upił łyk wina. Poczul ciepło rozlewające się po jego ciele i oparł się wygodnie, starając się choć trochę rozluźnić.

- Bardzo mi się podoba ten rysunek - rzekł, wskazując na sztalugi.

- Dziękuję. Naszkicowałam go, wykorzystując jedno ze zdjęć, które zrobiłam przed pensjonatem tamtego dnia, gdy się spotkaliśmy.

- Wyszedł ci świetnie - pochwalił Jason. - Ale co to za fontanna?

- Ach, to taki drobny pomysł, który mi przyszedł do głowy - zaśmiała się. - Podczas rysowania przez cały czas miałam wrażenie, że czegoś tu brakuje, lecz nie mogłam dojść czego. W końcu spróbowałam dodać fontannę od frontu i spodobał mi się ten pomysł, więc zostawiłam ją tam o tak, dla zabawy. Myślę, że nadaje temu domowi charakter włoskiej willi.

Jason pociągnął kolejny łyk wina.

- *Villa* - powtórzył. - To interesujący pomysł.

- To interesujące miejsce - rzekła Claudia.

Wyraz jej twarzy nagle się zmienił. Westchnęła cicho.

- Co się stało? - spytał Jason.

Claudia zawahała się.

- Pomyślałam - powiedziała w końcu, odstawiając kieliszek - że pewnego dnia zechcesz zrealizować twój plan powrotu do Los Angeles. Zastanawiam się, dlaczego chcesz

tam wracać, zostawić rodzinę i taki piękny dom.

Teraz Jason westchnął.

- Wiem, wiem, to długa historia - naburmuszyła się, zanim zdążył otworzyć usta. - Ale naprawdę chciałabym ją kiedyś usłyszeć. Myślę, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś ją opowiedział.

Jason obracał kieliszek w dłoni.

- Usłyszysz ją - obiecał. - Przyrzekam.

- W takim razie trzymam cię za słowo.

- W to nie wątpię - szepnął Jason.

Claudia wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. Delikatnie przesunęła palcami po policzku i zanim zdążył się poruszyć, musnęła wargami jego usta. Pocałowała go, najpierw bardzo delikatnie, potem namiętniej, aż w końcu przyłgnęła do niego, popychając go na oparcie kanapy.

Jason poddał się, niezdolny do dalszego oporu, wątpiąc, czy w ogóle chce się jeszcze opierać, lecz mimo to wciąż starał się powstrzymać emocje.

Claudia znowu dotknęła jego twarzy.

- Pragnę cię poznać, Jasonie - wyszeptala. - Pragnę wiedzieć o tobie wszystko. - Umilkła na chwilę i przysunęła wargi do jego ucha. - Jak się z tym czujesz? - spytała jeszcze cichszym szeptem.

- Bezbronny - spróbował zażartować. - Zupełnie jak artysta.

Claudia też zaśmiała się cicho i na moment odsunęła się od niego.

- W takim razie - powiedziała - jeśli dobrze to rozegramy, może zdarzy się coś pięknego.

Jeszcze raz dotknęła wargami jego ust. Ale w tym momencie coś się zdarzyło - w kuchni rozległ się syk wody zalewającej kuchenkę i Claudia zerwała się, by ratować spaghetti.

ROZDZIAŁ

dwudziesty siódmy

Dokładnie tak, jak przepowiedział Giulio, po kilku dniach zima postanowiła jeszcze raz zaatakować. Tego dnia, wczesnym rankiem, dojeżdżających do pracy spotkała przykra niespodzianka. Drogi pokryła gołoledź, a z nieba padał śnieg z deszczem, pędzony porywami północno-wschodniego wiatru. Kilka godzin później, gdy temperatura zaczęła się powoli podnosić, opady stopniowo zaczęły przechodzić w lodowatą ulewę.

Na zewnątrz panowała ponura aura, a w Bradley Mansion było miło i przytulnie - w kominkach ogień płonął od samego rana. Jason, po wykonaniu wszystkich powierzonych mu prac, zaszył się w swoim prowizorycznym biurze w garderobie. Przed jego oczami wisiał rysunek rezydencji autorstwa Claudii. Jason pracował nad planem marketingowym dla pensjonatu, ale w tej chwili zrobił sobie krótką przerwę. Usiadł wygodnie w fotelu i wsłuchując się w wycie wiatru, wpatrywał się w szkic i myślał o dziewczynie.

Z każdym mijającym dniem jego uczucie do Claudii stawało się coraz mocniejsze. Mimo że spotkali się po raz pierwszy kilka tygodni temu, miał wrażenie, że znał ją od zawsze. Było to cudowne uczucie, lecz jednocześnie na ich znajomości kładło się cieniem to, co wydarzyło się między nim a Amandą. Odczuwał wyrzuty sumienia większe niż kiedykolwiek, ale z jakiegoś powodu wydawało mu się, że niesłusznie. Wciąż też dręczyła go sprawa powrotu do Los Angeles. Claudia sprawiła, że myśl o pozostaniu tutaj stała się kusząca, lecz z drugiej strony - nadal chciał wyjechać.

Jason oderwał spojrzenie od rysunku i powiódł wzrokiem po zagrożonym pomieszczeniu. Zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później musi dokonać wyboru. Na razie jednak mógł tylko czekać na to, co przyniesie nowy dzień.

Zszedł na dół i minął salon, gdzie pani Martinez usiłowała wyjaśnić Raymondowi swoją łamaną angielszczyznę, że ma jakiś problem z odkurzaczem. Mówiła, żywo gestykulując i wskazując co chwila na wtyczkę i gniazdko w ścianie.

- Tak, tak, rozumiem - mówił niecierpliwie Raymond. - Odkurzacze nie działają, jak się go podłączy tutaj. Co w tym nowego? Niech pani spróbuje wetknąć wtyczkę gdzie indziej.

- Co ugryzło dzisiaj Raya? - spytał Jason później, gdy był już z Natalie w gabinecie.

- Nie mam pojęcia - odparła siostra, wzruszając ramionami. - Ostatnio ciągle jest w złym humorze.

- Coś się stało? - zastanawiał się Jason.

- Naprawdę nie wiem. Pytałam go parę dni temu, czy ma jakieś kłopoty, ale mnie zbyt, tłumacząc, że ma mnóstwo spraw na głowie.

Rozmowę przerwało trzaśnięcie drzwi wejściowych i po chwili w progu gabinetu pojawiła się znajoma postać listonosza Carla. Był przemoczony od stóp do głów, a z kapelusza kapała mu woda. Zatrzymał się w holu i wyjął z torby plik listów.

- Dzień dobry, Carl, jakoś udało ci się dotrzeć! - roześmiała się Natalie, wychodząc z za biurka.

- Ach, wiesz, jak to jest - rzekł z uśmiechem. - Nie powstrzyma mnie ani deszcz, ani śnieg, ani mrok nocy, chociaż dzisiaj pogoda usiłuje zrobić to za wszelką cenę. Na zewnątrz jest koszmar.

- A jak tam na ulicach, Carl? - zainteresował się Jason. - Jeździ się trochę lepiej?

- Śnieg całkiem już stopniał, ale ulice wyglądają jak potoki i trzeba jechać bardzo wolno.

Natalie podeszła do Carla i wyjęła mu z rąk plik listów.

- Mam nadzieję, że nie ma tu rachunków - ostrzegła go.

- Ajajaj - jęknął Carl. - Wszyscy zawsze mają pretensję do listonosza.

- A kogo innego mamy obwiniać?

Carl zaśmiał się cicho i rozejrzał się po gabinecie pełnym nadziei wzrokiem.

- Masz czas na szybką kawę? - Natalie, przeglądając pocztę, w lot pojęła aluzję.

- Och, z największą chęcią, ale tak na jednej nodze - odrzekł Carl. - Bo zaraz muszę pędzić dalej.

- Myślę, że da się zrobić - powiedział Jason, idąc do kuchni.

Gdy Carl już wyszedł, Jason stanął przy oknie, patrząc, jak wiatr wygina gałęzie drzew. Tymczasem Natalie segregowała pocztę. Nagle wydała cichy okrzyk zadowolenia.

- Co się stało? - spytał Jason, odwracając się od okna.

Natalie uśmiechnęła się i pomachała małym plikiem czeków.

- Zaliczki za pokoje?

- Cała masa - odpowiedziała z radością. - Drugie tyle przyszło wczoraj.

- To wspaniale. - Jason uśmiechnął się do siostry, wyglądała bowiem, jak gdyby właśnie wygrała na loterii. - Ale dlaczego aż tyle naraz?

- Cóż, zbliża się wystawa antyków w centrum kongresowym - wyjaśniła Natalie. - A

zaraz potem wystawa kwiatów. Zawsze w tym okresie mamy komplet gości.

Jason przysiadł na brzegu biurka, przyglądając się, jak siostra przybija pieczątki na czekach, przygotowując je do złożenia w banku.

- Czyli to był niezły połów? - zauważył.

- Uff - mruknęła Natalie. - Nie masz pojęcia, jak bardzo są nam w tej chwili potrzebne pieniądze. Mamy masę rachunków do zapłacenia, nie wspominając o jednym czy dwóch honorariach. Muszę zanieść to dzisiaj do banku.

W tym momencie potężny podmuch wiatru uderzył nagle w okna, a po szybach spłynęły strumienie deszczu. Natalie wzdrygnęła się.

- Boże, na zewnątrz jest koszmarnie - powiedziała. - Nienawidzę prowadzić samochodu w taką pogodę. - Umilkła na chwilę, jak gdyby próbowała podjąć jakąś decyzję, po czym spojrzała na Jasona z bólem. - Hmm - zaczęła z wahaniem, a jej głos nabrał błagalnego tonu - czy mógłbyś wyświadczyć mi drobną przysługę?

Jason skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na nią sceptycznie.

- Czy ona obejmuje jazdę w taką pogodę? - spytał.

- Możliwe - odrzekła Natalie. - Chyba że wolałbyś pójść za mnie do banku na piechotę.

Jason nie miał nic przeciwko temu, by spełnić prośbę Natalie i pojechać do banku. Jednocześnie nie potrafił się powstrzymać, żeby się z nią nie podroczyć.

- Jeśli pójde, to co z tego będę miał? - zapytał z szelmowską miną.

- Co powiesz na to, żebyś wstawiła się za tobą u szefa? - zaproponowała Natalie. - Może da ci podwyżkę.

- Ha! - Jason parsknął śmiechem. - Już to widzę.

*

Gdy wjechał na parking przy banku, wiatr wciąż wiał z taką siłą, że Jasonowi z trudem udało się otworzyć drzwi furgonetki. Deszcz spływał mu po twarzy, gdy szedł przez parking w kierunku wejścia.

W kasie siedziała młoda kobieta, niezbyt ładna, lecz o miłej twarzy. Na jej identyfikatorze widniało imię Trish. Uśmiechnęła się do Jasona, gdy ściągnęła czapkę i otarł nią krople deszczu z czoła.

- Jak tam na dworze? - spytała.

- Mokro i wietrznie, Trish - roześmiał się Jason.

- Nic nie poluzowało, co?

Jason pokręcił przecząco głową.

- I raczej nie zamierza - odrzekł. - Wieje jak diabli.

Trish wskazała na etui, które trzymał w ręce.

- A więc w czym mogę pomóc?

- Chcę wpłacić to na konto - odpowiedział Jason. Wyjął czeki oraz kwit, który przygotowała Natalie, i podał wszystko kasjerce.

Rozglądał się w roztargnieniu, a Trish zabrała się do pracy.

- Podobno taka pogoda ma się utrzymać jeszcze jutro przez cały dzień - usłyszał słowa jednej z kasjerek.

- Zdaje się, że tego wieczoru lepiej nie wytykać nosa na dwór, tylko przytulić się do kogoś przy kominku - odpowiedziała Trish. Mimo że mówiła do drugiej kasjerki, Jason miał nieodparte wrażenie, że dziewczyna próbuje zwrócić na siebie jego uwagę.

Trish wydrukowała pokwitowanie i podała je Jasonowi.

- Proszę bardzo, wszystko załatwione - oznajmiła z uśmiechem. - I spróbuj nie zmoknąć.

- Postaram się.

Skinął głową na pożegnanie i skierował się do wyjścia, trzymając pokwitowanie w ręku. Stanąwszy w drzwiach, pomyślał, że Trish naprawdę miała rację: to idealny wieczór na to, by przytulić się do kogoś przed kominkiem. Myśl o tym, że tym kimś mogłaby być Claudia, napełniła go radością. Wyszedł z powrotem na deszcz.

Na zewnątrz zaskoczył go gwałtowny podmuch wiatru. Odruchowo złapał się za czapkę, bezwiednie wypuszczając pokwitowanie z ręki. Kawałek papieru wyfrunął z jego palców, jakby miał skrzydła, i wylądował na chodniku parę metrów dalej. Zanim Jason zdążył się po niego schylić, kolejny poryw wiatru rzucił kwit na parking. Zakławszy, Jason pobiegł za nim, lecz wkrótce się poddał, ponieważ świstek poszybował nad placem i zniknął pod jednym z samochodów.

Wściekły Jason stał przez chwilę z dłońmi na biodrach, mrużąc pod nosem gniewne epitety pod adresem wiatru i deszczu, po czym westchnął z rezygnacją. Nic nie mógł poradzić na zgubę, ale przynajmniej wiedział, że pieniądze bezpiecznie leżą na koncie bankowym. Pocieszając się tą myślą, dobiegł z trudem do furgonetki, starając się myśleć o tym, jak Claudia tuli się do niego przed kominkiem.

ROZDZIAŁ dwudziesty ósmy

To zdumiewające, ile zamieszania może spowodować utrata jednego świstka papieru.

Wszystko zaczęło się kilka dni później, kiedy czeki, które Natalie wysłała, by zapłacić rachunki pensjonatu, zaczęły wracać niezrealizowane. Najpierw wczesnym popołudniem zadzwoniono z mleczarni ze skargą, że czek za ostatnią fakturę został zwrócony z powodu braku pokrycia. Zaraz po niej odezwała się kwiaciarnia, w której często kupowali rośliny do dekoracji wnętrz. Następny był sklep z narzędziami, a potem inne lokalne firmy.

Zdezorientowana Natalie odpowiadała na telefony. Zapewniała wszystkich kontrahentów, że to zwykle niedopatrzenie i nowe czeki zostaną niezwłocznie wystawione, lecz zupełnie nie wiedziała, jak wyjaśnić tę sytuację. Na dobrą sprawę na koncie powinno być więcej pieniędzy, niż było potrzeba na pokrycie czeków, które wystawiła. Jej zdziwienie przerodziło się w panikę, kiedy nieco później Carl przyniósł zawiadomienie z banku o przekroczeniu debetu. Nie można było również zrealizować większości wypłat dla pracowników. Zdesperowana Natalie postanowiła zadzwonić do banku.

Tymczasem Jason, nieświadomy jeszcze tego, co się dzieje, nie spieszył się tego popołudnia do pensjonatu. Dzień toczył się leniwie, gości było niewielu, wymknął się więc tuż przed południem, by zjeść w śródmieściu lunch z Claudią. Kapryśne niebo Nowej Anglii było chyba gotowe, by wreszcie raz na zawsze przegnać zimę, ponieważ niespodziewanie zrobiło się rozkosznie ciepło. Nie chcąc zmarnować tak pięknego wczesnowiosennego dnia, oboje usiedli na ławce na skwerku przy Kennedy Plaza. Przyglądali się przechodniom, jedząc lunch, i wygrzewali w promieniach słońca. Po tej miłej przerwie Jason jechał do Bradley Mansion w tak pogodnym nastroju, jak jeszcze nigdy od powrotu z Kalifornii do domu.

W holu nie zastał nikogo, z gabinetu dobiegał jednak cichy szmer głosów. Wsunął głowę do środka. Zobaczył Raymonda i Natalie, pochylonych nad biurkiem i wpatrujących się z z troskaniem w ekran monitora. W pokoju dawało się wyczuć napięcie.

- Cześć, co się dzieje? - spytał.

Słyszając jego głos, Raymond wyprostował się i stanął z ramionami skrzyżowanymi na piersi, a Natalie nerwowo zaszurała papierami po biurku.

- Wejdz i usiadz - polecil brat groznym tonem. - Mamy tutaj mały problem, o którym musimy z tobą porozmawiać.

Jasonowi serce zaczęło bić szybciej, ponieważ raz już słyszał takie słowa. Mimo że miejsce i okoliczności były zupełnie inne, poczuł nerwowy ucisk w żołądku.

- Gdzie jest tata? - spytał, siadając na kanapie.

- Wyszedł, ale niedługo wróci - odparł Raymond.

- Dlatego chcieliśmy porozmawiać z tobą teraz - dodała Natalie.

Jason spoglądał to na siostrę, to na brata, próbując bez powodzenia wyczytać coś z wyrazu ich twarzy.

- W czym problem?

- W tym - burknął Raymond - że ludzie w całym mieście grają dzisiaj w koszykówkę naszymi czekami.

Jason pokręcił głową, kompletnie zdezorientowany.

- O czym ty mówisz?

Natalie podniosła do góry plik zawiadomień, które dostała w popołudniowej poczcie.

- Niemal każdy czek, który wypisałam w tym tygodniu, został zwrócony - powiedziała.

- W tym również czeki z wypłatą dla mnie i dla Nat - dodał Raymond gniewnym tonem. - To zabawne, ale twój jakoś został zaakceptowany.

- Nie rozumiem - rzekł Jason. - Co się stało?

- Przed chwilą rozmawiałam z bankiem - wyjaśniła Natalie. - Nie ma zapisu wpłaty, której podobno dokonałeś.

Jason wyprostował się gwałtownie, nagle bowiem dotarło do niego, w jakim kierunku zmierza rozmowa.

- Ale ja wpłaciłem pieniądze - wycodził. - Powinny być na koncie.

- A gdzie pokwitowanie? - spytał Raymond.

Jason niespokojnie poruszył się na krześle.

- Zgubiłem je - przyznał, czerwieniąc się. - Wypuściłem je z ręki, kiedy wychodziłem z banku, i porwał je wiatr. Przecież mówiłem o tym Natalie w zeszłym tygodniu.

- Aha - burknął Raymond cynicznie. Z miny Natalie wynikało, że ona też nie jest o tym całkowicie przekonana.

Zapadło długie, niezręczne milczenie.

- Jasonie, bardzo mi przykro, że muszę zadać ci to pytanie - zaczęła z wahaniem Natalie - ale czy jest coś, o czym powinieneś nam powiedzieć?

- O czym? - odparł, przyjmując pozycję obronną.

- O tym, co się stało z pieniędzmi - warknął Raymond. - Wiesz, niektórzy z nas mają rodziny na utrzymaniu i zależy im na pensjonacie.

- O czym ty gadasz? - odwarknął Jason. - Sugerujesz, że to ja coś z nimi zrobiłem? - Znalezliśmy się teraz naprawdę w poważnych tarapatkach - rzekł Raymond ze złością. - Co niby mamy myśleć?

Jason zerwał się na równe nogi. Przepelniał go gniew, zarówno na siebie samego, jak i na nich, ponieważ w głębi serca zdawał sobie sprawę, dlaczego uważają go za winnego.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie o to oskarżacie! - wykrztusił.

- Potrzebujemy tych pieniędzy, Jasonie - nalegał Raymond.

- Ale ja ich nie mam! - krzyknął Jason. - Mówiłem już, że wpłaciłem je do banku!

- Chłopcy, proszę - wtrąciła Natalie.

W tym momencie w drzwiach stanął Giulio.

- Hej, co to za krzyki! - zawołał.

Na widok ojca cała trójka umilkła. Giulio lustrował ich po kolei spojrzeniem, czekając na wyjaśnienia.

- Czy ktoś zechce mi powiedzieć, co się tutaj dzieje? - spytał rzeczowo, ale żadne z nich nie kwapiło się z odpowiedzią.

Milczenie się przedłużało.

- Mamy problem z bankiem, tato - odezwała się wreszcie zdenerwowana Natalie. - Na koncie jest debet.

- I oni uważają, że to ja wzięłem te pieniądze - rzekł Jason.

- Co takiego?! - wykrzyknął ojciec. - To absurdalne. Jak mogło wam przyjść coś takiego do głowy?

- Dobra, przepraszam - jęknął Raymond - ale wiesz, tak to już jest, jeśli ktoś w przeszłości dopuścił się oszustwa.

Ta uwaga dotknęła Jasona do żywego. Sam Raymond chyba pożałował swoich słów już w momencie, kiedy je wypowiadał, przygarbił się bowiem i spuścił głowę.

- Dostyc tego! - krzyknął Giulio.

Jason popatrzył na brata i przełknął z trudem ślinę.

- Popeniłem bład - powiedział z goryczą. - Tylko jeden jedyny. A ty będziesz mi to wypominał przez resztę mojego życia?

Raymond westchnął i przesunął dłonią po czole.

- Cóż, Jasonie - rzekł ze znużeniem - czasami gdy popełnia się bład, cierpią na tym

ludzie.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - oburzył się Jason.

Odwrócił się ze złością i wyszedł szybkim krokiem z pokoju.

- Jason, wróć! - zawołała za nim Natalie.

Giulio pokręcił głową, obrzucając swoje starsze dzieci karcącym spojrzeniem, i wybiegł za Jasonem z gabinetu. Ale w tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i do holu weszło małżeństwo w średnim wieku.

- Gdzie możemy się zameldować? - spytał uprzejmie mężczyzna.

Giulio westchnął głęboko i uśmiechnął się z przymusem.

- Proszę bardzo, tędy - odpowiedział. - Witam państwa w Bradley Mansion.

ROZDZIAŁ

dwudziesty dziewiąty

Jason stał przy kuchennym zlewie i patrzył przez okno, popijając kawę. Był wczesny niedzielny poranek. Tego dnia zamierzał się wyspać, ale obudził go koszmarny sen. Śniło mu się, że Amanda stoi przy barierce mostu chłostanego wiatrem, trzymając w ramionach niemowlę.

- Jeśli je chcesz - zawołała, przysuwając dziecko do samej krawędzi - przyjdź i je sobie weź.

Jason obudził się, dygocząc, akurat w chwili, gdy był przekonany, że Amanda wypuści dziecko z rąk.

Był to przygnębiający początek dnia i niespokojne myśli wypędziły go z łóżka. Awantura z Raymondem i Natalie nie dawała mu spokoju i nie mógł przestać o niej myśleć. Ojciec pokrył wydatki pensjonatu z własnych oszczędności i polecił Natalie, by skłoniła bank do wszczęcia dochodzenia, co stało się z ich depozytem. Przecież pieniądze nie wyparowały.

Odpowiedziano im, że zajmie to przynajmniej dzień lub dwa. Tymczasem nadszedł weekend, a sprawa nadal pozostawała nie wyjaśniona.

Jason nie wiedział, co było gorsze: fałszywe oskarżenie, że okradł własną rodzinę, czy świadomość, że sam jest winien sytuacji, w której brat i siostra podejrzewają go o coś takiego. Westchnął głęboko. Akurat wtedy, gdy ogromny ciężar, jaki dźwigał od dawna, trochę zelżał, nagle spadł na niego z nową siłą, przygniatając go jeszcze bardziej bezlitośnie niż kiedykolwiek. Jak, u licha, zdoła się go pozbyć?

Otworzyły się drzwi wejściowe i wszedł Giulio z Sundance'em. Wracali z porannego spaceru. Pies przybiegł do kuchni, obwąchał Jasona, po czym pobiegł do kąta i ułożył się do snu. Giulio skinął synowi głową na powitanie.

- Widzę, że nawet w niedzielę wstałeś wcześniej jak skowronek.

- Wcześniej może tak - odparł Jason - ale radosny jak skowronek nie jestem.

Giulio nalał sobie kawy i usiadł obok niego przy stole.

- Całe to zamieszanie z pieniędzmi wciąż cię gnębi? - spytał.

- Zdaje się, że gnębi wszystkich - odrzekł Jason.

- Ech, nie przejmuj się - mruknął Giulio. - Takie rzeczy zdarzają się w rodzinach, a zwłaszcza w rodzinnych firmach. Pod wpływem chwili ludzie mogą myśleć i mówić różne rzeczy, których nie zamierzali. To nieważne. W końcu rodzina jest rodziną. Możesz być pewny, twój brat i siostra tak naprawdę nie wierzą, że zrobiłeś coś złego.

- Dlaczego nie? - westchnął Jason. - Na ich miejscu prawdopodobnie myślałbym tak samo.

Giulio pochylił się i poklepał syna czule po ręce.

- Musisz przestać myśleć o sobie w ten sposób. Co było, minęło. Musisz pogrzebać przeszłość i iść dalej.

- Łatwiej powiedzieć, niż wykonać.

- Jesteś bystry - powiedział ojciec. - Odnajdziesz swoją drogę. Ale nie snując się po domu. Powinieneś wyjść i przewietrzyć głowę.

- Wiem - przyznał Jason. - Pracuję nad tym.

- To znaczy, że masz plany na dzisiaj?

Jason pokręcił przecząco głową.

- W takim razie do dzieła, zaplanuj coś - poradził Giulio.

Gdy ojciec skończył pić kawę i wybrał się na mszę, Jason odczekał jakiś czas, po czym zdecydował się zadzwonić. Mimo że pragnął zobaczyć się z Claudią, po kłótni z bratem i siostrą zwlekał ze spotkaniem, ponieważ nie był jeszcze gotowy na poważną rozmowę. Wczoraj w ostatniej chwili odwołał wspólną kolację, tłumacząc się złym samopoczuciem. Claudia nie robiła mu wyrzutów, dając tylko do zrozumienia, że domyśla się, iż chodzi o coś innego. Wreszcie podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Witaj, nieznajomy. Dlaczego mam wrażenie, że mnie unikasz? - zbeształa go, gdy podjechał po nią i oboje siedzieli już w samochodzie. - Nie wiesz, że dziewczyna zaczyna się martwić, kiedy jej chłopak wystawiają do wiatru w sobotni wieczór?

- Przepraszam - rzekł Jason z westchnieniem.

- Ale zdarzyło się kilka rzeczy. Proszę, nie bierz tego do siebie. Po prostu nie byłbym raczej dobrym kompanem przez te ostatnie kilka dni, dlatego unikałem cię dla twojego dobra.

Claudia pogłaskała go po policzku.

- Zdaje się, że masz za sobą rzeczywiście ciężki tydzień - powiedziała, patrząc mu w oczy, jak gdyby próbowała odczytać jego myśli.

Jason pokiwał głową.

- Możemy coś zrobić, żeby poprawić sytuację? - spytała, biorąc go za rękę.

- Nie wiem - odrzekł - ale pomyślałem, że mogłaby pomóc zmiana otoczenia.

Claudia uśmiechnęła się.

- Wobec tego wybierzmy się na przejażdżkę.

Wyjechali z miasta i ruszyli do South County, jadąc południowym wybrzeżem Rhode Island. Minęło wiele czasu, od kiedy Jason był tutaj po raz ostatni, i poczuł się dziwnie odprężony, gdy zjechał z autostrady i ich oczom ukazał się ocean. Zatrzymali się na późne śniadanie w małej restauracji w Narragansett, a potem Claudia zaproponowała spacer wzdłuż brzegu. Dzień był ponury, chmury wisiały nisko na niebie, ocean przybrał zimną szarzieloną barwę, a wodę marszczyła lekka bryza. Mimo chłodu kilku nieustraszonych surferów, wszyscy w ciemnych kombinezonach z neoprenu, ślizgało się po falach. Długa plaża była niemal całkowicie pusta, nie licząc garstki ludzi spacerujących wzdłuż brzegu.

Claudia wsunęła dłoń w rękę Jasona i ruszyli przed siebie skrajem wody, zachowując odpowiednią odległość od łagodnych fal omywających brzeg. Dotarli do wydm na północnym końcu plaży i usiedli na piasku. Claudia wsunęła się mu pod ramię i przytuliła się do niego mocno. Następnie odwróciła się i pocałowała go czule w policzek.

- No to kiedy zamierzasz powiedzieć mi, co się stało? - spytała cicho.

Jason zacisnął wargi. Odkąd poznał Claudię, wbrew rozsądkowi miał nadzieję, że ta chwila nigdy nie nastąpi, teraz jednak wiedział, że dłużej już nie da się tego odkładać. Przeniósł spojrzenie na surfera walczącego ze spienionymi falami przyboju.

- Mieliśmy w tym tygodniu pewien problem w pracy - powiedział wreszcie, patrząc znowu na nią.

- Jakiego rodzaju?

Jason wzruszył ramionami, zastanawiając się, od czego najlepiej zacząć.

- Pieniądze, które wpłaciłem do banku, nie trafiły na nasze konto - wyjaśnił.

- Jak to możliwe?

- Z ręką na sercu, nie mam pojęcia - odparł. - Lecz sytuacja wymknęła się trochę spod kontroli. Czeki, które wystawialiśmy, wracały i skończyło się tym, że wybuchła idiotyczna kłótnia między mną a moim rodzeństwem, ponieważ podejrzewali...

Umilkł.

- Co podejrzewali?

- Że to chyba ja wziąłem pieniądze.

Claudia popatrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy i pokręciła głową.

- Nie rozumiem - szepnęła. - Jak w ogóle mogło im przejść przez myśl, że zrobiłeś coś takiego?

Jason nie odpowiedział od razu, lecz spuścił wzrok, w zamyśleniu ryjąc czubkiem

buta dołki w piasku.

- Czy wiąże się to z tą twoją długą historią?

Jason skinął głową.

- Cóż, może to już najwyższa pora, żebyś mi o wszystkim opowiedział.

Jason poczuł, jak znowu osaczają go dawne obawy, lecz nie było już odwrotu - nadszedł czas, by Claudia poznała prawdę. Opowiedział jej więc o wszystkim: o pierwszych dniach w Los Angeles, o tym, czego się dopuścił wraz z innymi w Med-Device, wreszcie o swoim związku z Amandą... i co najgorsze, o dziecku.

Przez cały czas Claudia nie odzywała się ani słowem. Gdy skończył, milczała w dalszym ciągu, wpatrując się w zatokę. Jej milczenie wzbudziło w nim lęk, nie pozostało mu jednak nic innego, jak tylko czekać na jej reakcję.

Wreszcie spojrzała mu prosto w oczy.

- Kim ty naprawdę jesteś, Jasonie Mirabella? - spytała. - Kim próbujesz być?

Jason pokręcił ze smutkiem głową.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewny - odrzekł. - Chyba właśnie tego usiłowałem się dowiedzieć, odkąd wróciłem do domu. Wiem tylko, że nie jestem tą samą osobą, którą byłem.

Claudia znowu milczała przez długą chwilę, po czym powiedziała z ironicznym uśmiechem:

- A niech to. Zdaje się, że rzeczywiście przyjechałeś do Providence z ciężkim bagażem.

- Czuję się, jakbym dźwigał go w każdej chwili - przyznał Jason. - Rzecz w tym, że mam świadomość, iż sobie na to zasłużyłem, zwłaszcza gdy pomyślę o dziecku, za które to ja jestem odpowiedzialny. Jak mam to odpokutować?

- Czy ktoś poza mną wie o tym? - spytała.

- Mój ojciec. Ale tylko o tym, co wydarzyło się w firmie, nic o Amandzie.

- Dlaczego?

Teraz Jason zaśmiał się ironicznie.

- Są pewne sprawy, o których po prostu nie możesz opowiedzieć swojemu ojcu.

- Więc może powinieneś spróbować powiedzieć komuś innemu - zauważyła Claudia.

Jason popatrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Co masz na myśli?

- Jasonie, nie mam pojęcia, czy by ci to pomogło, ponieważ niezbyt dobrze rozumiem to, co się dzieje, kiedy chodzę do kościoła. Jest jednak jedno zdanie, które słyszę tam chyba zawsze: bez względu na to, co zrobiłeś, najważniejsze, byś przyszedł i szczerze żałował.

Szczerze.

Jason znowu pokręcił głową i westchnął.

- Skrucha nie cofnie w magiczny sposób tego, co się stało, i nie naprawi wszystkiego.

- Tak, masz rację. Ale być może wskaże ci miejsce, w którym powinieneś zacząć od nowa.

Jason miał wrażenie, że Claudia chce powiedzieć coś jeszcze. Ona jednak wyswobodziła rękę i wstała. Jason również się podniósł i ruszyli w drogę powrotną wzdłuż brzegu.

Gdy wracali do Providence, Claudia prawie się nie odzywała. Jason nie przerywał milczenia, ponieważ sam nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Kiedy dojechali pod jej dom, nie wysiadła od razu, lecz siedziała, patrząc w zamyśleniu przez okno.

- O czym myślisz? - spytał Jason.

Claudia odwróciła się i spojrzała na niego ze smutkiem.

- Myślę, że byłoby lepiej dla nas obojga, gdybyśmy się przez jakiś czas nie spotykali - szepnęła.

Jason spuścił głowę, a jego serce zabiło mu mocniej ze strachu, mimo że już pogodził się z nieuchronnością tego, co miało nastąpić.

- Z powodu tego, co zrobiłem?

- Nie - odparła Claudia ku jego zaskoczeniu.

- Z powodu tego, co musisz zrobić.

- Nie rozumiem.

Claudia ujęła jego dłonie i ścisnęła je mocno.

- Jasonie - szepnęła czule - kocham cię i myślę, że moglibyśmy przeżyć razem coś naprawdę wyjątkowego, ale przez cały czas miałam uczucie, że coś cię powstrzymuje... i teraz wiem już, co to było. Zanim pozwolimy naszemu uczuciu dalej się rozwijać, musisz znaleźć sposób, by otrząsnąć się ze wszystkiego, co ci się przydarzyło, i pozbyć się bagażu, który, jak sam twierdzisz, dźwigasz bez przerwy.

- Ale ten ciężar staje się lżejszy tylko wtedy, gdy jestem z tobą - wyznał.

- Być może, Jasonie, lecz on wciąż tam jest i będzie tkwił dalej, dopóki sobie z nim nie poradzisz. Jestem przekonana, że ty również zdajesz sobie z tego sprawę. Może właśnie dlatego mówiłeś, że chcesz wrócić do Kalifornii. Nie możesz iść do przodu, ciągle oglądając się za siebie.

Jason chciał zapewnić ją, że się myli, że zapomniał o przeszłości, lecz w głębi serca wiedział, że jest inaczej.

- Dokąd więc nas to zaprowadzi? - spytał.

- Chyba do punktu wyjścia - odparła Claudia załamującym się głosem.

- Samotności? - westchnął Jason.

W oczach Claudii błyszczały łzy.

- Przykro mi, ale po prostu nie potrafię wymyślić innego wyjścia. Do widzenia, Jasonie.

Pocałowała go w policzek, wysiadła z samochodu i pobiegła do mieszkania.

ROZDZIAŁ

trzydziesty

Nazajutrz rano Giulio Mirabella zauważył, że w Bradley Mansion panuje niezwykle spokoj. Ponieważ trójka jego dzieci prawie ze sobą nie rozmawiała, a jeśli już, to tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, z pewnością nie groziło pogwałcenie jego zarządzenia, że w każdej sytuacji należy przestrzegać ciszy.

Nie miał wątpliwości, że żadne z nich w głębi serca nie wierzyło, iż Jason dopuścił się oszustwa. Mimo to gdy wyruszył na codzienny obchód po pensjonacie, przekonał się, że załoga jego niewielkiego statku zabrała się do pracy w minorowych nastrojach.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji ponury Jason schronił się w swoim prowizorycznym biurze, gdzie bez przekonania zabrał się do pracy nad stroną internetową pensjonatu. Szybko jednak się poddał, zatrzasnął laptopa i siedział, gapiąc się na rysunek, który podarowała mu Claudia. Usiłował wyobrazić sobie, gdzie może być w tej chwili dziewczyna i co robi. Potem zaczął zastanawiać się nad tym, co powiedziała mu wczoraj na temat bagażu, który przywiózł do domu z Kalifornii. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że miała rację, twierdząc, iż sam musi znaleźć sposób, by się od niego wyzwolić, lecz kiedy i jak ma tego dokonać?

Jason rozmyślał o tym wszystkim, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. W progu stała pani Martinez.

- Tak, pani Martinez? Czy ktoś mnie szuka?

Gospodyni pokręciła głową i z przystępniejszą niż zwykle miną zaprosiła go na korytarz. Zaciekawiony, o co też może chodzić, Jason posłusznie wyszedł. Ku jego zdziwieniu pani Martinez przeszła obok niego do garderoby i zaczęła sprzątać. Szybko poukładała papiery na jego biurku w zgrabne stosiki i powycierała kurz, gdzie tylko się dało. Następnie pozamiatała podłogę, rozpyliła w pomieszczeniu odświeżacz powietrza i skinęła na Jasona, by, jeśli chce, wrócił na swoje miejsce.

Jason skinął głową i uśmiechnął się do niej z wdzięcznością, wiedział bowiem, że zrobiła to wszystko, by poprawić mu humor.

Pani Martinez wzruszyła ramionami i skłoniła się uprzejmie.

- Rodzina, co? - powiedziała. - Czasami człowiek ma ochotę kogoś udusić, o tak.

Dla większego efektu skrzywiła się komicznie, kładąc dłonie na szyi. Jason nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Ma pani rację - przyznał. - Czasami naprawdę tak się zdarza.

Pani Martinez spojrzała na niego przenikliwie.

- Ale miłość wciąż jest tutaj. - Pogroziła mu palcem. - Nie zapominaj o tym.

- *Gracias, Señora* - zawołał za nią Jason.

- *De nada* - odkrzyknęła kobieta, machając mu na pożegnanie ręką.

Gdy skończył się dzień pracy, Jason zszedł na dół i wsunął głowę do gabinetu. Natalie siedziała z ojcem przy biurku, sprawdzając w komputerze ostatnie dane na temat liczby zajętych pokoi. Raymonda nie było. Natalie podniosła głowę i widząc brata, uśmiechnęła się smutno.

Jason skinął na powitanie. Chociaż uważał się za stronę pokrzywdzoną, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że z jakiegoś powodu Natalie czuje się jeszcze gorzej od niego po tej całej awanturze.

Jason rzucił ojcu pytające spojrzenie.

- Coś nowego?

- Żadnej wiadomości z banku - odparł Giulio. - Ale nie przejmuj się, jestem pewien, że wkrótce wszystko się wyjaśni. - Ojciec uśmiechnął się łagodnie. - Może pójdiesz już do domu?

- Tak - rzekł Jason, wzruszając ramionami. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie - zapewnił go ojciec. - Jakies plany na dzisiejszy wieczór?

- Jason skrzywił się lekko i pokręcił głową.

- Nie, właściwie nie - odrzekł - chyba że poszukam jakiegoś miejsca, by pozbyć się starego bagażu, który wciąż dźwigam ze sobą.

Zanim ojciec i siostra zdążyli zapytać, o co mu chodzi, Jason chwycił kurtkę i zniknął za drzwiami.

Nie pojechał od razu do domu, lecz jeździł bez celu po mieście, próbując choć na chwilę oderwać się od gnębiących go myśli. Jak było do przewidzenia, wkrótce znalazł się przed domem Claudii. Nie wysiadł z samochodu, lecz wpatrywał się ze smutkiem w oświetlone okno jej mieszkania, w nadziei, że ujrzy ją choć w przelocie.

Po długiej chwili, gdy Claudia się nie pokazała, Jason poddał się i postanowił jechać do domu. Myślał o tym, co Claudia powiedziała mu na plaży, że potrzebuje znaleźć miejsce, gdzie mógłby zacząć wszystko od początku. Wydawało się to dobrym pomysłem, lecz wątpił,

czy takie miejsce w ogóle istnieje. Minął kościół pod wezwaniem Najświętszego Sakramentu. Ze zdumieniem zauważył, że parking jest wypełniony, a na schodach przy wejściu gromadzą się ludzie. Zatrzymał się zaintrygowany.

Siedział przez jakiś czas w furgonetce, nie mogąc się zdecydować, czy wejść do kościoła, czy zostać w samochodzie. Może Claudia miała rację, mówiąc, że powinien spróbować zacząć właśnie tutaj. W głębi duszy czuł potrzebę, by przekonać się, dlaczego tyle osób przyszło tu dziś wieczorem, wysiadł więc z furgonetki i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Na schodach do świątyni zobaczył mężczyznę i kobietę, oboje w podeszłym wieku, którzy z trudem wchodzili po stopniach, pomagając sobie wzajemnie. Mąż szedł chwiejnie, podpierając się laską, żona jedną dłonią trzymała kurczowo jego ramię, drugą chwyciła się poręczy. Zbliżali się właśnie do ciężkich drzwi, gdy Jason podbiegł i otworzył je przed nimi.

- Jest pan dzentelmenem z krwi i kości, młody człowieku - powiedziała siwowłosa kobieta, uśmiechając się do niego promiennie. Starszy pan w podziękowaniu uchylił kapelusza. Po chwili Jason usłyszał, jak kobieta mówi: - Spójrz, ile ludzi. Nie mogę uwierzyć, że Niedziela Palmowa już w tym tygodniu.

- Czas szybko płynie - zauważył mąż.

W tej chwili Jason uświadomił sobie, że przypadkiem trafił na jakieś wielkopostne nabożeństwo. Nie bardzo wiedział, jaki ma ono charakter, ale skoro już tu się znalazł, postanowił wziąć w nim udział.

Zajął miejsce w jednej z ławek z tyłu kościoła. Czuł się swobodniej, gdy mógł obserwować, co się dzieje, niezauważony przez resztę wiernych.

Rozpoczęło się nabożeństwo. Kapłan wszedł bocznym wejściem i stanął przed ołtarzem, a tuż za nim wkroczyli czterej następnicy, którzy ustawili się w czterech narożnikach kościoła. Główny kapłan poprosił wiernych, by powstali, i zaczął odmawiać modlitwy na początek nabożeństwa. W każdej prosił Boga, by pomógł wszystkim obecnym znaleźć przebaczenie i spokój, w jakiegokolwiek sprawie ich potrzebują. Właśnie wtedy Jason zrozumiał, że jest to msza pokuty i pojednania i ludzie przybyli tutaj, by wyznać swoje grzechy.

Skończywszy modlitwy, ksiądz zaprosił wszystkich, którzy pragnęli się wyspowiadać, żeby podchodzili do któregokolwiek z księży, kiedy będą już gotowi. Jason spodziewał się, że nastąpi przynajmniej krótka przerwa, zanim ktoś ruszy się z miejsca, lecz ku jego zdziwieniu ludzie natychmiast zaczęli podnosić się z ławek i podchodzić do kapłanów. Za nimi ustawiali się w szeregu inni, w dyskretnej odległości od spowiadających się.

W głębi duszy pragnął do nich dołączyć, lecz powstrzymywała go obawa, że uczynki,

którymi się splamił, są niewybaczalne. Perspektywa spowiedzi na oczach wszystkich zgromadzonych paraliżowała go, dopóki nie rozejrzał się dookoła i nie zrozumiał, że zapewne nie on jeden dźwiga ciężkie brzemie. Ludzie przyszli tutaj z jakiegoś powodu. Kto wie, może przywiodły ich grzechy nawet gorsze od jego własnych. Ta myśl podniosła Jasona na duchu, ponieważ zdał sobie sprawę, że skoro oni znaleźli w sobie odwagę, by wyznać dziś wieczorem swoje złe uczynki, to może i jemu się uda.

Jason czekał długo, dopóki kolejki nie zaczęły się kurczyć, po czym wstał z ociąganiem i przeszedł do nawy. Rozejrzał się niepewnie, zastanawiając się, którego księdza powinien wybrać. Z przodu, obok bocznego ołtarza, zauważył młodego mężczyznę, mniej więcej w jego wieku, rozmawiającego ze spuszczoną głową z najstarszym z pięciu księży wysłuchujących spowiedzi. Ksiądz, szczupły i energiczny, o siwych włosach i zdecydowanym, lecz łagodnym wyrazie twarzy, położył dłoń na ramieniu mężczyzny w krzepiającym geście, uważnie go słuchając.

Jason nie spuszczał z nich oczu, dopóki młody mężczyzna nie skończył i ksiądz nie odprawił go z błogosławieństwem. Nikt więcej nie czekał już w kolejce, więc ksiądz, widząc, że Jason się ociąga, przywołał go skinieniem głowy. Bardzo powoli Jason ruszył w jego stronę.

Gdy podszedł bliżej, ksiądz uśmiechnął się ciepło.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedział łagodnie. - Co cię tu dzisiaj sprowadza, synu?

Jason z trudem przełknął ślinę i spróbował spojrzeć mu prosto w oczy, lecz nie potrafił się na to zdobyć. Wziął głęboki oddech. Nie pomogło. Policzki piekły go ze wstydu, nagle zapragnął odwrócić się i uciec, lecz wtedy poczuł rękę na swoim ramieniu.

- Po prostu mów - zachęcił go ksiądz.

Jason westchnął ciężko i podniósł głowę.

- Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu - rzekł w końcu.

ROZDZIAŁ

trzydziesty pierwszy

Wczesnym popołudniem Jason siedział w swoim biurze, jak zwykle wpatrując się w rysunek Claudii, i stukał ołówkiem w blat biurka. Rozmyślał o wczorajszym nabożeństwie. Im dłużej się zastanawiał, tym większe ogarniały go wątpliwości, co ma sądzić o tym doświadczeniu. Nic z jego przeszłości nie zostało w czarodziejski sposób naprawione i zdawał sobie sprawę, że nie zostanie. Nowe miejsce, w którym miał zacząć wszystko od początku, było uderzająco podobne do starego. Na razie w jego życiu nic się nie zmieniło. Mimo to z jakiegoś powodu, którego nie całkiem rozumiał, cieszył się, że poszedł do kościoła i stanął twarzą w twarz z kapłanem. Czuł ulgę, że dzięki temu wreszcie wyrzucił z siebie to, co go gnębiło.

Jason odłożył ołówek na biurko i otworzył laptop, by popracować nad witryną internetową, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. - Tak, pani Martinez - powiedział, otwierając drzwi. - O co tym razem chodzi?

Ku swojemu zaskoczeniu w korytarzu zamiast pani Martinez zobaczył swojego brata. Raymond stał zgarbiony, z rękami w kieszeniach i skruszoną miną. Przez ostatnie kilka dni prawie ze sobą nie rozmawiali i teraz też mierzyli się wzrokiem w pełnym zakłopotania milczeniu.

- Cześć - rzekł w końcu Jason. - Co się stało?

- Masz chwilę? - spytał brat. - Eee... jesteś nam potrzebny na dole.

- Tak, jasne. Raymond obrzucił szybkim spojrzeniem zagracone pomieszczenie.

Potem spojrzał na Jasona z absolutnym niedowierzaniem.

- Jak możesz spędzać tyle czasu zaszyty tutaj?

Jason wzruszył ramionami.

- Można wytrzymać - odpowiedział. - Po pewnym czasie człowiek się przyzwyczaja.

Raymond pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Co kto lubi.

- No więc, co się tam dzieje na dole? - zmienił temat Jason.

- Mamy pewien mały problem, który musimy z tobą omówić - mruknął Raymond.

Jason zawahał się.

- Co tym razem zrobiłem?

- Nic, nie denerwuj się - uspokoił go Raymond. - Po prostu jesteśmy zmuszeni poprosić cię o coś.

Mimo zapewnień brata, że nie ma powodu do obaw, Jason schodził na dół pełen niepokoju. Na widok Jasona Natalie uśmiechnęła się nerwowo.

- Cześć, Nat - rzekł przyjaźnie Jason, mając nadzieję, że ją uspokoi. - O co chodzi?

- Mamy mały problem.

- To już powiedział mi Ray. Coś się znowu wydarzyło? Ma to coś wspólnego z bankiem?

- Nie - odparła Natalie. - Wciąż jeszcze się nie odezwali.

- No to o co chodzi?

Raymond i Natalie wymienili spojrzenia, jak gdyby nie mogli się zdecydować, które z nich ma zacząć. Po chwili Raymond potarł z zakłopotaniem kark i lekko odchrząknął.

- Roger zawiadomił nas, że jest chory i nie może dziś w nocy pełnić warty - wyjaśnił.

- Co z tego? - wzruszył ramionami Jason. - Zwyczajnie poproście kogoś innego, żeby przyszedł, i tyle.

- To kolejny problem - powiedziała Natalie.

- Obdzwoniłam wszystkich. Nikt dzisiaj nie może.

- Dlatego nie mamy wyjścia, musi zostać któreś z nas - dodał Raymond, spoglądając to na siostrę, to na brata.

- Dzisiaj naprawdę nie mogę - tłumaczyła się Natalie. - Tommy i Jenna są przeziębieni. A tata, o ile wiem, ma jakieś plany na dzisiejszy wieczór z jedną z „pań od lasagne”, zresztą i tak nie chcielibyśmy go tym obarczać.

Raymond znowu podrapał się w kark.

- Zostanę, jeśli będę musiał - rzekł z westchnieniem - ale szczerze mówiąc, miałem zamiar zaprosić dziś Donnę na kolację. To specjalna okazja.

Na długą chwilę zapadło milczenie.

- Jeśli się nie mylę - wycedził ze złośliwym uśmieszkiem Jason - tylko ja pozostałem na placu boju.

- My również doszliśmy do takiego wniosku - potwierdził z ponurą miną Raymond. - Ale to naprawdę nie będzie trudne. Na dzisiejszą noc jest zarezerwowany tylko jeden pokój. Goście przyjeżdżają z Maine. Zaprowadź ich tylko do pokoju i przez resztę nocy nie musisz niczym się przejmować.

- No więc, jak myślisz? - spytała lęklonie Natalie. - Mógłbyś to dla nas zrobić?

Jason nie odpowiedział od razu. W pierwszym odruchu miał ochotę zdecydowanie odmówić, lecz się zmytygował. Być może miała na to wpływ wczorajsza spowiedź i dobre uczucie, jakie po niej pozostało. Zdawał sobie sprawę, że zwłaszcza Raymond musiał schować dumę do kieszeni, by prosić go o przysługę. Poza tym przez te wszystkie lata jedno lub drugie z jego rodzeństwa wiele razy dla dobra rodziny pełniło dyżur bez słowa skargi. Pomimo awantury z powodu banku Jason rozumiał, że ma wobec nich wielki dług do spłacenia i być może teraz właśnie nadeszła chwila, by się zrewanżować.

- Jeśli chodzi o Tommy'ego i Jennę - powiedział do Natalie. - Mam nadzieję, że szybko wyzdrowieją.

- Oczywiście - uspokoiła go. - Ale wiesz, jak to jest z maluchami, kiedy są chore i nieszczęśliwe. Chcą, żeby mamusia była przy nich.

- I tam właśnie powinnaś być - rzekł bez wahania.

Potem odwrócił się do Raymonda.

- No więc, co to za specjalna okazja?

- Nasza rocznica - wyjaśnił brat.

- Rocznicę? - zdziwił się Jason. - Jak to? Przecież pamiętam, że pobraliście się we wrześniu.

- To rocznica naszego pierwszego spotkania - przyznał Raymond. - Donna w dalszym ciągu lubi ją obchodzić.

Jason nie potrafił oprzeć się pokusie, by trochę podokuczać bratu.

- Zupełnie jej nie rozumiem. Pomyślałbym raczej, że będzie to dla niej dzień żałoby

- Ajaj! - wykrzyknął Raymond z irytacją. - Po prostu zapomnij o tym!

Jason uśmiechnął się i podniósł rękę, by go uspokoić.

- Spokojnie, Ray, tylko żartowałem.

Twarz Raymonda się rozjaśniła.

- Chcesz powiedzieć, że się zgadzasz? - spytał z nadzieją.

- Dlaczego nie? Nie mam dzisiaj żadnych planów na wieczór. - Zamilkł i popatrzył na brata i siostrę z szelmowskim uśmiechem. - Ale powiedzcie mi jedno. Jesteście pewni, że można mi zaufać, kiedy goście będą się meldować i płacić za pokoje? Ostatnio nie mam szczęśliwej ręki do pieniędzy.

- Nie przejmuj się, mądralo - fuknęła Natalie.

- Zapłacili przelewem z góry kilka dni temu.

Jason uśmiechnął się szeroko.

- W takim razie nie mogę wpakować się w kłopoty, prawda?

ROZDZIAŁ

trzydziesty drugi

Późnym popołudniem Jason wstąpił do domu po przybory toaletowe i parę innych potrzebnych rzeczy. Zastał tam ojca, który szykował się na wieczorne spotkanie. Najwyraźniej bardzo ucieszyła go wiadomość, że Jason zgodził się pełnić dyżur dzisiejszej nocy.

- Ach, wiesz, ile razy brałem na siebie ten dyżur, kiedy byliście mali? - Giulio poklepał syna po policzku. - To bardzo dobrze. Teraz nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie masz żadnego wkładu w rodzinny interes. Jest jednak kilka spraw, o których musisz pamiętać...

I Giulio spiesznie wyrecytował listę czynności, które Jason ma wykonać, zanim położy się spać. Należało pogasić jedne światła, inne natomiast zostawić zapalone, na wypadek gdyby goście byli jeszcze na nogach. Musiał upewnić się, czy wszystkie okna są pozamykane na noc. No i oczywiście powinien zaryglować wszystkie drzwi. A na koniec ojciec zalecił obchód całego budynku, by dokonać ogólnego przeglądu. Jason zapewnił Giulia, że zajmie się wszystkim, po czym wreszcie udało mu się wypchnąć ojca z domu.

Gdy po krótkim czasie wrócił do pensjonatu, zastał w gabinecie Raymonda, który zapisywał dla niego ostatnie instrukcje.

- Hej, nie zwracaj sobie już głowy - zawołał Jason. - Tata wygłosił mi już całą litanię rzeczy, o których nie wolno zapomnieć.

- Ech, o drobiazgach łatwo się zapomina - odparł Raymond. - Najważniejsze, żebyś nie pałętał się gdzieś po domu akurat wtedy, gdy zjawiają się goście. À propos, nazywają się Benton. Jadą z Maine samochodem. Uprzedzili, że prawdopodobnie dotrą tutaj nie wcześniej niż o wpół do ósmej, a może nawet później, masz więc mnóstwo czasu, by odpocząć i zrobić wszystko, na co masz ochotę. Po prostu miej oczy i uszy szeroko otwarte.

- Coś jeszcze, szefie? - spytał Jason, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Nic mi nie przychodzi do głowy - odrzekł Raymond, pocierając w zamyśleniu brodę ruchem, który przypomniał Jasonowi ojca. - To chyba byłoby tyle. Noc powinna być spokojna. Masz numer mojej komórki, prawda?

- Tak jest.

- Gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego, dzwoń - poprosił. - Wybieramy się na kolację do restauracji Casseriniego, na tej samej ulicy. Do zobaczenia jutro rano.

Raymond podszedł do drzwi, lecz nagle przystanął i powiedział:

- Naprawdę doceniam to, co dla mnie zrobiłeś.

- Daj spokój - machnął ręką Jason. - Teraz moja kolej. Bawcie się dobrze na kolacji.

- Dzięki.

- I wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy - zawołał za nim Jason. Po wyjściu Raymonda Jason wziął swoją torbę podróżną i zaniósł do małej sypialni, gdzie miał spędzić noc. Rzucił torbę na łóżko i przeszedł do salonu. Panowała kompletna cisza, w której rozlegało się jedynie monotonne tykanie zegara na kominku. Bradley Mansion zawsze było bardzo spokojnym miejscem. Czuł się jednak dziwnie samotny, gdy niespodziewanie został w pensjonacie zupełnie sam. Jason zdał sobie sprawę, że nie może się doczekać przyjazdu Bentonów.

Chciał już wyjść z pokoju, gdy jego wzrok padł na oprawioną w ramkę fotografię matki, stojącą na regale z książkami. Zdjął ją z półki i przysunął bliżej światła. Na zdjęciu Vera stała na stopniach werandy, uśmiechając się szeroko. Jason widział tę fotografię niezliczoną ilość razy, ale nie wiedzieć czemu właśnie teraz widok matki wywołał uśmiech na jego twarzy. Wyobraził sobie, że w jakiś sposób matka jest tutaj i dotrzymuje mu towarzystwa. W gabinecie usiadł przy komputerze Natalie, by dla zabicia czasu posurfować po Internecie. Jego myśli powędrowały do Claudii, zastanawiał się, co w tej chwili robi i czy o nim myśli. Chociaż minęło zaledwie kilka dni od ich ostatniego spotkania, miał wrażenie, że upłynęły już całe wieki, co potęgowało jeszcze jego samotność.

Dawno już minęło wpół do ósmej, a Bentonowie wciąż się nie zjawili. Oczy piekły Jasona od wpatrywania się w ekran monitora, czuł się zmęczony. Z westchnieniem odsunął się od biurka i włączył mały telewizor, który Natalie ustawiła w rogu pokoju. Usiadł na kanapie i z pilotem w dłoni skakał kolejno po kanałach, bezskutecznie szukając czegoś, co by go zainteresowało. W końcu dał sobie spokój i wyłączył telewizor.

Ułożył się wygodnie, by trochę odpocząć, gdy usłyszał w oddali słaby huk grzmotu. Po drugiej stronie gabinetu okno było uchylone na kilka centymetrów i pierwsze powiewy wiatru kołysały zasłonami. Najwyraźniej zbierało się na burzę. Rozległo się kolejne głuche dudnienie. Z jakiegoś powodu dla Jasona ten dźwięk był uspokajający, zamknął więc oczy i nie wiedząc kiedy, zapadł w lekki sen.

Pół godziny później nastąpiła prawdziwa eksplozja.

A przynajmniej tak to zabrzmiało w uszach zaspanego, półprzytomnego Jasona. Niespodziewanie obudzony z drzemki, usiadł wyprostowany, zastanawiając się, co się, u licha, stało. Spojrzał w okno akurat w chwili, gdy ciemne niebo rozświetlił biały zygzak błyskawicy. Burza, która jeszcze niedawno wydawała się taka odległa, nadeszła bardzo szybko.

Jason zerwał się z kanapy i ruszył w stronę okna, by podziwiać rozgrywające się na zewnątrz widowisko, po drodze zaskoczył go jednak głośny dzwonek telefonu. Chwytał bezprzewodową słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

- Dzień dobry, to znaczy, dobry wieczór, tu pensjonat Bradley Mansion - powiedział, wracając do okna.

- Tak, witam - nadpłynął głos z drugiego końca linii telefonicznej. - Mówi Cyril Benton. Zarezerwowaliśmy z żoną pokój w waszym pensjonacie na dzisiejszą noc.

- Tak, panie Benton - rzekł Jason uprzejmym tonem. W tym momencie znów zagrzmiało i zaczął padać deszcz. - Oczekujemy państwa.

- Wiem, wiem, ale niestety nie uda nam się dotrzeć do was dziś wieczorem. Zepsuł się nam samochód, gdy podróżowaliśmy przez Massachusetts, musimy więc spędzić noc tutaj.

- Przykro mi to słyszeć, panie Benton - powiedział Jason szczerze.

- Bardzo chcielibyśmy zatrzymać się w waszym pensjonacie, więc zastanawiałem się, czy byłoby to możliwe jutro.

Jason omal się nie roześmiał, ponieważ wszystkie pokoje były wolne.

- Wszystko wskazuje na to, że nie będzie z tym najmniejszego problemu, panie Benton - zapewnił.

- Już pana wstępnie wpisuję do naszej księgi i do zobaczenia jutro.

Gdy skończył rozmowę, zamknął okno w gabinecie i pobiegł, by sprawdzić resztę domu. Gdy wchodził po schodach na pierwsze piętro, burza rozpętała się na dobre, błyskawice rozświetlały niebo niemal bez przerwy, a wiatr miotał deszczem o ściany budynku.

Jason przechodził z pokoju do pokoju, sprawdzając, czy na pewno wszystkie okna zostały szczelnie pozamykane. Dotarł do końca korytarza i miał zamiar wejść na drugie piętro, gdy nagle na zewnątrz dał się słyszeć ogłuszający huk. W tej samej sekundzie z instalacji elektrycznej nad jego głową trysnęła fontanna iskier i Jason odskoczył na bok.

- Co do cho... - wykrzyknął, lecz jego głos utonął w kolejnym grzmocie.

Dopiero po chwili zrozumiał, że w budynek uderzył piorun.

Serce waliło mu w piersi jak młotem. Burza w dalszym ciągu szalała, znowu przewalił

się kolejny grzmot. W tym momencie Jason usłyszał inny dźwięk, który przeraził go o wiele bardziej niż burza. Dobiegał z dołu.

Alarm przeciwpożarowy.

Jason zbiegł na parter i stanął jak wryty w drzwiach do salonu. Ku swemu przerażeniu zobaczył języki ognia liżące ścianę w drugim końcu pokoju. Próbował dostać się do gaśnicy, lecz płomienie zablokowały mu już drogę. Nie mając czasu na zastanowienie, złapał koc z kanapy i zaczął tłumić nim ogień, lecz szybko zorientował się, że tylko pomaga mu się rozprzestrzeniać. Z zadziwiającą szybkością pożar dotarł do okien i objął zasłony.

W jednej chwili zdał sobie sprawę, że ogień wymknął się spod kontroli. Poczł, że ogarnia go panika, zabrakło mu tchu. Oczyma wyobraźni widział, jak pożar trawi cały dom, wszystko, na co jego rodzina tak ciężko pracowała.

Pobiegł do telefonu w gabinecie i wykręcił numer alarmowy.

- Przyjeżdżajcie natychmiast! - krzyknął do słuchawki w tej samej chwili, gdy dyspozytor odebrał telefon. - Pensjonat się pali!

Głos w słuchawce polecił Jasonowi natychmiast opuścić budynek i poczekać na przyjazd straży pożarnej. Zamiast zastosować się do tego polecenia, Jason zadzwonił do brata. Przyciskając do ucha słuchawkę, w której słycać było tylko długi przerywany sygnał, pobiegł z powrotem do salonu. Ze zgrozą dostrzegł, że ogień za chwilę ogarnie regał z książkami. Bez namysłu rzucił się w tamtą stronę i chwycił fotografię matki. Odskoczył od strzelających płomieni i znów przycisnął słuchawkę do ucha. Właśnie w tej chwili odezwał się Raymond.

- Jasonie, czy to ty? - zapytał.

- Raymondzie, jestem w tarapatkach! - zawołał przerażony Jason. Odwrócony twarzą do ognia, zaczął wycofywać się z pokoju. - Musisz jak najprędzej przyjechać!

Zanim zdążył cokolwiek bratu wyjaśnić, potknął się i upadł do tyłu, uderzając głową o niski stolik. Zrobiło mu się czarno przed oczami i stracił przytomność.

ROZDZIAŁ

trzydziesty trzeci

Kiedyś, dawno temu w dzieciństwie, Jason wraz z dwoma kolegami spędzili zimowe popołudnie, budując w ogródku wymyślny śnieżny fort. Gdy fort był już gotowy, chłopcy zgromadzili ogromną stertę śniegowych kul. Czując się całkiem pewnie w tej fortyfikacji, Jason natychmiast wyzwiał do walki na śnieżki Raymonda i jego kolegów.

Rozegrała się prawdziwa bitwa. Starsi chłopcy bezlitośnie bombardowali młodszych gradem śnieżek tak długo, aż koledzy Jasona poddali się i uciekli, wrzeszcząc na całe gardło. Jason starał się utrzymać fort nieco dłużej, lecz gdy Raymond i jego kumple zaczęli radośnie kopać ściany fortecy, sam też dał nogę, na pożegnanie dostając kulą śnieżną w tył głowy. Pobiegnął przed dom, gdzie próbował schronić się w małej jamie, którą wydrążył w przyźmie śniegu w rogu podjazdu. Ledwie zdążył tam się skryć, przyzma zawaliła się na niego, uwięziwszy go w ciemnościach. Ciężar śniegu przygniatał go tak mocno, że Jason z ogromnym trudem chwycił oddech.

- Raymond, pomóż mi! - zawołał przerażony.

Przez jedną straszliwą chwilę myślał, że pomoc nigdy nie nadejdzie, lecz wtedy zobaczył światło przebijające się przez ciemność i dłonie gorączkowo odgarniające śnieg. Zanim się zorientował, brat chwycił go za ręce i wyciągnął na podjazd.

Chłopcy stali roztrzęsieni, bojąc się rozmawiać o tym, co mogłoby się stać.

- Przepraszam - rzekł w końcu Raymond, ciągle dysząc ciężko z przestachu i z wysiłku, po czym dodał błagalnym tonem: - Proszę, nie mów o niczym rodzicom...

*

Gdy Jason się ocknął, wspomnienie tamtego zimowego dnia sprzed wielu lat nagle ożyło w jego pamięci. Kiedy otworzył oczy, oślepiło go jaskrawe światło. Przez chwilę myślał, że umarł i znalazł się w świetlistym tunelu prowadzącym na tamten świat, ale wtedy zdał sobie sprawę, że to jakiś mężczyzna świeci mu w oczy małą latarką. Mężczyzna wciąż pochylał się nad nim, gdy Jason usłyszał szum napływającego powietrza. Zastanawiał się, co to jest, dopóki nie zrozumiał, że ma założoną maskę tlenową. Gdy całkowicie odzyskał świadomość, zorientował się, że leży na noszach w karetce pogotowia.

- Gdzie ja jestem? - zawołał. - Co z naszym domem?

Ratownik popatrzył na niego z góry i uśmiechnął się.

- Człowieku, najważniejsze, że miałeś dużo szczęścia - powiedział. - Jedziemy do szpitala. Chyba wszystko z tobą w porządku, ale chcemy, by zbadał cię lekarz. Uderzenie w głowę było naprawdę silne.

- Ale skąd się tutaj wziąłem? - zastanawiał się na głos Jason, nagle czując rwący ból w tyle czaszki.

- Twój brat - wyjaśnił ratownik - był już na miejscu, gdy przyjechaliśmy. Z tego, co nam powiedział, wynika, że wbiegł do domu i wyciągnął cię na chodnik tuż przed przyjazdem straży pożarnej. Jestem pewien, że teraz też jedźcie za nami. Zobaczysz go, gdy zawieziemy cię na oddział urazowy.

Jason znowu zamknął oczy i uśmiechnął się z trudem.

- Mój wspaniały starszy braciszek! - wyszeptał.

Zgodnie z przewidywaniami ratownika Raymond czekał już razem z Donną przy drzwiach, gdy sanitariusze wchodzili z noszami do izby przyjęć. Oboje byli okropnie zdenerwowani, znacznie bardziej od Jasona.

- Jasonie, jak się czujesz? - wykrzyknął Raymond, spiesznie wchodząc do środka.

- Biedactwo! - dodała Donna, ściskając jego dłoń.

- Nic mi nie jest - zapewnił ich Jason. Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, ratownicy zanieśli go do jednego z gabinetów zabiegowych, prosząc Raymonda i Donnę, by poczekali na zewnątrz.

Wkrótce w szpitalu zjawili się Giulio i Natalie. Dosłownie wdarli się do gabinetu zabiegowego wraz z Raymondem i Donną. Jason nigdy w życiu nie widział tak roztrzęsionego ojca.

- Mój chłopcze, mój chłopcze - powtarzał przejęty. - Dzięki Bogu, mówią, że nic ci się nie stało.

- Uwierz mi, tato, czuję się dobrze - uspokoił go Jason. - Ale jakie szkody wyrządził pożar?

- Kogo to obchodzi? - zawołał ojciec. - Najważniejsze, że żyjesz!

- To prawda - potwierdziła Natalie, podchodząc bliżej i stając obok niego. - O dom będziemy martwić się jutro. - Oczy zaszkliły się jej od łez. Przez chwilę głaskała go po głowie. - Jasonie - westchnęła. - Wiem, że to nie jest odpowiednia pora, ale chciałam cię bardzo przeprosić.

- Za co?

- Za całą tę awanturę z bankowym depozytem - powiedziała. Łzy spływały jej po policzkach. - Jestem pewna, że okaże się to wielką pomyłką. Proszę, wybacz mi.

Raymond, również z zaczerwienionymi od łez oczyma, podszedł z drugiej strony.

- Wybacz nam obojgu - rzekł ze smutkiem.

- Naprawdę ogromnie mi przykro. Nie mogę uwierzyć, że to wtedy powiedziałem. Jesteś moim bratem. Wiem, że nie mógłbyś tak postąpić.

- Przestańcie już, dobrze? - przywołał ich do porządku Jason. - Zwłaszcza ty, Ray. Daj spokój, uratowałeś mi życie, wyciągając mnie stamtąd. Tobie zawdzięczam, że żyję.

Raymond wytarł oczy wierzchem dłoni i zaśmiał się z przymusem. Następnie pochylił się bliżej, żeby inni go nie słyszeli.

- Naprawdę niewiele brakowało - szepnął. - Nie zdradz zbyt wielu szczegółów tacie, dobrze?

ROZDZIAŁ

trzydziesty czwarty

Szczęśliwy, że uszedł z życiem, Jason spał jak zabity aż do następnego ranka. Spał również po powrocie ze szpitala i Giulio, który bladym świtem wyszedł do pensjonatu, nie budził go. Gdy wreszcie Jason otworzył oczy, ciało miał ociężałe ze zmęczenia. Leżał jeszcze przez jakiś czas w łóżku, usiłując poskładać w całość wspomnienia z pożaru, zwłaszcza kilka końcowych chwil, zanim upadł i stracił przytomność. Ostatnią rzeczą, jaka utkwiała mu w pamięci, był obraz jego samego przyciskającego do piersi fotografię matki. Resztę pamiętał już tylko jak przez mgłę, niczym dziwny sen, i przez moment miał wątpliwości, czy to wszystko naprawdę się wydarzyło. Przesunął dłonią po potarganych włosach. Poczł ostry ból, gdy dotknął tyłu głowy Krzywiąc się, usiadł na łóżku i sięgnął po laptop leżący na nocnym stoliku. Tymczasem Sundance usłyszał, że Jason się poruszył, pchnął nosem drzwi i podszedł do łóżka. Oparł pysk na pościeli i próbował zajrzeć, co robi jego pan. Jason podrapał go za uchem i włączył komputer.

Gdy połączył się z Internetem, otworzył stronę wydania online „Providence Journal”, by sprawdzić, czy znajdzie tam jakąkolwiek wzmiankę o pożarze. W dziale wiadomości lokalnych znalazł krótką historię pod nagłówkiem: „STRAŻ POŻARNA WEZWANA DO PENSJONATU”. Przeczytał ją niecierpliwie, lecz ku swojemu rozczarowaniu relacja zawierała niewiele szczegółów poza tymi kilkoma, które już znał.

Jason miał już wyłączyć komputer, lecz pod wpływem impulsu postanowił sprawdzić pocztę. Poza spamem nie spodziewał się żadnych wiadomości, więc zdumiał się, widząc e-mail od Eddie’ego. Traf chciał, że przyszedł poprzedniej nocy. Treść była krótka: „Mam coś. Zadzwoń do mnie! E.”.

Oslupiały Jason wpatrywał się w ekran. Na taką właśnie wiadomość czekał przez długie tygodnie, odkąd wrócił do domu. A jednak teraz nie odczuwał radości. Dobre wieści nie przyniosły mu ulgi. Przeciwnie, z przyczyn, których nie potrafił zrozumieć, poczuł się rozczarowany. Nagle dotarło do niego z całą wyrazistością, że nie powinien już dłużej rozmyślać, przy czym w życiu ma uparcie trwać, a co może sobie odpuścić. Najwyraźniej los postawił go nagle na rozstajach dróg, a on nie był pewien, w jakim kierunku powinien się

udać.

Jego myśli jeszcze raz powędrowały do pensjonatu i pożaru. Znowu przypomniał sobie scenę, gdy w ostatniej chwili uratował przed płomieniami fotografię matki. Nie widział jej od chwili, gdy stracił przytomność, i martwił się, co się z nią stało. Dręczony myślą, że mogła spłonąć w pożarze, wstał i powłókł się ociężale do kuchni. Sundance dreptał tuż za nim.

Jak zwykle czekał na niego dzbanek z kawą. Jej aromat był bardzo kuszący, lecz Jason najpierw podszedł do telefonu, w nadziei, że dowie się, jakie są rozmiary zniszczeń po pożarze. Początkowo fakt, że w pensjonacie nikt nie odbierał telefonu, specjalnie go nie zmartwił. Gdy jednak spróbował zadzwonić na komórkę Raymonda, odezwała się jego poczta głosowa. Zirytowany, że nie może się z nikim połączyć, Jason nalał sobie kawy i usiadł przy kuchennym stole. Nie mógł jednak odpędzić uczucia niepokoju, pospiesznie dopił więc kawę i wbiegł na górę, żeby się ubrać.

W drodze do Bradley Mansion przez cały czas serce zamierało mu z trwogi. Mógł się jedynie domyślać, co tam zastanie. Jego umysł podsuwał mu najgorsze scenariusze, wyobrażał sobie zwalisko dymiących, wypalonych ruin tam, gdzie kiedyś stał pensjonat. Gdy dotarł na miejsce, z ogromną ulgą przekonał się, że mimo niedawnej katastrofy dom wciąż stoi. Na chodniku zobaczył Giulia, który oceniał stan zewnętrznych ścian budynku wraz z Raymondem i jakimś mężczyzną, którego Jason widział po raz pierwszy. Raymond trzymał w ręku młotek. Wyglądało na to, że właśnie skończył zabijać deskami dwa okna w salonie.

- Hej, co ty tu robisz? Miałeś leżeć w łóżku - powiedział Raymond, burząc bratu włosy. - Lekarz zalecił ci odpoczynek po uderzeniu piłką do squasha wczoraj wieczorem - zażartował.

- Twój brat ma rację - zgodził się Giulio.

- Hm - mruknął Jason - czuję się dobrze. - Umilkł i przesunął wzrokiem po frontowej ścianie pensjonatu. Poza deskami w oknach salonu i zniszczoną murawą przed domem, którą wydeptali strażacy, nie zauważył właściwie niczego, co wskazywałoby na większe zniszczenia. - W środku jest bardzo źle? - spytał.

- Ach, na szczęście nie tak bardzo - odrzekł Giulio. - Wejdz i zobacz sam. Natalie jest w gabinecie. Straż pożarna przyjechała wczoraj naprawdę bardzo szybko, więc ogień nie zdążył się rozprzestrzenić.

- Tak, ale zostawili pieprzony bałagan - zrzędził Raymond. - Woda i sadza są dosłownie wszędzie.

- Ej, nie przesadzaj - zaśmiał się cicho drugi mężczyzna. - Wiesz doskonale, że mogło

być gorzej.

- Faktycznie, mogło być znacznie gorzej - zgodził się Giulio, kiwając poważnie głową. Odwrócił się i wskazał na Jasona.

- Vin, to mój syn Jason - przedstawił ich sobie. - Chyba się nie znacie. Jasonie, poznaj Vina DiFrancesco, mojego starego przyjaciela. Pracuje w Wydziale Rozwoju Ekonomicznego. Jest jednym z ludzi, których możemy obarczać winą za rozbudowę śródmieścia.

DiFrancesco roześmiał się dobrodusznie.

- Daj spokój - zaprotestował. - To wcale nie jest takie straszne. Poza tym musisz przyznać, że to, co pomaga miastu, wcześniej czy później przyda się również tobie.

- Czcza gadanina - odparł Giulio, machnąwszy lekceważąco ręką.

DiFrancesco znowu parsknął śmiechem. Był w tym samym wieku co Giulio. Niskiego wzrostu, o błyszczących przenikliwych oczach, które nadawały mu inteligentny wygląd. Podobnie jak Giulio sprawiał wrażenie człowieka, który niejedno widział w swoim życiu.

- Miło mi pana poznać - rzekł Jason.

- Nie spotkaliśmy się wcześniej, ale twój ojciec wiele mi o tobie opowiadał - powiedział DiFrancesco.

Jason uśmiechnął się szeroko.

- Mam nadzieję, że nie zdradził panu wszystkiego - rzucił lekkim tonem.

- Nie przejmuj się - zaśmiał się starszy mężczyzna. - Tylko same dobre rzeczy.

Jason odwrócił się do ojca i pokazał na dom. - I co teraz, tato?

- A jak myślisz? - mruknął Giulio. - Posprzątam i zmienimy przewody elektryczne w całym domu. A propos, to od nich zaczął się pożar...

- Wiedziałem, że instalacja elektryczna jest do chrzanu - narzekał Raymond, kręcąc głową.

- A potem wyremontujemy pensjonat i otworzymy go znowu - snuł plany ojciec. - Może zajmie to trochę czasu, ale myślę, że na koniec wydamy wielkie przyjęcie. Jak się to panu podoba, panie Marketing?

- Przyjęcie z okazji ponownego otwarcia pensjonatu wydaje mi się świetnym pomysłem - rzekł Jason. - Postaram się włączyć to do planu.

Giulio lekko trącił łokciem DiFrancesco.

- Czy mówiłem ci, że mój syn ukończył studia biznesowe? Ma smykałkę do interesów.

- Myślę, że wspominałeś mi o tym raz czy dwa - odpowiedział przyjaciel, mrugając

porozumiewawczo do Jasona.

- Założę się, że mógłby niejednego nauczyć pracowników twojego wydziału - dodał Giulio.

Zarumieniwszy się lekko, Jason zakasłał nerwowo i wskazał głową pensjonat.

- Chyba pójde się trochę rozejrzeć.

- Jasne, tylko bądź ostrożny - przestrzegł go ojciec. - I wpadnij do siostry do gabinetu. Ma ci chyba coś do powiedzenia.

- Co takiego?

- Zostawiam to jej. No, idź już - ponaglił go Giulio, machając ręką.

- Pójde z tobą - zaproponował Raymond i obaj bracia ruszyli chodnikiem do drzwi wejściowych.

- Cieszę się, że dom nadal stoi - rzekł Jason.

- Przestraszyłem się, kiedy dzwoniłem wcześniej i nikt nie podnosił słuchawki. A potem ty nie odbierałeś komórki.

Raymond przystanął na stopniach i roześmiał się.

- Oj, przepraszam - powiedział. - Zostawiłem ją w samochodzie. A telefon stacjonarny chyba się sfajczył wczorajszej nocy. Musiałeś upuścić słuchawkę gdzieś w salonie. Natalie kupiła nowy aparat.

Raymond pchnął drzwi. Zanim jeszcze weszli do środka, Jasona uderzyła w nozdrza drażniąca woń dymu i sadzy, pierwszy dowód, że prawie nienaruszone ściany zewnętrzne dawały mylne wyobrażenie o tym, co dzieje się wewnątrz. Gdy w końcu zobaczył, jak wielkich zniszczeń dokonał pożar, ogarnęło go przerażenie. Salon był właściwie kompletnie spustoszony, piękna boazeria na ścianach, sufit i podłoga strzaskane i poczerniałe od płomieni. Gwizdnął cicho i zajrzał w głąb pokoju, przyglądając się zwęglonym szczątkom mebli.

- Nie wchodź tam - ostrzegł go Raymond. - Wciąż jeszcze sypie się z sufitu, nie wiem też, w jakim stanie jest podłoga. I patrz pod nogi, bo tu jest istne bagno. Wczoraj w nocy strażacy nie żalowali wody. - Westchnął i trącił brata łokciem. - Chodź, pogadamy z Nat.

W gabinecie wszystkie okna były szeroko otwarte. Widząc młodszego brata, Natalie wybiegła zza biurka i rzuciła mu się na szyję.

- Hej, cieszę się, że jesteś w jednym kawałku - wykrzyknęła. - Jak twoja głowa?

- Jakbym walczył piętnaście rund z czempionem - zaśmiał się Jason. - Ale nie martw się, dojdę do siebie. - Powiódł wzrokiem po pokoju. - Wygląda na to, że tutaj wszystko w porządku - zauważył.

Natalie odsunęła się od niego.

- *Grazie a Dio* - powiedziała, wznosząc oczy do nieba. - Tylko ten dym ohydnie śmierdzi! Próbuję od samego rana wywietrzyć pokój, ale nic to nie daje, chyba jest coraz gorzej.

- Musi upłynąć trochę czasu - pocieszył ją Jason.

Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie. Natalie wymieniła spojrzenia z Raymondem, który stał oparty o futrynę drzwi. Zdezorientowany Jason popatrzył na brata, potem znowu na siostrę.

- Co jest? - spytał Natalie. - Tata uprzedził mnie, że masz mi coś do powiedzenia.

Policzki Natalie lekko się zarumieniły. Chwilę przerzucała jakieś papiery na biurku, po czym odchrząknęła.

- Mam dobre wiadomości - oznajmiła w końcu z uśmiechem zawstydzienia. - Zgadnij, skąd odebrałam dziś pierwszy telefon?

- Z teleturnieju *Dwadzieścia pytań*? - zaryzykował Jason.

- Nie, ty idioto! - burknął Raymond, kręcąc z rozdrażnieniem głową. - Z banku.

Jason zmierzył oboje zaciekawionym spojrzeniem.

- Z banku? - spytał, nie rozumiejąc wagi rozmowy. - A czego chcieli?

- A jak myślisz, głuptasie? - zawołała Natalie. - Odnaleźli nasze pieniądze!

Znaczenie jej słów dotarło do niego z opóźnieniem, ponieważ w gorączce minionych dwudziestu czterech godzin Jason kompletnie zapomniał o zaginionym depozycie.

- Ach, nareszcie - powiedział, śmiejąc się. - A co się z nimi działo?

Natalie przewróciła oczami.

- Mamma mia, jakiś idiota przestawił cyfrę podczas księgowania wpłaty i pieniądze trafiły na obce konto. Były tam przez cały czas i nikt o tym nie wiedział. Możesz w to uwierzyć?

- Ja tak - mruknął Raymond.

Jason skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na brata i siostrę z drwiącym uśmiechem.

- No cóż - rzekł, wyraźnie zadowolony z siebie - jeśli się nie mylę, to oficjalnie zdejmuję się ze mnie, nazwijmy to, podejrzenie o bankowe nadużycie?

- Tak, tak, nie przypominaj już o tym - gderał Raymond.

- Dlaczego? - spytał Jason. - Myślę, że sobie na to zasłużyłem.

- Daj spokój. - Raymond uśmiechnął się szelmowsko. - Wiesz, że tak naprawdę nigdy cię nie podejrzewaliśmy.

- Naprawdę! - potwierdziła Natalie, robiąc słodką minkę i trzepocząc rzęsami.

- Ha! - zakpił Jason. - Wszystko pięknie, ale robicie dobrą minę do złej gry. Z mojego punktu widzenia macie wobec mnie dług wdzięczności.

- Hm, nic mi o tym nie wiadomo - odparł sceptycznie Raymond. - Nie zapominaj, że musiałem wczoraj wieczorem wyciągać cię z płomieni, po tym, jak próbowałeś spalić pensjonat. To chyba wyrównuje nasze rachunki.

- Wiesz, on ma chyba rację - poparła starszego brata Natalie.

- No dobrze - burknął Jason.

Nie miał pojęcia, czy jest to długotrwały efekt uderzenia w głowę, czy też przypływ wielkoduszności po spowiedzi sprzed kilku dni, a może zwykłe uczucie ulgi, że wreszcie ma już tę nieprzyjemną sprawę za sobą, lecz trudno mu było chować urazę do rodzeństwa z powodu tego, co się wydarzyło.

- Cóż, nie sądzę, bym mógł mieć do was pretensje za to, że mnie podejrzewaliście - przyznał w końcu. - Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, prawdopodobnie zachowałbym się tak samo. Poza tym to ja jestem tym matołkiem, który pozwolił, by wiatr mu porwał pokwitowanie wpłaty. Wyjaśnilibyście całe zamieszanie w ciągu kilku minut, gdybym go lepiej pilnował.

- Faktycznie, zachowałeś się jak kretyń - zauważył Raymond, uśmiechając się krzywo, po czym szybko dodał: - Ale ja nie powinienem był wyciągać pochopnych wniosków.

- A więc co ty na to? Żółwik? - spytał, patrząc bratu prosto w oczy. - Na zgodę?

Jason milczał przez chwilę, a następnie wyciągnął rękę do brata.

- Tak - powiedział. - Chyba tak.

- A ze mną? - spytała z nadzieją Natalie.

- Jasne, z tobą też - potwierdził Jason, stukając się pięścią także z siostrą. Przez chwilę stali wszyscy troje, uśmiechając się do siebie.

- Rany - zażartował Raymond, przerywając ciszę. - Zupełnie jakbyśmy pozowali do zdjęcia.

Wszyscy troje parsknęli śmiechem. Jason jeszcze długo nie mógł powstrzymać uśmiechu, ponieważ po raz pierwszy od swojego powrotu do Rhode Island poczuł się naprawdę w domu.

ROZDZIAŁ

trzydziesty piąty

- Jay Mirabella! Jak miło cię słyszeć!

Eddie jak zwykle tryskał energią. Nie potrafiąc dłużej oprzeć się ciekawości, Jason postanowił zadzwonić do przyjaciela. Siedział w swojej klitce, wdychając woń spalenizny.

- To właśnie chciałem od ciebie usłyszeć - odrzekł. - Co się dzieje?

Eddie roześmiał się i przez następne kilka minut relacjonował ostatnie wydarzenia na Zachodnim Wybrzeżu. Jason najpierw słuchał uważnie, lecz niebawem jego uwagę przyciągnął wiszący na ścianie za biurkiem rysunek Claudii. Znowu jego myśli powędrowały ku dziewczynie. Zastanawiał się, gdzie teraz jest, co robi i czy słyszała, co się stało. W głębi serca cierpiał na myśl o niej, spróbował więc skupić się na tym, co mówi przyjaciel.

Mimo to, słuchając jednym uchem paplaniny Eddie'ego, zaczął z kolei myśleć o przyszłości pensjonatu. Zdawał sobie sprawę, że ojca, brata i siostrę czeka nie lada wyzwanie, by wszystko zaczęło znowu działać. To prawda, nie wydarzyło się najgorsze. Pensjonat wciąż stał, lecz czekało ich mnóstwo pracy i przydałaby się każda para rąk. Jasona ogarnęły wyrzuty sumienia, że w ogóle brał pod uwagę możliwość wyjazdu, i zaczął żałować, że zadzwonił do Eddie'ego. Jak się spodziewał, przyjaciel wystarał się o interesującą propozycję pracy dla niego, i Jason wiedział, że wkrótce stanie przed nieoczekiwane trudnym wyborem.

- W każdym razie wracasz do gry - mówił Eddie. - Co ci powiedziałem, gdy znalazłeś się w tarapatkach? Że po prostu musisz być cierpliwy. Los Angeles żyje dniem dzisiejszym, a nie wczorajszym, tak?

- Rzeczywiście, tak powiedziałeś - przyznał Jason, próbując wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu. - No więc, co takiego znalazłeś?

- W Mixed Media, jednej z naszych filii, pojawił się wakat w dziale marketingu - poinformował go Eddie. - Firma nie jest duża, w zasadzie początkująca, lecz gdybyś zechciał, zapewniłbyś sobie dobrą pozycję i miał szansę pokazać, co potrafisz. Rozmawiałem już z pewnymi ludźmi w twojej sprawie, musisz więc tylko przylecieć tutaj w przyszłym tygodniu, pójść na rozmowę kwalifikacyjną i przekonać się, czy ci to odpowiada. Jeśli ci się spodoba, to super. Zacząłbyś w przyszłym tygodniu. Jeśli nie, nic się nie stanie. I co ty na to?

Niezdecydowany, co powinien zrobić, Jason wahał się przez chwilę, nim w końcu odpowiedział.

- Eddie, nie jestem pewien, czy mi się to uda...

- Daj spokój - mobilizował go Eddie. - Co to znaczy, że nie jesteś pewien? Los Angeles nadal jest twoją kochanką... i pragnie, żebyś wrócił.

- Wiem, wiem - westchnął Jason. - Tyle że nie jest to takie łatwe.

- Dlaczego?

Jason znowu westchnął.

- Chodzi o moją rodzinną firmę...

- Prawda! - wykrzyknął Eddie, zanim Jason zdążył dokończyć zdanie. - Prawie zapomniałem. Twoja rodzina ciągle prowadzi tamten motel w Providence, tak?

- To jest pensjonat! - roześmiał się Jason. - Powtarzałem ci to już setki razy!

- Nieważne - rzekł Eddie. - Ale posłuchaj, to mi przypomniało o czymś innym, o co chciałem cię zapytać.

- A mianowicie?

- Kilka osób z początkującej wytwórni filmowej zastanawia się nad kręceniem serialu w twoim mieście.

- Nie żartujesz? - spytał zaintrygowany Jason. - Jakiego rodzaju?

- Nie wiem - odparł Eddie. - Chyba jakiś kryminalny. Właśnie się organizują. Tak czy owak chcą wysłać ekipę do Providence pod koniec sierpnia, by obejrzała miasto. Muszą gdzieś się zatrzymać, pomyślałem więc, że moglibyście przyjąć ich na kilka nocy, jeśli będziecie mieli wolne pokoje. Oczywiście zapłacą.

Jason jęknął w duchu. Opracowując swój plan marketingowy dla pensjonatu, miał nadzieję, że uda mu się znaleźć sposób na przyciągnięcie do Bradley Mansion właśnie takich gości. Nie mógł się zdecydować, co odpowiedzieć Eddie'emu, wybrał więc prawdę.

- To brzmi bardzo zachęcająco, Eddie - zapewnił przyjaciela - ale musisz wiedzieć, że mieliśmy wczoraj w nocy mały problem w pensjonacie.

- Jakiego rodzaju?

- Pożar - odrzekł Jason.

- Naprawdę? Czy komuś coś się stało?

- Dzięki Bogu nikomu - odpowiedział Jason, dotykając guza na głowie. - Dzisiaj rozejrzałem się jedynie pobieżnie, ale wydaje mi się, że czeka nas solidny remont. Ale powtórz, kiedy planują przyjazd?

- Może w sierpniu albo we wrześniu.

Jason potarł brodę.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, ile czasu zajmie nam doprowadzenie wszystkiego do porządku. Dopóki się nie zorientuję, jak wygląda sytuacja, nie mogę za nic ręczyć.

- Nie ma sprawy. Rozumiem. Rób, co możesz, dla swojej rodziny. Wstrzymam się z moją propozycją przez kilka dni i będę czekał na wiadomość od ciebie. Tymczasem prześlę ci szczegóły dotyczące tej pracy, żebyś mógł to przemyśleć, i pogadamy przed weekendem. Zgoda?

- Zgoda - powiedział Jason, po czym dodał szczerze: - Dziękuję, Eddie. To dla mnie wiele znaczy.

- Nie ma za co - odparł Eddie. - Po co ma się przyjaciół?

Jason zbiegł na dół, ale okazało się, że w gabinecie nikogo nie ma. Podeszedł do drzwi wejściowych i wyjrzał na zewnątrz. Vin DiFrancesco jeszcze nie odjechał. Stał wciąż z Giuliem na chodniku. Była też z nimi Natalie i Raymond. Wszyscy czworo rozmawiali, żywo gestykulując i wskazując od czasu do czasu na dom.

Gdy podeszedł bliżej, usłyszał pytanie Natalie:

- No więc, jak sądzisz, ile czasu zajmie nam doprowadzenie wszystkiego do stanu używalności?

- Ach, wcale nie tak długo - głośno myślał Raymond. - Może trzy, cztery miesiące, jeśli nie będzie poślizgu z wypłatą ubezpieczenia.

- Hej, to byłoby fantastycznie - radośnie wtrącił Jason.

Odwrócili się do niego, patrząc ze zdziwieniem.

- Co masz na myśli? - spytał Raymond.

- Właśnie dzwonił do mnie przyjaciel z Los Angeles - wyjaśnił Jason. - Podobno przedstawiciele jakiejś wytwórni filmowej zamierzają przyjechać w sierpniu do Providence, aby rozejrzeć się po mieście, bo chcą tutaj kręcić serial telewizyjny.

- Och, to pasjonujące - zagruchała Natalie.

- Na jaki temat?

- To nieistotne - odparł Jason. - Ale interesowało go, czy zakwaterujemy ich w pensjonacie na kilka nocy, kiedy przyjadą do Providence. Jeśli sprawy potoczą się zgodnie z przewidywaniami Raymonda i dopisze nam szczęście, może uda nam się do tego czasu zakończyć remont.

Oczy Vina DiFrancesco rozbłysły.

- Wspaniale! - wykrzyknął. - Właśnie takie wiadomości uwielbiam słyszeć. Takie przedsięwzięcia są niezwykle korzystne dla naszego stanu. - Wyciągnął z portfela wizytówkę

i wręczył ją Jasonowi. - Może zadzwonisz do mnie, jak już ustalisz szczegóły? Chciałbym porozmawiać z tymi ludźmi, zorientować się, co możemy dla nich zrobić. Może zachęcimy ich znajomych z show-biznesu, żeby również przyjechali i lepiej zapoznali się z Rhode Island, wiesz, o co mi chodzi?

- Jasne. - Jason schował wizytówkę i obiecał: - Dam panu znać.

DiFrancesco uśmiechnął się i mrugnął do Giulia.

- Gdyby kiedykolwiek znudziła cię praca u ojca, odezwij się do mnie - powiedział do Jasona. - Potrzebujemy inteligentnych młodych ludzi.

- Będę o tym pamiętał.

- Wspaniały młodzieniec - pochwalił go starszy pan, po czym pożegnał się ze wszystkimi.

- Dobrze, że przy nim o tym powiedziałaś - rzekł w zadumie Giulio, odprowadzając przyjaciela wzrokiem. - Nie masz pojęcia, jak wiele możliwości otwiera przed ludźmi nasz niewielki stan... a Vin wie dokładnie, gdzie ich szukać.

W tym momencie ulicą przejechał powoli samochód z tablicami rejestracyjnymi z Maine, a następnie skręcił w podjazd przed pensjonatem. Zatrzymał się, po czym wysiadło z niego starsze małżeństwo. Na widok zabitych deskami okien wymienili między sobą zdziwione spojrzenia.

- Kto to? - zapytał Raymond.

- To pewnie Bentonowie - domyślił się Jason.

- O Boże - westchnęła Natalie. - Chyba pójde przekazać im złe wiadomości.

- Nie zapomnij zapewnić ich, że zwrócimy im zaliczkę, którą wpłacili - zawołał za córką Giulio.

- Tak, mamy teraz sporo pieniędzy na koncie w banku - wtrącił Raymond, rzucając z ukosa Jasonowi łobuzerskie spojrzenie, po czym ruszył do pensjonatu, by zabezpieczyć deskami boczne okna budynku.

- Rozumiem, że już słyszałaś dobrą nowinę - powiedział Giulio po chwili.

- O banku? Tak, słyszałem - odrzekł Jason. - I cieszę się, że to już za mną.

- Ja również - zgodził się ojciec. - A więc mam nadzieję, że wszystko zostało wybaczone.

Jason uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Tak, teraz dobrze się między nami układa - powiedział, śmiejąc się cicho.

Giulio zawtórował mu i machnął ręką w kierunku domu.

- To świetnie. W takim razie chodźmy pogadać.

- O czym? - spytał Jason.

- O tobie. - Ojciec zmierzył go badawczym spojrzeniem. - Może się mylę, ale odnoszę wrażenie, że twój przyjaciel miał ci do zakomunikowania coś więcej poza tym, że przedstawiciele wytwórni filmowej zamierzają przyjechać do miasta. Chciałbym usłyszeć, co to było.

Odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi wejściowych. Jason stał jeszcze przez chwilę, zaniemówiwszy ze zdumienia. Zastanawiał się, jakim cudem ojciec zawsze wyczuwa takie rzeczy i dlaczego miał wrażenie, że on sam ostatnio ciągle chodzi do spowiedzi.

ROZDZIAŁ

trzydziesty szósty

- No to co zamierzasz?

Giulio zadał to pytanie, nie patrząc synowi w oczy. Siedział przy biurku z wzrokiem utkwionym w niedużą fotografię w ramce i coś przy niej majstrował. Jeden bok ramki lekko się wygiął i ojciec próbował go wyprostować palcami, czekając na odpowiedź Jasona. Robił to bardzo ostrożnie, by nie uszkodzić zdjęcia. Jason siedział na kanapie, wpatrując się w otwarte okno. Do tej pory nie zwracał uwagi na to, czym zajmuje się ojciec. Twarz mu się rozpromieniła, gdy wreszcie pochylił się, by rzucić okiem.

- Hej, to mama! - wykrzyknął, chwilowo uchylając się od odpowiedzi na pytanie ojca.

- Tak - rzekł Giulio, uśmiechając się z zadowoleniem, gdy udało mu się naprawić ramkę. Patrzył jeszcze przez chwilę na swoje dzieło, po czym ustawił fotografię w rogu biurka. - Wiesz, to zawsze było jedno z moich ulubionych zdjęć mamy. Jestem ci ogromnie wdzięczny, że je uratowałeś.

- Bałem się, że strawił je ogień - powiedział Jason. - Gdzie je znalazłeś?

- Twój brat mówił nam, że gdy wyciągał cię wczoraj z pożaru, ścisnął fotografię z całej siły w dłoniach, tak mocno, że ramka wygięła się i obluzowała, kiedy usiłował wyjąć ci ją z rąk. - Przerwał i spojrzał na Jasona z miłością. - Jesteś dobrym synem.

- Dziękuję - rzekł Jason, chociaż nie był całkiem przekonany, czy ojciec ma rację.

Zapadło długie milczenie.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - odezwał się w końcu Giulio. - Co zamierzasz zrobić?

- W tej chwili niczego nie planuję, tato - przyznał Jason. - Nie mogę po prostu wyjechać i zostawić was z całym tym bałaganem. Będziecie potrzebowali każdej pary rąk do pomocy, by wszystko doprowadzić do ładu i by pensjonat zaczął normalnie działać. Co oznacza, że zostanę tutaj i skwapliwie włączę się do pomocy. To chyba jasne jak słońce.

- Jasne jak słońce - powtórzył Giulio sam do siebie, jak gdyby uznał tę uwagę za zabawną. Popatrzył na syna i pokręcił głową. - To bardzo miła propozycja, ale nie możesz tutaj zostać... przynajmniej na razie.

Jason nie mógł uwierzyć własnym uszom, spodziewał się bowiem, że ojciec będzie szczerze zachwycony, gdy się dowie o jego planie pozostania w Providence.

- Nie rozumiem - powiedział. - Myślałem, że będziesz chciał, bym został z wami i pomógł.

Giulio parsknął śmiechem.

- Bardzo bym chciał, Jasonie - zapewnił go. - Możesz mi wierzyć. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż gdybyś został w domu... a przynajmniej zamieszkał trochę bliżej niż w Kalifornii.

Giulio odsunął się od biurka i obszedł je dookoła, po czym usiadł obok syna i położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie możesz dłużej się tu ukrywać, Jasonie - rzekł, spoglądając mu prosto w oczy. - Tam jest wielki świat, a odkąd sięgam pamięcią, zawsze ogromnie cię pociągał. Nie wiem o wszystkim, lecz mam wrażenie, że zostawiłeś w Kalifornii jakieś nie załatwione sprawy, którymi powinieneś się zająć. Może ma to coś wspólnego z twoją karierą, z powrotem do firmy i wyrobieniem sobie na nowo nazwiska. - Giulio umilkł i wzruszył ramionami. - A może chodzi o coś zupełnie innego, co w ogóle nie wiąże się z pracą. Cokolwiek to jest, musisz tam wrócić i zmierzyć się z tym. Myślę, że nigdy nie będziesz naprawdę szczęśliwy, dopóki nie doprowadzisz tych spraw do końca. Rozumiesz, co mam na myśli?

Jason skinął głową, ponieważ, choć usiłował wmówić sobie, że jest inaczej, rozumiał to nawet lepiej niż ojciec.

- To dobrze - mówił dalej Giulio - ponieważ najbardziej na świecie pragnę twojego szczęścia. I nie obchodzi mnie, czy zarabiasz na życie, będąc grubą rybą w jakiejś korporacji, czy też pracując na stacji benzynowej. Oczywiście, popełniłeś kilka błędów, gdy wyjechałeś na Zachód... i to dużych błędów. Ale przyznałeś się do nich, poniosłeś konsekwencje i przełknąłeś gorzką pigułkę. Teraz jesteś gotowy, by zacząć wszystko od początku. W moich oczach to już jest sukces, nie przejmuj się więc niczym, po prostu jedź i załatw sprawę. Zrób to jak należy i nie oglądaj się za siebie. To miejsce zawsze będzie na ciebie czekało, jeśli zdecydujesz, że tego właśnie chcesz. *Capisci?*

Jason znów przytaknął.

- Tato, to jest tylko rozmowa kwalifikacyjna. Mogę wcale nie dostać tej pracy.

- Nie martw się, dostaniesz tę pracę. - W głosie Giulia nie było cienia wątpliwości.

Jason westchnął głęboko. Bez względu na jego zastrzeżenia najwyraźniej podjęto decyzję za niego.

- To co mam teraz zrobić? - spytał.

Giulio rozłożył ręce.

- Jak to co? - odrzekł, klepiąc go łagodnie po ramieniu. - Jedź do domu i zacznij się pakować, zanim się rozmyślę i zrobię wszystko, żeby cię zatrzymać.

*

W następny poniedziałek Raymond podjechał rano pod dom, żeby zawieźć Jasona na lotnisko.

Natalie przybyła wkrótce po nim, by pożegnać się z bratem. Zastała obu braci i ojca siedzących przy kuchennym stole, podniecony Sundance kręcił się przy nich, merdając ogonem.

- Wczoraj wieczorem wydrukowałem plan marketingowy, nad którym pracowałem - mówił Jason lekko podenerwowanym tonem. Podsunął ojcu teczkę z dokumentami. - Tutaj jest wszystko, całkiem tego sporo, chociaż chciałbym więcej nad tym popracować. I nie zapominajcie, mimo że będę daleko, nadal mogę wam pomóc w wielu sprawach, na przykład dokończyć stronę internetową i parę materiałów reklamowych.

- Tak, tak - Giulio mrugnął do Raymonda i Natalie. - Zajrzę do tego, gdy tylko będę miał sposobność. A teraz dopij kawę i wynoś się stąd, dobrze? Mam dziś do załatwienia kilka spraw.

Tymczasem Natalie sięgnęła do papierowej torebki, którą trzymała na kolanach, i wyjęła stamtąd małą, opakowaną w ozdobny papier paczuszkę.

- Kupiliśmy ci drobny prezent - powiedziała, podając ją Jasonowi, zanim zdążył wstać z krzesła.

- Co to jest? - spytał szczerze wzruszony.

- Po prostu otwórz - ponaglił go Raymond.

Jason rozwinął paczuszkę i uśmiechnął się szeroko. W środku był nowiuteński BlackBerry. Jason podziękował bratu i siostrze skinieniem głowy.

- Co to jest? - zainteresował się Giulio. Pochylił się, by lepiej widzieć. - Wygląda jak miniaturowy komputer czy coś w tym rodzaju.

- To telefon komórkowy, tato - wyjaśnił Jason. - Naprawdę świetny.

- Nie możesz być grubą rybą w korporacji, spacerując sobie ze zwykłym telefonem na kartę - rzekł Raymond, zadowolony, że prezent się spodobał.

- Jest fantastyczny, kochani, ale nie trzeba było...

Natalie wyciągnęła rękę i uszczypnęła go w policzek.

- Ale chcieliśmy - oświadczyła. - Teraz nie będziesz miał wymówki, że nie możesz częściej dzwonić do domu.

- Właśnie - zawtórował jej Raymond. - Zapłaciliśmy z góry za sześć miesięcy. Potem oczywiście musisz radzić sobie sam. Jeśli nie znajdziesz pracy, to będzie wyłącznie twoja wina.

- Jesteście wspaniali - zaśmiał się Jason, po czym dodał szeptem, nagle bowiem poczuł dławienie w gardle: - Dziękuję, kochani.

Giulio, któremu łzy zakręciły się w oczach, uderzył dłonią w blat i odsunął się od stołu.

- No, myślę, że na ciebie już pora - oznajmił, wstając.

Gdy jego torby zostały wreszcie umieszczone w bagażniku, Jason stał przez chwilę w milczeniu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Powodzenia, Jasonie. - Natalie uściskała go mocno, zanim zdążył się odezwać. - Nie zapomnij o nas tym razem, dobrze?

- Nie zapomnę - obiecał Jason, gdy go wreszcie puściła.

- I nie zapomnij też, kim jesteś i skąd pochodzisz - rzekł Giulio. - Zawsze o tym pamiętaj, zarówno w złych, jak i dobrych momentach. - Objął syna serdecznie i pocałował go w czoło, po czym popchnął w stronę samochodu. Gdy odjeżdżali, Jason obejrzał się na ojca oraz siostrę. Natalie i Giulio machali mu, dopóki samochód nie skręcił za róg i nie zniknął z pola widzenia. Stali tam jeszcze przez jakiś czas, jak gdyby oczekiwali, że nagle pojawi się znowu. Natalie oparła głowę o ramię ojca.

- Już za nim tęsknię - szepnęła, pociągając nosem.

Giulio otoczył ją ramieniem i przytulił lekko do siebie.

- Ja też - westchnął.

ROZDZIAŁ

trzydziesty siódmy

Gdy Giulio przyjechał tego samego ranka do pensjonatu, w Bradley Mansion Inn wrzało jak w ulu. Wcześniej zjawiała się ekipa sprzątająca, by rozpocząć pierwszy etap remontu. Czując się znowu jak kapitan okrętu, Giulio chodził spokojnym krokiem po domu, nadzorując prace i rozmawiając z robotnikami, dopóki nie wrócił Raymond i nie stanął za sterem. Zwolniony z obowiązków, wrócił do gabinetu i usiadł przy biurku. Natalie pojechała kupić kanapki na lunch, ich służbowe pomieszczenie miał więc na razie tylko dla siebie. Wykorzystując chwilę względnego spokoju, postanowił zajrzeć do teczek z dokumentami, którą zostawił mu Jason. Otworzył ją i wyjął pierwszą kartkę.

- Strategia marketingu i reklamy Bradley Mansion Inn - przeczytał na głos. Potem mruknął w zamyśleniu: - Hm, wygląda na poważne opracowanie.

Giulio przewracał kartki, z zainteresowaniem studiując dogłębną analizę Jasona dotyczącą pensjonatu, jego funkcjonowania i konkurencji. Oczywiście to opracowanie zrobiło na nim duże wrażenie, lecz nie był tym wcale zdziwiony, wiedział bowiem, co potrafi jego syn, gdy coś sobie postanowi. Czytał dalej, przebiegając wzrokiem treść, aż dotarł do podsumowania, gdzie Jason przedstawił precyzyjne zalecenia, co powinni robić, gdy pensjonat zostanie wreszcie otwarty. Pierwszy punkt kompletnie go zaskoczył.

- Przemianować pensjonat? - przeczytał na głos z zaciekawieniem i lekkim niedowierzaniem. Taki pomysł nigdy przedtem nie przyszedł mu do głowy i bynajmniej nie był przekonany o jego trafności. Bradley Mansion Inn miał ugruntowaną renomę. Był solidny, godny zaufania i tchnący spokojem. Nie można tego nie brać pod uwagę. Poza tym do przemyślenia jest kwestia zmiany numerów kont bankowych, druków firmowych, nazwy w książce adresowej, nie wspominając o szyldzie na frontowej ścianie budynku. Lista była dłuższa, niż można było sobie wyobrazić. Nie, nie, to nie jest dobry pomysł, zdecydował od razu. Ale potem, czytając dalej, zatrzymał się na nazwie, którą proponował Jason. Pocierając swoim zwyczajem brodę, zapatrzył się w zamyśleniu w przestrzeń i powtórzył kilkakrotnie nową nazwę.

- Hm - mruknął wreszcie, twarz mu się rozjaśniła. - Chyba mi się podoba. Ładnie

brzmi. Ciekawe, dlaczego żadne z nas nigdy nie wpadło na ten pomysł.

Giulio roześmiał się, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo zwykła zmiana nazwy wpłynęła na jego nastawienie. Od tak dawna zamartwiał się przyszłością pensjonatu, lecz nie miał koncepcji, jak zaradzić kłopotom. A teraz nagle w jego głowie zakiełkowało tysiąc pomysłów. Tak jak gdyby z jednego malutkiego nasionka wyrósł las drzew i w mgnieniu oka się zazielenił. Giulio zdawał sobie sprawę, że zmiana nazwy róży nie sprawi, że kwiat będzie miał słodszy zapach, lecz rozumiał, że dzięki nowemu imieniu można zyskać świeże spojrzenie.

Z marzeń wyrwało go ciche pukanie do drzwi. Spodziewał się zobaczyć kogoś ze sprzątających, tymczasem ku jego zaskoczeniu okazało się, że stoi w nich młoda kobieta, ostrożnie zaglądnąca do środka.

Giulio uśmiechnął się szeroko.

- Dzień dobry, panno Loren - przywitał ją z widoczną przyjemnością. Jason nie wspominał o niej od pewnego czasu, więc Giulio nie bez żalu założył, że ich drogi się rozeszły. Wstał i skłonił się uprzejmie. - Proszę wejść.

- Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam - wybąkała nieśmiało. - Widzę, że dużo się tu teraz dzieje.

- W ogóle mi pani nie przeszkadza - zapewnił ją. Wskazał zapraszającym gestem na kanapę. - Proszę usiąść na kilka minut i powiedzieć, co panią sprowadza. Mam nadzieję, że nie chce pani zrobić więcej zdjęć naszego pensjonatu. Jak widać, nie jest to chyba najlepszy moment.

- Przejeżdżałam tędy i postanowiłam wstąpić, kiedy zobaczyłam zabite deskami okna i kręcących się robotników - wyjaśniła. - Co się stało?

Giulio roześmiał się z przymusem.

- Parę dni temu mieliśmy w nocy mały wypadek - odrzekł. - W salonie wybuchł pożar, który spowodował niezły bałagan na parterze, jak pani bez wątpienia zauważyła.

- Pożar? - wykrztusiła Claudia. - Mam nadzieję, że nikt nie ucierpiał.

- Na szczęście w tym czasie nie mieliśmy żadnych gości. Ale mój syn trochę oberwał w głowę.

- Jason? - spytała z przestraczem. - Bardzo jest potłuczony?

- Ach nie, nic mu nie jest, proszę się nie martwić - uspokoił ją Giulio. Zmarszczył brwi i mruknął z irytacją: - Najwyraźniej nie był uprzejmy poinformować pani o tym.

Claudia wzruszyła ramionami, utkwivszy wzrok w swoich dłoniach.

- Szczerze mówiąc, dość dawno nie rozmawialiśmy - przyznała z ponurą miną.

- Dlaczego? - spytał impulsywnie Giulio, słowa wyrwały mu się, zanim zdążył się nad nimi zastanowić. Umilkł, zmieszany swoim wścibstwem. Ale Claudia była piękną dziewczyną i nie mógł nic poradzić na to, że uważał swojego syna za kompletnego idiotę, ponieważ pozwolił jej odejść.

- Hm, to skomplikowane. - Odwróciła wzrok.

- Myślę, że Jason przeżywał trudne chwile, gdy widziałam go po raz ostatni.

- Ach, zauważyła pani - powiedział Giulio, po czym dodał, uśmiechając się ciepło: - Ale mam wrażenie, że prawie mu się udało przebrnąć przez to wszystko... a przynajmniej przez najgorsze. Domyślam się, że powinien podziękować za to pani.

Claudia zarumieniła się lekko.

- Nic mi o tym nie wiadomo - wyszeptała.

- Ale mnie tak - rzekł Giulio.

Claudia wzięła głęboki oddech i spojrzała w kierunku drzwi.

- Czy Jason jest tu dzisiaj? - spytała z nadzieją w oczach.

- Niestety nie.

- Ale naprawdę nic mu się nie stało? - upewniła się.

- Nie, nie, jest zdrow jak ryba. Ale cóż... właśnie dzisiaj rano wyjechał do Kalifornii.

Chociaż wydawało mu się, że nie zaskoczyła jej ta wiadomość, młoda kobieta westchnęła i przygryzła dolną wargę. W pierwszym momencie pomyślał, że zaraz się rozplacze, lecz ona wzięła się w garść i podniosła dumnie głowę.

- Tak będzie chyba dla niego najlepiej - powiedziała, opanowując emocje.

- Czas pokaże.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, lecz na tyle długo, by Giulio zorientował się, że sprawy między Claudią a jego synem nie ułożyły się najlepiej. Później, gdy odprowadził Claudię do samochodu i pożegnał się z nią, długo stał na skraju trawnika, patrząc, jak odjeżdża. Od bardzo wielu lat był właścicielem pensjonatu, dawno już więc przywykł do przyjazdów i odjazdów gości, lecz dzisiaj przeżył dwa pożegnania, które mocno go poruszyły. Ogarnęło go przygnębienie - nadzieja, lecz także przygnębienie - ponieważ Jason wyjechał, a on nie wiedział, kiedy go znowu zobaczy. Z kolei teraz było mu dziwnie smutno z powodu odjazdu Claudii. Powoli ruszył z powrotem w kierunku drzwi wejściowych. Przystanął na progu i obejrzał się przez ramię. Słuchał świergotu ptaków, wdychając łagodne powietrze. Dzień był piękny, niosący obietnicę wczesnej wiosny. Przyjemnie byłoby pospacerować i cieszyć się nim, lecz w środku czekała go ciężka praca. Mruknął coś do siebie pod nosem i z silnym postanowieniem przeniósł znowu spojrzenie na dom.

- Cała naprzód!

ROZDZIAŁ

trzydziesty ósmy

Jason usiadł na trawie pod drzewem na skraju plaży i zapatrzył się na fale przetaczające się po piasku. Był sobotni poranek, od jego powrotu do Los Angeles minęło pięć dni. Codziennie rano i po południu zatrzymywał się na kilka minut w tym samym miejscu, czegoś wypatrując i na coś czekając, lecz właściwie nie był pewny, co tutaj robi lub co ma nadzieję osiągnąć. Od kiedy wrócił, przepełniało go osobliwe poczucie jałowości, bezsensu, dręczyła go świadomość, że zbyt długo postępował źle, by teraz móc cokolwiek naprawić, czy przynajmniej poczuć się tak jak kiedyś.

Dziwił go ten niepokój, zwłaszcza że jak do tej pory tydzień upłynął dla niego bardzo pomyślnie. Zatrzymał się u Eddie'ego. Początkowo zamierzał zakwaterować się w hotelu, lecz przyjaciel nie chciał nawet o tym słyszeć. Obaj cieszyli się z ponownego spotkania i tego samego wieczoru wybrali się, żeby to uczcić. Eddie umówił go na piątek na rozmowę kwalifikacyjną - chciał, żeby firma przeprowadziła tę rozmowę z Jasonem na końcu - więc wieczory spędzali mniej więcej w ten sam sposób.

Jason bawił się na pozór całkiem dobrze, ale brakowało mu dawnego entuzjazmu. Coś się zmieniło, nie potrafił określić co, ale pomimo całej swojej miłości do miasta czuł się tu teraz nie na miejscu. Może dlatego, że choć podczas wszystkich wieczornych wypadów natknął się na wiele znajomych twarzy, wyglądało na to, że ludzie, których rozpoznał, już o nim zapomnieli.

Rozmowa kwalifikacyjna w Mixed Media Productions nie mogła pójść lepiej, zupełnie jak gdyby toczyła się zgodnie z wcześniej opracowanym scenariuszem. Jason zjawił się na spotkaniu z Tedem Dormanem, prezesem firmy, świetnie przygotowany, by w razie czego wybrnąć z niezręcznej sytuacji, gdyby musiał wyjaśniać niechlubne okoliczności swojego odejścia z Med-Device Technologies. Ku jego zaskoczeniu, nie wspominając o niewysłowionej uldze, nie padły żadne pytania na temat tamtych czarnych dni. Doszedł do wniosku, że Eddie niewątpliwie przetaił mu już szlak. A może przyjaciel miał przez cały czas rację, może Los Angeles żyje dniem dzisiejszym, przeszłość zaś nie ma znaczenia?

Tak czy owak rozmowa była dziecinnie łatwa. Dorman długo mówił o

przedsięwzięciach produkcyjnych firmy i jej planach na przyszłość, o tym, że potrzebuje kogoś tak uzdolnionego jak Jason. Oprowadził go po centrali Mixed Media, która była raczej skromna - niewielka recepcja, kilka gabinetów, sala konferencyjna - lecz Jason wyczuwał energię, jaka emanowała z tego miejsca. Słyszał głosy dobiegające z gabinetów, gdy je mijali, widział twarze kobiet i mężczyzn, którzy tam pracowali. Były to młode, świeże, pełne entuzjazmu twarze ludzi, którzy wierzą, że są częścią czegoś, co kiedyś będzie miało wpływ na rynek. Choć dla Jasona był to teraz obcy świat, dobrze pamiętał to uczucie. Ich energia była zaraźliwa i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie znalazł się wreszcie z powrotem w swoim żywiole.

To wrażenie spotęgowało się, gdy Dorman przystanął przed otwartymi drzwiami i skinął na Jasona, by zajrzał do środka.

- Ten gabinet będzie należał do pana, jeśli zostanie pan członkiem naszego zespołu - powiedział prezes z niemal przepraszającym uśmiechem.

Jason wszedł do środka. Raczej niewielkie pomieszczenie było w tej chwili puste, nie licząc biurka, osobistego komputera i krzesła. Rozglądając się dookoła Jason zaśmiał się w duchu. Może i pokój był nieduży, lecz w porównaniu z jego dziuplą na drugim piętrze w Bradley Mansion Inn wydawał się ogromny. I miał zdecydowaną przewagę w postaci okna, mimo że widok z niego raczej nie był malowniczy.

- Jak pan widzi, na razie jesteśmy niezbyt dużą firmą - rzekł Dorman - ale się rozwijamy.

Jason tylko skinął głową i uśmiechnął się.

Gdy wrócili do gabinetu Dormana, by omówić warunki finansowe, Jason zorientował się, że zrobił dobre wrażenie. Kiedy wyjaśniło się, że jego oczekiwania co do honorarium są zbieżne z tym, co może zaoferować początkująca firma, Dorman nie owijał w bawełnę.

- Będę z panem szczerzy - powiedział Jasonowi. - Przeprowadziłem w tym tygodniu wiele rozmów z różnymi osobami i moim zdaniem świetnie pan tutaj pasuje. Będę szczęśliwy, jeśli dołączy pan do nas. Co pan o tym myśli?

Jasonowi bardzo pochlebiała jego oferta i kusiło go, by ją przyjąć, lecz coś podpowiadało mu, by się wstrzymał, unikał więc jednoznacznej odpowiedzi.

- Podoba mi się to, co tu zobaczyłem i czego dowiedziałem się o firmie - wyznał szczerze. - I wiem, że nadaję się do tej pracy. Chciałbym jednak mieć możliwość zastanowienia się nad pańską propozycją... jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Chociaż Dorman był wyraźnie zawiedziony, że Jason nie przyjął oferty od razu, uśmiechnął się i skinął głową.

- Oczywiście. Dzisiaj mamy piątek. Co powie pan na to, żeby rozważyć moją propozycję przez weekend i w poniedziałek dać mi odpowiedź? Umowa stoi?

- Tak jest - zgodził się Jason.

Dorman wstał.

- Cóż, miło mi było pana poznać - rzekł, podając mu rękę, po czym dodał: - Mam nadzieję, że przyjmie pan moją ofertę. Myślę, że możemy razem daleko zajść.

Teraz, gdy siedział na plaży, wpatrując się w wodę, tamte słowa krążyły mu bezustannie po głowie. Nie mógł zrozumieć dlaczego, dopóki nagle nie uświadomił sobie, jak bardzo przypominają mu dawną rozmowę z Philem Langwayem, gdy po raz pierwszy przyjechał do Los Angeles. Pomyślał, że jego życie zatoczyło pełny krąg. Nie był tylko pewien, czy znajduje się na końcu jednego, czy też na początku drugiego okrążenia.

Oparty plecami o pień drzewa, błędził wzrokiem hen daleko, gdzie jacht, z żaglami wydętymi ciepłą, łagodną bryzą, sunął po horyzoncie. Z miejsca, w którym Jason siedział, żaglówka była jedynie małym punkcikiem w oddali. Jason mieszkał w swoim życiu na obu wybrzeżach Stanów Zjednoczonych, często zaledwie rzut kamieniem od oceanu, lecz rzadko miał czas, by podziwiać morskie przestworza. Teraz, gdy jacht odpływał coraz dalej i dalej, znikając z pola widzenia, Jasona przepęśniał nabożny podziw nad bezmiarem i głębią oceanu. To sprawiło, że poczuł się zupełnie nieważny.

Gdzieś z pobliza dobiegał śmiech, który przyciągnął uwagę Jasona. Odwrócił się i zobaczył grupkę nastolatków leżących na ręcznikach. Wkrótce chłopcy bez koszulek zaczęli grać w piłkę, radio grało na pełny regulator, a dziewczęta w bikini, wygrzewające się w ciepłych promieniach słońca, paplały bez przerwy między sobą. Byli szczęśliwą, beztroską gromadką i Jason pozazdrościł im tego. Chyba już zapomniał, jak to jest nie myśleć o niczym i po prostu się bawić. Musi znów odnaleźć w sobie tę cechę charakteru, jeśli tylko będzie wiedział, gdzie ma jej szukać.

Zapatrzył się znowu na ocean, po czym podniósł otoczek leżący obok jego nogi. Obracał go w palcach niczym paciorek różańca, gładząc jego już i tak gładką, chłodną powierzchnię, jego myśli pobiegły do weekendowych planów. Eddie zamierzał zrobić rundę po imprezach z nową dziewczyną i nalegał, żeby Jason wybrał się z nimi. W niedzielę mieli wszyscy razem pojechać do znajomych świętować Wielkanoc. W poniedziałek przyjmie posadę w Mixed Media - jakże mógłby ją odrzucić - i zacznie rozglądać się za mieszkaniem. Wszystko powoli układało się w logiczną całość i miał wszelkie prawo być szczęśliwy z tego powodu, lecz ku swej irytacji stwierdził, że wcale tak nie jest. Spojrzał po raz ostatni na kamyk i odrzucił go na bok. Sytuacja, powiedział sobie, sama się rozwiąże. Będzie musiał

oswoić się z myślą, że być może znajdzie szczęście gdzieś po drodze.

Pogodzony z tą myślą, Jason postanowił wrócić do Eddie'ego. Nagle coś przykuło jego wzrok. Osłonił dłonią oczy od słońca, jego spojrzenie powędrowało wzdłuż plaży. W oddali dostrzegł sylwetki dwóch osób biegnących brzegiem w jego kierunku. Gdy się nieco zbliżyli, rozpoznał, że są to mężczyzna i kobieta. Poczł nerwowy ucisk w żołądku, przełknął z trudem ślinę, wpatrując się w nich z coraz większym napięciem. Niebawem para zatrzymała się nad samą wodą dokładnie na linii jego wzroku. Teraz nie miał już najmniejszych wątpliwości.

Młoda kobieta o długich jasnych włosach, lśniących w promieniach słońca, pocałowała mężczyznę i para, trzymając się za ręce, ruszyła przez plażę, przechodząc w pobliżu miejsca, w którym siedział Jason. Przelotnie spojrzała w tę stronę, gdy go mijali, i nieoczekiwanie przystanęła i obejrzała się. Przekrzywiła lekko głowę, na jej twarzy odmalowała się ciekawość. Nagle otworzyła szeroko oczy i popatrzyła na niego z widocznym niedowierzaniem.

- Jason? - wykrztusiła ledwie słyszalnym szeptem.

Powoli, jakby krępowały go ciężkie łańcuchy, Jason wstał, otrzepał się z piasku i skinął głową.

- Witaj, Amando - powiedział.

ROZDZIAŁ

trzydziesty dziewiąty

Pewnego sobotniego wieczoru, na początku ich znajomości, Jason zabrał Amandę do jednej z najmodniejszych - nie wspominając o tym, że oszałamiająco drogich - restauracji w mieście. Ten wieczór powinien był dać mu wiele do myślenia, ale on już wtedy zupełnie stracił dla niej głowę. Cena tego, by Amanda dobrze się bawiła, w ogóle się dla niego nie liczyła. Jego zdaniem nic nie było dla niej za dobre.

Amanda była jak zwykle zachwycająca, więc Jason miał wystarczającą motywację, by szastać pieniędzmi. Kelnerzy spełniali z uprzejmym ukłonem każdą jej zachciankę i wieczór wypadł wspaniale. Amanda sprawiała wrażenie ogromnie zadowolonej, Jason wyszedł więc z restauracji w świetnym nastroju.

Ten nastrój nie trwał jednak długo.

Gdy samochód podjechał pod wejście do hotelu, chłopak obsługujący parking wyskoczył zza kierownicy i spiesznie podbiegł, by otworzyć drzwi Amandzie. Gdy wsuwała nogi do środka, nadgorliwy boy zaczął zamykać drzwi trochę za wcześnie i uderzył ją w piszczel. Uderzenie nie było silne i najwyraźniej niezamierzone, lecz Amanda wrzasnęła, jak gdyby była poważnie ranna. Chłopak przeproszał, lecz na nic się to nie zdało. Zanim Jason mógł zareagować, wzburzona Amanda bezwzględnie zgromiła boya za niezdarność. Wymyślała nieszczęsnemu chłopcu mimo usiłowań Jasona, by ją ułagodzić, aż wreszcie udało mu się skłonić Amandę, by pozwoliła zatrzaskać drzwi.

Zażenowany jej wybuchem, Jason uśmiechnął się przeproszająco do chłopaka i wsunął mu dwudziestodolarowy napiwek za fatygę.

Boy wzruszył ramionami i machnął lekceważąco ręką.

- Nieważne - rzekł do Jasona, wznosząc oczy do góry. - Jestem szczęściarzem, że to nie ja muszę jechać z nią tym samochodem.

Teraz, gdy stał przed Amandą, to niemiłe wspomnienie ożyło w jego pamięci. O dziwo, brakowało mu słów, zupełnie jak tamtego wieczoru przed wieloma laty.

Właściwie co tu było do powiedzenia?

Jason nie miał pojęcia, od czego zacząć. Oczywiście nie łudził się już co do

przyszłości swego związku z Amandą. Nie zostało między nimi już absolutnie nic, nawet odrobina czułości, jaką kiedyś wzajemnie sobie okazywali. Wszystko zniknęło owego straszego dnia, gdy widział ją po raz ostatni. Nie miało to teraz jednak najmniejszego znaczenia, ponieważ nie przyjechał tutaj w nadziei ożywienia tego, co utracił. Przywiodło go coś innego, czego od dawna nie mógł zrozumieć, lecz teraz widział to jasno. W sercu miał nie zagojoną ranę, którą starał się ze wszystkich sił ignorować. Lecz przez długie miesiące, odkąd ich drogi się rozeszły, podświadomie wiedział, że pewnego dnia będzie musiał stanąć z nią twarzą w twarz. Teraz zdał sobie sprawę dlaczego. Była to dla niego jedyna nadzieja, by raz na zawsze uleczyć poranioną duszę. Często próbował wyobrazić sobie scenariusz takiego spotkania, co powie i jak się zachowa, jak zareaguje Amanda, lecz teraz, gdy ta chwila nadeszła i w końcu zobaczył swoją do niedawna ukochaną, zabrakło mu słów.

Sądząc po minie Amandy - jeśli nie pogardliwej, to pełnej czegoś bardzo zbliżonego - był przekonany, że dziewczyna odwróci się na pięcie i odejdzie bez pożegnania. Tymczasem ku zdziwieniu Jasona jej zachowanie stopniowo łagodniało i na twarzy odmalowała się ciekawość, choć nie pozbawiona lekkiej wzgardy. Taksowała go cynicznym spojrzeniem, po czym odwróciła się do swojego towarzysza, szczupłego, muskularnego mężczyzny w wieku Jasona, opalonego równie pięknie jak ona sama.

- Idź do samochodu, Greg - powiedziała. - Za chwilę do ciebie dołączę.

Gregowi wyraźnie nie podobała się ta sytuacja, ponieważ przyglądał się Jasonowi podejrzliwie i ledwie krył niechęć.

- Czy na pewno tego chcesz? - mruknął.

- Nie martw się. - Amanda popchnęła go lekko w tamtą stronę. - Wszystko w porządku. Poczekaj na mnie w samochodzie.

Z dużym ociąganiem Greg powoli odszedł, lecz przedtem rzucił Jasonowi groźne spojrzenie. Jason nie ruszył się z miejsca, patrząc obojętnie, dopóki mężczyzna nie znalazł się poza zasięgiem głosu, po czym odwrócił się znowu do Amandy i odkaszlnął cicho.

- Sprawia wrażenie miłego faceta - rzekł z zakłopotaniem.

Amanda skrzyżowała ramiona na piersi i spojrzała na niego z góry.

- Co tutaj robisz, Jasonie? - spytała, nie siląc się na żadne uprzejmości, po czym dodała po krótkiej chwili: - Myślałam, że wyjechałeś na zawsze.

Jason wsunął ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

- Ja też tak myślałem - odparł. - Po prostu...

- Mam nadzieję, że nie wróciłeś tu w nadziei, że można wszystko między nami naprawić - warknęła, nim zdążył dokończyć. - Bo jeśli tak, to wybij to sobie z głowy. Nie

mam ci nic do powiedzenia.

- Nie, nic z tych rzeczy - pokręcił głową Jason. Usiadł z powrotem na piasku i zaprosił ją gestem, by usiadła obok niego. - Czy moglibyśmy po prostu porozmawiać? Tylko o to cię proszę.

Amanda nie odpowiedziała, lecz stała, przyglądając mu się czujnie. Wiatr wzmógł się nagle, zwiewając jej na twarz pasma długich, gęstych włosów. Odgarnęła je wystudowanym niedbałym ruchem. Wbrew sobie Jason wciąż ją podziwiał. Była prześliczna jak zawsze, pełna wdzięku z tymi blond włosami, kształtnym podbródkiem i smukłą figurą. Mimo to Jason uświadomił sobie, że wcale już nie pragnie dotknąć tej piękności.

- Mogę ci poświęcić tylko jedną minutę i ani odrobiny dłużej - powiedziała wreszcie.

Rzuciwszy spojrzenie w stronę Grega, podeszła bliżej i usiadła pod drzewem w bezpiecznej odległości.

- Od kiedy jesteś w Los Angeles? - spytała oziębłe.

Jason odetchnął głęboko i przez kilka chwil wpatrywał się w ocean, szukając wzrokiem na horyzoncie tamtej żagłówki, ta jednak dawno już zniknęła z pola widzenia.

- Przyjechałem na rozmowę kwalifikacyjną - odrzekł w końcu, zerkając na nią przelotnie, po czym z powrotem utkwił wzrok w oceanie. - Zaproponowano mi pracę.

- Pracę? - prychnęła. - No, no, chyba niełatwo było zdobyć posadę, zwłaszcza komuś z twoją przeszłością.

Chociaż wiedział, że zasłużył sobie na to, jej uwaga dotknęła go do żywego. Mimo to zlekceważył ten przytyk, nie pozwalając, by poznała po jego minie, że sprawiła mu przykrość. Przecież sam postanowił przez to przejść i ścierpieć wszystko bez słowa skargi.

- W dzisiejszych czasach nic nie przychodzi łatwo - odparł obojętnie - ale w pewnym sensie to chyba właśnie moja przeszłość sprowadziła mnie tutaj.

Amanda wyprostowała się i obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

- Co masz na myśli?

Jason westchnął i zmusił się, by popatrzeć jej prosto w oczy.

- Amando, to, czego się dopuściłem, jest naganne - zaczął. - Postąpiłem karygodnie wobec ciebie, twojego ojca i naszej firmy. I nie da się tego w żaden sposób wymazać, nie mogę uczynić nic, żeby to wam zrekompensować. Zrujnowałem wszystko. - Umilkł i pokręcił głową z zaszępioną miną. - Wiesz, bardzo długo usiłowałem wmówić sobie, że zrobiłem to dla ciebie, lecz prawda jest taka, że byłem samolubny i wystraszony, i dałem się wciągnąć w całą tę aferę. To moja wina i nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia. W każdym razie nigdy nie przestanę tego żałować. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała.

Jeśli nawet jego słowa w jakikolwiek sposób poruszyły dziewczynę, nie okazała tego, roześmiała się tylko wzgardliwie.

- Jasonie, daj sobie spokój. Życie toczy się dalej. Po tym, czego się dopuściłeś, mój ojciec przejął prowadzenie Med-Device i połączył ją z jedną ze swoich innych firm. Ty i twoi kumple kosztowaliście go mnóstwo czasu, pieniędzy i wstydu, lecz nie miał zamiaru pozwolić, by jakaś banda marnych pracowników obróciła wniwecz jego plany, by wszystko poszło na marne. Szedł do przodu, podobnie jak ludzie, którzy z nim pracowali... i ja. Powinieneś zrobić to samo, Jasonie.

Amanda wstała, poprawiła kostium do biegania, po czym otrzepała dłonie, jak gdyby nie chciała mieć już z nim nic wspólnego. Jason podniósł się również.

- Jest jeszcze coś - powiedział spieszenie, zatrzymując ją.

Zauważył w jej oczach błysk zniecierpliwienia.

- Co znowu? - spytała protekcyjnym tonem.

Jason przełknął z trudem ślinę, ponieważ nadszedł czas, by stawić czoło najgorszemu. Spuścił głowę.

- Chodzi o dziecko - wyszeptał cicho. - Muszę z tobą o tym porozmawiać.

Amanda nie odpowiedziała, lecz rzuciła mu dziwne spojrzenie.

- O czym? - spytała.

- No wiesz, o dziecku - powtórzył Jason nieco głośniej.

Amanda była wyraźnie zmieszana.

- O czym ty mówisz? - zawołała. Nagle rozjaśniło jej się w głowie. Zasłoniła dłonią usta, by ukryć uśmiech. - Ach, o tym. Nie ma o czym mówić, Jasonie, nie ma żadnego dziecka - rzekła bez ogródek, wzruszając lekceważąco ramionami.

- Rozumiem - zapewnił ją Jason. - Rozumiem, dlaczego nie chciałaś go zatrzymać. Po prostu...

- Nie, Jasonie - przerwała mu Amanda - nic nie rozumiesz. Mówię ci, że w ogóle nie było dziecka, ani wtedy, ani nigdy. Dotarło?

Teraz to Jason był zupełnie zdezorientowany. Przekrzywił głowę, jak gdyby nie usłyszał dobrze jej słów.

- J-j-jak to? - wyjąkał. - To znaczy... nie rozumiem. Co mi próbujesz wmówić?

Amanda westchnęła, zakłopotana.

- Posłuchaj, zachowywałeś się dziwnie, byłeś jakiś nieobecny, coś cię dręczyło, teraz wiadomo co, lecz wtedy nie miałam zielonego pojęcia. Nie wiedziałam, co się dzieje w twojej głowie, i po prostu chciałam się upewnić, jak wygląda moja sytuacja. Miałam chyba do tego

prawo. Powiedziałam więc to, co powiedziałam, żeby cię wybadać, i pozwoliłam ci myśleć to, co chciałeś. To tyle.

Jason wpatrywał się w nią szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- Czyli zwyczajnie mnie okłamałaś? - wykrztusił z trudem.

- Och, błagam - prychnęła. - Witaj w Los Angeles. Myślałeś, że jestem w ciąży, a ja nie byłam. Wielkie rzeczy! Poza tym co by to zmieniło, gdybym nawet była?

Jason ledwie mógł uwierzyć własnym uszom. Ze zdumieniem wrócił myślą do tych wszystkich miesięcy, kiedy się dręczył, do wszystkich minionych nocy, gdy nękały go wyrzuty sumienia z powodu czegoś, czego nigdy nie było. Przez krótką chwilę czuł oburzenie i gorycz na myśl, że z taką premedytacją go oszukała, lecz nagle oba te uczucia ustąpiły miejsca czemuś niebywale cudownemu, co spłynęło na niego niczym potężna fala.

Ulga.

Jason przeniósł spojrzenie z Amandy na bezkresny ocean. Nareszcie był wolny. Ciężki buciór, koszmarne brzemie przyniatające mu pierś i wykluczające nadzieję na radość, w końcu zniknęło.

Miał oczy pełne łez, gdy odwrócił się do niej z rozpromienioną twarzą.

- To zmienia absolutnie wszystko - oświadczył.

Nagła metamorfoza Jasona musiała zaskoczyć Amandę, szybko postąpiła bowiem krok do tyłu.

- Nieważne - mruknęła, marszcząc brwi. Bez słowa okręciła się na pięcie i prawie pobiegła do samochodu, gdzie czekał na nią Greg.

Jason odprowadził ją wzrokiem. Z każdym krokiem dziewczyny, który oddalał ją od niego, robiło mu się lżej na sercu. Gdy wreszcie dotarła do samochodu i Greg otworzył przed nią drzwi, Jason potrafił myśleć wyłącznie o tym, jak wielkim jest szczęściarzem, że to nie on sam zajmuje miejsce kierowcy.

Gdy oboje zniknęli z pola widzenia, oparł się z powrotem o drzewo i osunął na ziemię. Siedział, obejmując głowę dłońmi, szczęśliwy i wyczerpany. Zupełnie jak gdyby właśnie obudził się z bijącym sercem z koszmarnego snu, choć wcześniej obawiał się, że to nigdy nie nastąpi. Ku jego zdumieniu znowu zaświeciło dla niego słońce. Jason podniósł oczy do nieba.

- Dziękuję - szeptał ze znużeniem wiele razy, dopóki łyzy całkiem nie obeschły i twarz mu się nie rozpogodziła. Następnie usiadł prosto i rozejrzał się dookoła, chłonąc z zachwytem widok, jaki się przed nim roztaczał. Świat jest naprawdę piękny. Raptem poczuł się jak upojony radością George Bailey, biegnący ulicami swojego ukochanego Bedford Falls w filmie *To wspaniałe życie*. Zdawał sobie jednak sprawę, że Los Angeles to nie Bedford Falls i

że nie jest to jego rodzinne miasto. Uświadomił sobie, że mimo jego marzeń i ambicji nigdy by się takim nie stało. Amanda miała co do jednego rację: naprawdę nadszedł czas, by ruszył dalej, zmienił coś na lepsze, i po raz pierwszy, od kiedy sięgał pamięcią, wiedział dokładnie, czego pragnie.

W szalonym pośpiechu szperał po kieszeniach, aż wreszcie udało mu się wyłowić BlackBerry. W mgnieniu oka połączył się z Internetem i nie spuszczać wzroku z małego wyświetlacza, gorączkowo naciskał klawisze. Wkrótce znalazł właściwą stronę z informacją, której szukał.

Oddychając szybko, wpatrywał się w ekranik. Znalazł lot jeszcze tego samego popołudnia. Jeśli bez chwili zwłoki wyjedzie na lotnisko, a także jeśli nie będzie specjalnych korków, zdąży.

Jason zerwał się na równe nogi. Musiał się śpieszyć, ale najpierw miał coś jeszcze do załatwienia. Wybrał numer, odczekał, aż usłyszy głos ojca, po czym odezwał się:

- Cześć, tato, to ja.

- Witaj, Jasonie - odrzekł radośnie ojciec. - Czekałem na twój telefon. Jak twoje sprawy? Czy wszystko potoczyło się zgodnie z twoimi oczekiwaniami?

- Tak, tato. Nawet lepiej, niż miałem nadzieję.

- I co zamierzasz?

- Wracam do domu - powiedział.

ROZDZIAŁ

czterdziesty

Wyrwany z głębokiego snu przez nagły wstrząs, gdy koła samolotu dotknęły nawierzchni pasa startowego, Jason otworzył oczy. Wyprostował się i spojrział przez okno, gdy samolot zatrzymał się z rykiem silników. Był niedzielny poranek, a on znalazł się z powrotem w Providence.

Ze wszystkich stron dobiegało metaliczne pstrykanie odpinanych pasów bezpieczeństwa, wkrótce pasażerowie, stając w przejściu, zaczęli zdejmować podręczne bagaże ze schowków nad głowami. Gdy samolot powoli kołował do terminalu, Jason przetarł zaspane oczy i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Nie spieszyło mu się, wcale nie dlatego, że nie cieszył się z powrotu do domu - po prostu nie miał bagażu, o który musiałby się martwić. Na autostradzie prowadzącej na lotnisko panował wczoraj duży ruch, przez co Jason spóźnił się do agencji, gdzie miał zdać wypożyczony samochód, i nie zdążył na wczesny lot z Los Angeles. Po południu nie było już miejsc w innych samolotach, nie miał więc wyboru, musiał czekać na nocne połączenie. Spiesząc się na lotnisko, zostawił swoje rzeczy u Eddie'ego, ufając, że przyjaciel odeśle mu je przy najbliższej okazji. Poza tym nie przywiózł ze sobą do Los Angeles nic, czego nie dałoby się zastąpić.

Gdy w końcu samolot podkołował do bramki, Jason przeciągnął się i pokręcił zeszywniałą szyją. Przebywał w Kalifornii na tyle długo, by przyzwycząić się do czasu pacyficznego, i teraz dawały mu się we znaki skutki późnego lotu i złe samopoczucie z powodu różnicy czasu. Jeszcze raz ziewnął i przesunął dłonią po potarganych włosach. Wiedział, że wygląda okropnie, ale co go to obchodziło? Zakończył długą podróż. Mimo że był ogromnie zmęczony, miał wrażenie, że mógłby teraz zdobyć Mount Everest.

Gdy znalazł się w nadspodziewanie tłoczonym terminalu, przystanął i rozejrzał się, szukając wzrokiem ojca lub brata. Giulio zapewnił go, że ktoś po niego przyjedzie i Jason spodziewał się zobaczyć jednego z nich dwóch. Może dlatego nie zauważył stojącej w pobliżu młodej kobiety. Ubrana na białą, patrzyła w jego stronę pełnymi miłości oczyma, figlarny uśmiech błędził po jej wargach.

- Potrzebujesz pomocy, chłopczyku? - zawołała do niego. - Zgubiłeś się?

Serce w nim zamarło na dźwięk znajomego głosu.

- Claudia! - wykrzyknął. - Co ty tu robisz?

- Twój ojciec zadzwonił do mnie i zawiadomił, że być może trzeba cię będzie podwieźć na poranną mszę - powiedziała, spoglądając mu w oczy z taką serdecznością, że nawet gdyby chciał, nie potrafiłby odwrócić wzroku. - Wiesz, dziś jest Wielka Niedziela.

- Prawie zapomniałem - rzekł Jason.

Claudia obejrzała go ze wszystkich stron.

- Widzę, że nie masz bagażu - zauważyła.

Jason machnął niedbale ręką.

- Ostatnio podróżuję bez bagażu - wyjaśnił.

- Dobrze to słyszeć. - Claudia podeszła tak blisko, że Jason czuł już zapach jej włosów. Podniosła dłoń i dotknęła palcami jego twarzy. - A więc, dlaczego wróciłeś? - spytała, delikatnie głaszcząc go po policzku. - Słyszałam, że zrezygnowałeś z naprawdę ciekawej pracy w Los Angeles. O co chodzi, o pieniądze?

- Nie - odparł, przyciągając ją bliżej do siebie.

- Pieniądze nie miały z tym nic wspólnego.

Na te słowa Claudia zarzuciła mu ręce na szyję.

- Jednak nie przypominasz biznesmena - powiedziała, zanim ich wargi się zetknęły.

*

Tego samego popołudnia oboje pojechali do Natalie. Widząc wujka Jasona przekraczającego próg domu, Tommy i Jenna podbiegli do niego radośnie. Jason wziął maluchy na ręce i wniósł do holu, po czym przedstawił Claudię rodzinie. Następnie wszyscy przeszli do jadalni, gdzie czekała na nich prawdziwa uczta. Pośrodku stołu stał ogromny półmisek z przystawkami, na którym ułożono sałatę, pomidory udekorowane serem i oliwkami, pieczone papryczki i karczochy, zwinięte plasterki salami i szynki *prosciutto*. Później podano szynkę i pieczony udziec jagnięcy z jarzynami, nie wspominając o brytfance lasagne i faszerowanych papryk, które upiekła Donna. I jakby tego było mało, następnie przyszła pora na deser - ricottę i placek ryżowy ciotki Gracie, bochenek słodkiego wielkanocnego chleba, ciasteczka, *biscotti* oraz inne przysmaki.

Gdy cała rodzina zebrała się wokół stołu, Raymond postukał widelcem w kieliszek, by zwrócić na siebie uwagę.

- Posłuchajcie - powiedział - ja... to znaczy, my... mamy dla was krótki komunikat.

Twarz Donny promieniała radością.

- Tylko, błagam, bardzo krótki - zażartował wujek Ernie. - Przecież my tutaj

umieramy z głodu!

- Ernie! - wykrzyknęła ciotka Gracie, dając mężowi kuksańca łokciem w bok.

Raymond przeszedł prosto do sedna.

- Chciałem tylko obwieścić, że wkrótce Tommy i Jenna będą mieli małego kuzyna.

Nastąpiła chwila milczenia, ponieważ potrzeba było trochę czasu, by do zebranych w pełni dotarło znaczenie tej nowiny. Potem wybuchła jedna wielka wrzawa, wszyscy przekrzykiwali się nawzajem, śmiali się i obejmowali się z radości. Gdy hałas w końcu się uciszył, Jason poklepał brata po ramieniu.

- Dobra robota, braciszku - pochwalił go żartobliwie.

W odpowiedzi Raymond zdołał tylko się uśmiechnąć.

Teraz przyszła kolej na Giulia. Wstał, biorąc kieliszek do ręki.

- No cóż - zaczął mówić z twarzą zarumienioną z radości. - Wygląda na to, że jest to dzień nowych początków. Wznoszę więc toast za zdrowie najnowszego członka naszej rodziny, jakkolwiek będzie miał na imię.

- I kto wie, być może witamy dzisiaj jeszcze jedną osobę, która w przyszłości wejdzie do naszej rodziny - kontynuował Giulio, puszczać oko do Claudii.

- Nie słuchaj go - roześmiał się Jason, ściskając jej dłoń. - On po prostu chce zwabić cię do pracy u siebie.

- Nie mam nic przeciwko temu - odrzekła.

- Ach, to mi przypomina o jeszcze jednej nowości. - Giulio spojrzał na Jasona. - Kierując się sugestią pewnego młodego człowieka, postanowiłem, że po ponownym otwarciu pensjonatu zmienimy jego nazwę. Jak wam się podoba Villa Mirabella?

- Owszem, podoba mi się - przyznał Raymond po krótkiej chwili zastanowienia.

- Mnie również - dodała Natalie.

- W takim razie postanowione. - Giulio po raz kolejny podniósł kieliszek:

- Za pomyślność pensjonatu Villa Mirabella.

- Za pomyślność! - zawołali wszyscy.

Gdy już odmówiono modlitwę dziękczynną i ucichł chór okrzyków „*Salute*” i „*Buona Pasqua*”, wszyscy znów zasiedli do wielkanocnego posiłku.

Jason patrzył z radością na twarze osób zgromadzonych wokół stołu. Przyznał w myśli rację ojcu. Miał wielkie szczęście i wszystko przydarzyło mu się z jakiegoś powodu. Czując dotyk ramienia Claudii, zdał sobie sprawę, jak ważne dla niego było to, co się stało. Widział teraz, że wszystko dobrze się układa i będzie tak zawsze, dopóki będą towarzyszyć mu miłość, rodzina i przyjaciele, którzy pomogą mu przetrwać wszelkie burze. Niczego już

się nie obawiał. Usadowił się wygodnie i podniósł kieliszek do ust, z rozkoszą delektując się wyśmienitym smakiem wina. Uśmiechnął się błogo. Po raz pierwszy od bardzo dawna Jason Mirabella oddychał pełną piersią.

PODZIĘKOWANIA

Książkę tworzy się w samotności, lecz jej wydanie jest pracą zespołową. Mam to ogromne szczęście, że współpracowałem z wieloma fantastycznymi ludźmi, którym winien jestem serdeczne podziękowania. Byli ogromnie zaangażowani i ciężko pracowali - bez nich ta książka nigdy nie trafiłaby do Waszych rąk.

Dlatego pragnę powiedzieć *mille grazie!* wszystkim tym wspaniałym ludziom z oficyny Kensington Publishing, którzy uczynili tak wiele, by wydać, wypromować i sprzedać moje książki. Jestem szczególnie wdzięczny mojemu redaktorowi, Johnowi Scognamigliowi, za cierpliwość i wskazówki, jak również specjalistce od reklamy, Maureen Cuddy; dziękuję Kristine Mills-Noble, która projektuje okładki moich książek, i George'owi Angeliniemu, którego przepiękne ilustracje są ich ozdobą. Składam gorące podziękowania wszystkim w Jane Rotrosen Agency, zwłaszcza Meg Ruley i Christinie Hogrebe za ich mądre rady i wsparcie, jak również Peggy Gordijn, odpowiedzialnej za prawa do sprzedaży zagranicznej. Dziękuję całej mojej rodzinie, a przede wszystkim dzieciom, Andriemu i Gabrielli, oraz żonie Corinnie, którzy inspirują mnie i zachęcają na wiele różnych sposobów.

I na koniec, jak zawsze, najszczerze wyrazy wdzięczności dla Niego, największego z wydawców, który sprawia, że wszystko staje się możliwe.